

# ALEK ROGOZIŃSKI

**KOMEDIA  
KRYMINALNA**

Śnieg potrafi zakryć wszystko,  
ale nie ludzką podłość.



**PÓKI ŚNIEG NAS  
NIE ROZŁĄCZY**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

**ALEK**ROGOZIŃSKI

**PÓKI ŚNIEG NAS  
NIE ROZŁĄCZY**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Oświadczenie

Postaci

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Epilog

Podziękowania

Redakcja  
*Małgorzata Tougri*

Korekta  
*Bożena Sigismund, Janusz Sigismund*

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
© *AdobeStock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023  
© Copyright by Alek Rogoziński, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83292-98-4



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Emilce Waś

# OŚWIADCZENIE

Jak zawsze uroczyście oświadczam, że wszystkie zdarzenia, spisane w niniejszej powieści, są wytworem mojej ułańskiej fantazji i w rzeczywistości nigdy się nie wydarzyły. I nie szukajcie też w tak zwanym realu odpowiednika Patti Garnicky. Do stworzenia jej postaci zainspirowało mnie wiele naszych cudownych celebrytek, które – za każdym razem, kiedy zaświta mi w głowie myśl: „No już durniej się nie da!” – starają się mnie przekonać, że i owszem się da. To chyba byłoby tyle, a teraz zapraszam do czytania i życzę miłego relaksu!

Alek

## POSTACI

- Róża Krull** – autorka powieści kryminalnych przeżywająca kryzys twórczy po tym, jak okazało się, że nie ma komu powiedzieć „tak” na ślubnym kobiercu.
- Paweł „Pepe” Kwiatek** – agent Róży mający najpierw nadzieję, że jego pracodawczyni szybko wróci do dobrej formy i przestanie być smętną Mazepą, a gdy to już nastąpiło, pałający ochotą, by ją zabić.
- Mariusz „Mario” Kosek** – szef agencji PR „360 stopni” i przyjaciel Róży uważający, że zamiast szlochać w poduszkę, pisarka powinna założyć sobie konto na Tinderze.
- Miłka Węzowska** – autorka powieści grozy opiekująca się Różą z takim zaangażowaniem i troską, jakby pracowała w Czerwonym Krzyżu.
- Cecylia Jodelka** – gosposia Krull licząca skrzętnie na to, że tragedia chlebowdawczyni przywróci ją na łono dewocyjnych wyznawczyń katolicyzmu.
- Kamil Raczyński** – młody wielbiciel twórczości Róży chcący się z nią za wszelką cenę podzielić tajemnicą, która, jak się miało okazać, należała do kategorii śmiertelnie ważnych.
- Waleria Staszic** – wdowa po zmarłym nagle profesorze Adamie Staszicu, znanym z walki o odzyskanie dzieł sztuki, zagrabionych w czasie wojennych zawieruch.
- Krystyn Majek** – paser, za którego sprawą nasza ojczyzna zyskała kilka cennych zabytków.
- Roman Rudniczak** – złodziej pracujący na zlecenie zachodnich kolekcjonerów dzieł sztuki, lubiących wchodzić w ich posiadanie niezupełnie legalnymi metodami.
- Patrycja „Patti” Garnicky** – pochodząca z Polski żona amerykańskiego multimilionera, przekonana, że można sobie zmyślić cały życiorys i nikt tego nie zauważy.



**Jolanta Czubaj** – właścicielka „Morderczej stacji” uważająca, że plotki są po to, aby je przekazywać dalej, a nie zachowywać dla siebie.

**Arkadiusz Gozdyra** – szef festiwalu literackiego „Książki pod Arkadami”, próbujący wszelkimi siłami ściągnąć na tę imprezę Krull i nieuznający słowa „nie” za odpowiedź.

**Manuela Konopka** – podlaska dziennikarka, która dostała drugą szansę na zrobienie kariery w stolicy i postanowiła jej nie zmarnować.

**Krzysztof Darski** – komisarz policji uważający w skrytości ducha, że narzeczony Róży nawiał sprzed ołtarza z własnej woli i wcale się tej rejteradzie nie dziwiący.

**Leokadia Darska** – mama Krzysztofa mająca zupełnie inną opinię o Róży niż jej własny syn.

**Jerzy Grzelak** – podkomisarz policji i wierny współpracownik Darskiego, znoszący ze stoickim spokojem jego fochy, paranoje oraz wszystkie dziwne przyzwyczajenia śledcze.

**Dariusz Romanek** – podkomisarz policji w Morderczym, wniebowzięty, że znów może prowadzić śledztwo razem z Darskim, którego uważał za prawie takiego samego idola jak Klaudię.

## PROLOG

W dniu, w którym Róża Krull miała w obecności prawie stu zaproszonych gości oraz kilkunastu niezbyt pożądanym intruzów, rekrutujących się z paparazzich i wścibskich dziennikarek plotkarskich portali, wypowiedzieć przed urzędni-kiem stanu cywilnego słowo: „tak”, pogoda w stolicy zrobiła się tropikalna. Po- nieważ wewnątrz budynku nasuwało nachalne skojarzenia z sauną, pisarka posta- nowiła poczekać na, nie wiedzieć czemu, spóźniającego się ukochanego na ze- wnątrz. Teraz zaczynała mieć wątpliwości, czy była to aby najszcześniejsza decy- zja.

– Za moment padnę tu trupem – jęknęła rozpaczliwie.

– Obiecanki cacanki – mruknął jej agent Paweł Kwiatek, zwany przez wszyst- kich Pepe.

– Co ty tam szmerzesz? – Róża spojrzała na niego błagalnie. – Czy akurat dzi- szej musiała się tu zrobić Afryka?! Powachluj mnie trochę, proszę!

Pepe z filozoficzną miną przeszedł do stojącego nieopodal swojego Opla Corsy, ochrzczonego imieniem Stefan, po czym wyjął z jego bagażnika kawał tektury, wrócił i zaczął spełniać prośbę przyjaciółki.

– Miałeś mnie wachlować, a nie robić tornado! – zezłościła się po chwili Krull.

– Zrzuńujesz mi całe uczesanie!

– Nie chcę cię martwić, ale to uczesanie już wygląda na ruinę – ocenił Pepe. – A twój welon jak mokra ścierka do podłogi.

– Wielkie dzięki – Róża popatrzyła na niego z wyrzutem. – Czemu, do cholery, jeszcze go nie ma?!

Z urzędu stanu cywilnego wyszedł, a następnie klusem podbiegł do nich mały człowieczek.

– Szef kazał zapytać, czy jeszcze długo będziemy czekali – powiedział ner- wowo. – Zagraliśmy *My Heart Will Go On* już tyle razy, że wszyscy nauczyli się tekstu na pamięć. Jeśli zagramy to jeszcze raz, to pewnie Celine Dion sama się zmaterializuje na sali.

– Nie wiem, co mam zrobić... – Róża spojrzała bezradnie na Pepe. – Co się mogło stać?!

– Nie mam pojęcia. – Pepe patrzył na nią współczująco. – Poczekaj, pójde po Krzysia. On go widział jako ostatni.

Kwiatek pobiegł do urzędu.

– To co? Mamy znowu zagrać tego *Titanica*? – zapytał człowieczek, zerkając współczująco na Różę.

– A nie macie nic innego?

– Mamy jeszcze *Z tobą chcę oglądać świat*, *Za Tobą pójde jak na bal* i *Ave Maria*.

– A *Ave Maria* to się przypadkiem nie gra w kościołach na pogrzebach? – zdziwiła się Róża.

– Już nie. Od zeszłego roku to jest pieśń wyklęta. Nie można jej wykonywać w świątyniach. Przynajmniej tych katolickich. Jej i *Hallelujah* Leonarda Cohena. I chyba czegoś Beatlesów.

– No to sama nie wiem... Może niech będzie to *Z tobą chcę oglądać świat*. Moja gosposia się ucieszy, bo kochała Wodeckiego.

– Jak pani sobie życzy...

Mały człowieczek też się oddalił.

– Przepraszam. – Róża usłyszała za sobą cichy głos. – Pani Krull?

Pisarka odwróciła się i popatrzyła ze zdziwieniem na stojącego przed nią kilkunastoletniego chłopaka. Widać było, że moment wcześniej zsiadł z siodełka roweru, którego ramę miał między nogami, a dodatkowo przytrzymał jedną ręką kierownicę. W drugiej trzymał złożoną na pół kartkę.

– Tak, to ja – odpowiedziała ze zdziwieniem.

– Jeden pan za rogiem poprosił, żeby to pani dać. – Chłopiec wyciągnął rękę z kartką.

Róża rozłożyła ją, przeczytała to, co na niej napisano, i poczuła, że robi jej się słabo.

– Co się stało? – zapytał Pepe, podchodząc do niej wraz z ich wspólnym przyjacielem, komisarzem Krzysztofem Darskim, ubranym jak na świadka pana młodego przystało, w idealnie skrojony czarny garnitur.

Krull bez słowa podała im kartkę, a sama, czując, że uginają się pod nią nogi, klapnęła na jedną z licznych w tym miejscu ławek.

– To jakiś żart? – zapytał Darski, zapoznawszy się z treścią umieszczoną na przekazanym mu papierze.

– Jaki żart, skoro go nie ma – rzekł Pepe, podchodząc do Róży. – Naprawdę, bardzo mi przykro.

Komisarz jeszcze przez moment patrzył na nich wzrokiem pełnym niedowierzania, po czym wyciągnął telefon i wybrał jeden z kontaktów.

– Eustachiusz – rzekł dziwnie zmienionym głosem. – Wyjdź, proszę, jakoś dyskretnie z sali i chodź do nas. Ślubu nie będzie, ale nie chcemy na razie wzbudzać paniki. Nie, z Różą wszystko w porządku. Chodzi o pana młodego. Mamy tu chyba porwanie z żądaniem okupu. – Westchnął ciężko. – I poszukaj jeszcze Jurka. Niech też tu przyjdzie. Tylko zmyjcie się stamtąd jakoś niezauważalnie, błagam! – Rozłączył się i przeniósł wzrok na obserwującego całą tę scenę wielkimi oczami chłopaka na rowerze.

– Rozumiem, że ty dostarczyłeś tę kartkę – upewnił się.

Dzieciak kiwnął głową.

– Mówiłem tej pani, że dostałem ją od jednego takiego dziwnego gościa za rogiem. O tam! – Machnął ręką w stronę, oddalonej znacznie od miejsca, gdzie się znajdowali, ulicy Jagiellońskiej.

– Czemu dziwnego? – zapytał Darski, w duchu rezygnując z pomysłu rzucenia się w pościg za domniemanym autorem wiadomości, zapisanej na karteluchu.

– Bo wyglądał jak z komiksu – wyjaśnił chłopak z lekkim zakłopotaniem. – Miał wszystkiego za dużo.

Darski pomyślał, że dla kontrastu on z kolei dowiedział się zdecydowanie za mało.

– Mógłbyś wyjaśnić, co masz na myśli? – poprosił, siłąc się, by jego głos brzmiał spokojnie i łagodnie, choć tak naprawdę w duchu odczuwał zupełnie odmienne emocje. – Czego miał za dużo?

– Włosów – odpowiedział nastolatek z przekonaniem. – Wszędzie.

– Jak to wszędzie? – Komisarzowi przed oczami pojawiła się nachalna wizja Wielkiego Ptaka z „Ulicy Sezamkowej”.

– Na głowie i na twarzy – widać było, że chłopiec bardzo przejął się sytuacją i ze wszystkich sił stara się pomóc. – Miał taką długą brodę i wąsy. I czarne okulary. Ale to akurat nie było dziwne, bo wszyscy je teraz noszą. A, i jeszcze wyglądał tak, jakby był wypchany. Trochę jak klaun w cyrku.

– No tak... – westchnął Darski, przerywając rozmyślenia, skąd wzięła mu się wizja Wielkiego Ptaka, skoro ów nie miał włosów tylko pióra, i dochodząc do wniosku, że przygotowania do ślubu Róży połączone z upałem oraz przerażającą wizją recitalu Klaudii Hutniak, która sama z siebie zaproponowała, że zaśpiewa na weselu pisarki kilka swoich, jak to określiła, „hitów do potupania nóżką”, musiały doprowadzić go na skraj poczytalności. – Zdejmie perukę, odczepi sztuczny

zarost z twarzy, wyjmie pakuły spod ubrania i szukaj wiatru w polu. Nikt go nie pozna.

– Niekoniecznie...

– Słucham? – zdziwił się Darski, patrząc na uśmiechającego się do niego triumfalnie dzieciaka.

– Lubię tworzyć awatary. Tylko nie takie gotowe z jakiejś aplikacji, bo one są śmiechowce, ale takie mojego własnego pomysłu. Mam do tego specjalny program graficzny – poinformował go chłopak.

– I co w związku z tym? – zainteresował się mimowolnie komisarz.

– Pewnie z tego powodu zauważam rzeczy, na które inni nie zwracają uwagi. Nawet kiedy ktoś stara się je ukryć, jak ten gościu, który dał mi kartkę. Na przykład to, że ktoś ma jedno oko wyżej, a drugie niżej...

– Jak to? – Darski popatrzył na niego podejrzliwie. – Przecież mówiłeś, że on nosił okulary przeciwsłoneczne.

– Owszem – chłopak pokiwał głową – ale zsunął je na moment, kiedy dawał mi kartkę. Tak jakby chciał się upewnić, czy wręcza mi tę, którą powinien. Wtedy to zauważyłem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że miał jedno oko wyżej? – Wyobraźnia Darskiego najwyraźniej rozszalała po Wielkim Ptaku teraz podpowiedziała mu kolejną wizję, tym razem rodem z dzieł Pabla Picassa.

– Nie całe oko, tylko to okrągłe w środku – wyjaśnił chłopak. – To, czym się patrzy. Jedno miał wyżej, a drugiej niżej.

– Zez pionowy – wyjaśnił przysłuchujący się ich konwersacji Pepe. – Róża też go ma.

– Ukryty! – krzyknęła z oburzeniem Krull, z gniewną miną kiwając głową w stronę wychodzących ze środka urzędu paparazzich i dziennikarzy. – Więc nie trzeba o nim bębnić na całe miasto!

– Dobrze, dobrze – mruknął pojednawczo Pepe. – Nie, żebyś sama o nim nie opowiedziała w „Żyjmy zdrowo” w zeszłym miesiącu...

– Serio? – zdziwiła się szczerze, rozglądając się wokół błędnym wzrokiem. – Ja już nic nie wiem! Ten dzień ogłupił mnie do końca!

– Nie, żeby musiał wykonać jakąś specjalnie ogromną robotę – westchnął pod nosem Pepe, po czym wrócił wzrokiem do komisarza i jego rozmówcy. – Ten zez to zawsze jakiś trop, prawda?

– Marny – westchnął Darski, jednak zauważywszy rozczarowaną minę młodzieńca na rowerze, szybko dodał: – Ale czasem nawet najbardziej błahy szczegół

może przesądzić o powodzeniu całego śledztwa!

I choć wypowiedział te słowa tylko po to, aby nie robić przykrości chłopakowi, to czas miał pokazać, że przez przypadek udało mu się wygłosić prawdziwe pro-  
roctwo.

# ROZDZIAŁ I

## UŚMIECH NA WAGĘ ZŁOTA

### *Cztery miesiące później*

Rzadko kiedy zdarzało się, aby Róża Krull była smutna.

Ludzie otrzymują od Matki Natury różne dary i w ramach owego rozdawnictwa pisarce trafiło się poczucie humoru oraz optymizm w ilości hurtowej. Mogłaby nimi spokojnie poobdzielać kilka osób, a i tak dla niej zostałyby jeszcze sporo. Jej otoczenie z biegiem czasu przyzwyczaiało się do tego, że każdą, nawet najbardziej tragiczną, informacją Róża martwi się w porywach do kilkudziesięciu minut, po czym zaczyna znajdować w niej jakiś pozytywny aspekt, albo też ją bagatelizować, nie tracąc przy tym dobrego nastroju. Owa zasada obejmowała wszelkie dziedziny życia i prawie wszyscy bliscy pisarki uważali, że takie podejście do rzeczywistości jest jedną z jej największych zalet.

Jedyny wyjątek w tym gronie stanowiła mama Róży. Wyraziła ona bowiem kiedyś życzenie, aby córka udała się z nią w charakterze „plus jeden” na pogrzeb kuzyna, który jadąc rowerem, usiłował wymusić pierwszeństwo na TIR-ze, w wyniku czego, jak to zaprotokołowała początkująca policjantka, „na miejscu wypadku nie szło się połapać w częściach kadłuba denata”. Róża dzielnie przetrwała mszę pogrzebową, starając się nie zwracać uwagi na kazanie księdza, który najpierw nazwał jej kuzyna „oazą spokoju”, choć ów słynął na pół miasteczka z pieństwa tudzież awanturnictwa i nawet przez wyjątkowo życzliwą ludziami naczelniczkę poczty tytułowany był uprzejmym mianem Lucyfera, następnie zaś stwierdził, że nieboszczyk „zostawił po sobie nieutuloną w żalu rodzinę”, co nieco się gryzło ze zdaniem wygłoszonym przed kościołem przez świeżą wdowę, brzmiałym: „Może w piekle go zniosą, bo tutaj to już wszyscy go mieli po dziurki w nosie”. Kiedy jednak w czasie pochówku jeden z grabarzy zaczął nucić pod nosem: „I raz, i dwa, i trzy, i w górę serca, wielki cis”, a ciotce denata wiatr zerwał z głowy ogromny kapelusz z rondem o obwodzie koła młyńskiego, która to ozdoba miotana podmuchami na skalę halnego trafiła wprost w siedzącą na drzewie i przyglądającą się pogrzebowi wronę, ta zaś nieco ogłuszona spadła

wielebnemu na głowę w momencie, kiedy wypowiadał on słowa: „Wyzwól go z więzów śmierci i daj mu udział w radościach raję z Twoimi świętymi”, Krull dostała takiego ataku śmiechu, że o mało co nie wpadła do grobu. Po wszystkim doczekała się więc gniewnego zapewnienia rodzicielki, że „to był ostatni pogrzeb, na który ją zabrała”.

Jednak od chwili kiedy jej narzeczony zniknął i to w dniu, w którym miał jej powiedzieć „tak”, a potem wsunąć na palec obrączkę, Róża straciła cały swój życiowy optymizm. Jej najbliżsi, początkowo przekonani, że z biegiem czasu melancholia pisarki minie, powoli zaczęli oswajać się z faktem, że dawna pogoda ducha Krull odeszła do historii, a ich samych czeka ponura egzystencja przy kimś, kto duchowo stał się żeńskim odpowiednikiem bohatera „Harry’ego Pottera”, Severusa Snape’a. Wizualnie Róża też poszła w jego ślady, zamieniając swoje pstrokate, radosne kreacje na czarne płachty albo porozciągane bluzy i swetry w tymże samym żałobnym kolorze. Po kilku miesiącach grono znajomych, próbujących ją jakoś pocieszyć, wydatnie się zmniejszyło, czemu nie należy się dziwić, zważywszy na fakt, że wyciągnięta raz bez mała przemocą na jesiennego grilla autorka sprawiła, że wieczorem wszyscy biorący w nim udział, łącznie z kotem, zaczęli wykazywać początkowe objawy depresji, w wyniku czego większość spała się na smutno, a osowiały czworonóg odmawiał konsumowania swojej ulubionej pasty z makreli jeszcze przez trzy dni po imprezie.

Ostatecznie po jakimś czasie przy pisarce zostały tylko cztery osoby. Jej gospoia Cecylia, uważająca, że Krull powinna codziennie zmawiać modlitwę do Świętej Moniki, która też żyła w wiecznym smutku po tym, jak jej syn odwrócił się od wiary i zaczął prowadzić hulaszczy tryb życia, ewentualnie do Świętej Anastazji, patronki wdów, przy czym tego ostatniego nie była pewna, bo w sumie Róża wdową formalnie nie była.

Drugą towarzyszką pisarki była jej koleżanka po piórze, Miłka Wężowska, wychodząca z założenia, że chorą duszę może uleczyć jedynie najedzone ciało i w związku z tym kombinująca na poczekaniu coraz bardziej oryginalne potrawy, które miały działać terapeutycznie, a które jedynie zwiększały zawartość owych rozciągniętych swetrów i bluz, preferowanych obecnie przez Różę.

Trzecim opiekunem Róży był jej przyjaciel Mario, przekonany, że powinna zastosować metodę „klin klinem” i nieustannie namawiający ją, żeby założyła sobie aplikację randkową, bo nawet jeśli się z nikim nie umówi, to przynajmniej pośmieje się ze zdjęć, jakie zamieszczają tam „paszczury przekonane, że są Bradem Pittem”.

I wreszcie czwartą osobą, dzielnie trwającą przy boku Krull, był jej agent Pepe, który uznał, że aktualna postawa jego pracodawczyni jest dla niego wyzwaniem



od losu i próbą przetestowania, kto w historii wykazał się większą cierpliwością: on czy Święty Szymon. I choć początkowo Pepe był przekonany, że sromotnie przegra ze świętym, który wlaź na słup i siedział na nim przez czterdzieści lat, to teraz jego kamienna pewność siebie powoli kruszała, bo też i nic nie wskazywało na to, aby humor Róży miał się kiedykolwiek polepszyć i to mimo że wypróbował na niej już wszystkie swoje sztuczki, od łagodnej perswazji począwszy, a na furiatycznym fochu skończywszy. Fakt, że Krull nijak nie zareagowała nawet na jego dąsa, połączony z okrzykiem: „Rób, co chcesz! Ja już mam tego dosyć! Więcej nie będę tu przychodził!”, świadczył o tym, że stan pisarki był o wiele, wiele gorszy, niż można się było spodziewać. Idący właśnie na spotkanie ze swoją pryncypalką Pepe przed jej drzwiami ciężko westchnął, po czym z rezygnacją zapukał, a po chwili lekko odetchnął, widząc, że drzwi otwiera mu gospośia pisarki.

– Jakże miło pana widzieć, panie Pawełku! – Cecylia wykonała zapraszający gest, po czym wpuściła go do niewielkiego, ale za to znajdującego się w samym centrum stolicy, mieszkania Krull. – Jaki pan piękniutki! Za każdym razem, kiedy pana widzę, to pan coraz bardziej ładniutki. I tak zawsze elegancko ubrany. Całkiem jak Święty Eligiusz, który zanim został duchownym, był dworzaniem króla Francji i zasłynął z najbardziej wykwintnych kreacji, a teraz jest patronem między innymi takich elegancików jak pan!

Pepe nawet nie drgnęła powieka, doskonale bowiem wiedział, że gospośia Róży ma na blachę wykute życiorysy wszystkich świętych i porównanie do któregośkolwiek z nich jest w jej ustach największym z możliwych komplementów. Obdarzył ją więc dziękczynnym uśmiechem, choć swoim zdaniem po dwóch godzinach joggingu, godzinie walki z zepsutym silnikiem Stefana oraz półtoragodzinnym oczekiwaniu w kolejce w ZUS-ie prezentował się wypisz wymaluj jak zużyty czajnik.

– Jak nasza królowna się dzisiaj miewa? – zapytał za to cicho. – Choć trochę lepiej?

Cecylia pokręciła głową, tracąc od razu uśmiech.

– Niestety, nie – odpowiedziała z żalem. – Z rana usiłowałam kolejny raz pocieszyć ją przypomnieniem opowieści o Hiobie, ale to też nic nie dało.

Pepe, który pomyślał, że w ramach pocieszenia Cecylia równie mogłaby czytać Róży kolumnę z nekrologami, ugryzł się w język, żeby nie zadać pytania, dlaczego gospośia koniecznie uparła się wpędzić pisarkę do grobu.

– Pepe! – Z kuchni wyjrzała Miłka. – Co ty tu robisz?! Przecież dzisiaj to ja miałam spędzić z Różą wieczór!

– Serio? – Kwiatek podszedł do Wężowskiej, po czym zręcznie uchylił się od jej pocałunku. – Masz coś na twarzy. Jakiś smar?

Miłka przeciągnęła palcem wskazującym po ustach.

– To nie smar, tylko tłuszcz, którym podlewamy gąskę – poinformowała go radośnie. – Nie czujesz, jak ładnie pachnie?

– Mam katar – westchnął Pepe. – Jedyne, co się przez niego przebija, to zapach niektórych ludzi w tramwaju.

– Nie przyjechałeś Stefanem? – zdziwiła się Miłka, po nieskutecznej próbie pocałunku, obdarzając go przyjacielskim stuknięciem w ramię. – Co się stało?

– Coś mu trachnęło pod maską – odpowiedział Pepe, wzruszając ramionami. – Usiłowałem dowiedzieć się co i chyba popsulem go do reszty. Jutro z rana przyjadą i go odholują do warsztatu. Musiałem się przesiąść do komunikacji miejskiej i po kilku przejazdach doskonale rozumiem Mariah Carey, która kiedyś powiedziała, że raz jechała autobusem i doznała takiej traumy, że już więcej tego nie powtórzy. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy aby stoisko z mydłem, żelami pod prysznic i antyperspirantami to nie jest ułuda szatańska, skoro ja je widzę bez żadnych problemów, a ci ludzie z autobusów najwyraźniej nigdy tam nie trafili.

– No nie wiem – wtrąciła z lekkim niesmakiem Cecylia. – Królowa Izabela Kastylijska podczas oblężenia Grenady przez jej męża Ferdynanda, ślubowała Stwórcy, że nie będzie się myć i zmieniać koszuli, dopóki jej mąż nie pokona innowierców. I choć trwało to kilka lat, słowa dotrzymała.

– Sugerujesz, kochana, że w autobusach i tramwajach jeżdżą żony i mężowie współczesnych rycerzy? – z głębi mieszkania rozległ się głos Mario, który jako jedyny przeszedł kiedyś na „ty” z gospożą Róży, bo nie uznawał innej formy zwracania się do kogoś, z kim przebywał dłużej niż kwadrans. – Cóż, twoim zdaniem, mają oni teraz oblegać? Poza Zarą w pierwszym dniu wyprzedzą?! W sumie to też Hiszpania, jak Grenada. Witaj, Pepe... – Kosek podszedł do agenta i uściśnął mu prawicę.

– Jesteśmy w komplecie? – zdziwił się Pepe.

– Yhm... – Mario pokiwał głową. – Też się pomyliłem.

– Cóż za zrzędzenie losu! – wykrzyknęła Cecylia. – To musi coś oznaczać!

– Na pewno smaczną gąskę – rzekła Miłka, otwierając piekarnik i z nieskrywanym zachwytem patrząc na jego zawartość. – Skórka już dochodzi. Jeszcze jakiś kwadransik i będzie można podawać. Ziemniaczki wstawione, zrobi się purée. I suróweczka też gotowa. Buraczki z jabłuszkiem.

– A ty ostatnio przerzuciłaś się z horrorów na literaturę dziecięcą? – zdziwił się Pepe.

– Czemu? – Miłka oderwała wzrok od piekarnika i popatrzyła na niego pytająco.

– Wszystko zdrabniasz – wyjaśnił Pepe. – Gąska, skórka, kwadransik, ziemniaczki, suróweczka, buraczki. Jedno z dwojga, albo zaczęłaś pisać bajki, albo dziecinniejsz, choć to trochę za wcześnie.

– Oj tam, oj tam. – Miłka machnęła ręką. – Jakoś przy jedzeniu przychodzi mi to samo z siebie. Sam wiesz, że sałatka z buraków brzmi mniej smakowicie niż sałateczka z buraczków. Nie mówiąc już, że skóra z gęsi rodzi kanibalistyczne skojarzenia. Skórka jest znacznie apetyczniejsza.

– On nie mówi skórka – Mario uśmiechnął się złośliwie – tylko zest. Widziałem w jego ostatniej książce kucharskiej.

– A zest to nie anglicyzm? – zdziwiła się z niewinną miną Miłka. – Niemożliwe, żeby używał tego słowa ktoś, kto zrobił nam kiedyś karczemną awanturę, że nie mówi się randomowy, tylko przypadkowy...

– Zejdźcie ze mnie z łaski swojej, dobrze? – poprosił Pepe. – Zest mówi się u mnie na Śląsku i tylko na tartą skórkę z owoców. To jest ukłon w stronę miejsca, gdzie się urodziłem.

– I którego nie znoszę prawie tak jak Bułgarii – mruknął pod nosem Mario, pomny tego, że każde skojarzenie z owym krajem działa na Pepe jak płachta na byka albo jak na niego samego zdanie: „postanowiłam dzisiaj przed snem nie zmywać makijażu”.

– Słucham? – Pepe skierował na niego pytające spojrzenie.

– Nic, nic! – zapewnił Mario. – Tak sobie mamrocę...

– Żeby ci od tego język nie odpadł – rzekł mściwie Pepe, po czym znów popatrzył na Miłkę. – Ale po co ta gęś? Przecież dzisiaj nie wypada Świętego Marcina?

– A bo to tylko wtedy można upiec gąskę? – zdziwiła się Miłka. – Przypomniało mi się, że kiedyś pojechaliśmy z Różą na jakąś imprezę literacką, już za cholere nie pamiętam jaką, i tam podali nam właśnie gęsinę. Róża stwierdziła, że to jej ulubiony drób. Postanowiłam sprawić jej przyjemność.

– Chwalebne – przyznał Pepe, w duchu próbując zdusić myśl, że większą część owej przyjemności Wężowska pochłonie sama, tak jak wszystkie poprzednie dania, które przygotowywała dla przyjaciółki.

– Nie chwalebne, tylko durne – wtrącił Mario.

– A to niby czemu?! – oburzyła się Miłka.

– Bo skoro nie poprawiło jej nastroju to coś okropnego, czarnego we flaku...  
– Kaszanka – podpowiedziała szybko Wężowska, wyłapując zdziwiony wzrok Pepe – z cebulką.

– Z toną cebuli – sprostował Mario. – Skoro nie poprawiły jej nastroju te białe mączne kłocze wielkości pięści...

– Kartacze – znów pospieszyła z wyjaśnieniem Miłka.

– I skoro nie poprawił jej nastroju ten fałszywy makowiec, po którym przez dzień odbijało mi się zdechłą rybą...

– Kulebiak – westchnęła Miłka. – To nie moja wina, że trafiłeś akurat na ten z łososem. Drugi był z kapustą i grzybami.

– Czyli odbijałby mi się jeszcze dłużej – skwitował stanowczo Mario. – Więc – wrócił do tematu – skoro nic z tego nie zdało egzaminu, to możemy chyba spokojnie założyć, że i to ociekające tłuszczem ptaszyczo też niewiele zdziała...

– Niekoniecznie – rozległ się zza jego pleców cichy głos Róży.

– No widzisz! – rozpromieniła się Miłka. – Wiedziałam!

Pepe podszedł do pisarki i z taką serdecznością, na jaką pozwolił mu jego z reguły niezbyt skłonny do okazywania uczuć charakter, lekko ją uściskał.

– Naprawdę masz wreszcie na coś ochotę? – zapytał z lekkim niedowierzaniem, bo przez ostatnie tygodnie Krull na wszystko reagowała co najwyżej wzruszeniem ramion. Nie wywołała w niej żadnej reakcji nawet wiadomość o odwołaniu ekranizacji jednej z jej książek, choć w każdej innej sytuacji dostałaby z miejsca furii i poleciała robić awanturę producentom i reżyserowi. Jeść jadła wszystko, co jej Miłka podsunęła, ale bez żadnej przyjemności, jakby automatycznie.

– Ochotę to może za dużo powiedziane – westchnęła Róża – ale muszę przyznać, że faktycznie pachnie smakowicie...

– Aż żal, że nie czuję...

– Alergia? – Krull popatrzyła na swojego agenta ze szczerym współczuciem. – Myślałam, że dokuczają ci tylko latem...

– Teraz już nie mogę się jej pozbyć przez cały rok – wyjaśnił Pepe ze smutkiem. – Najgorsze, że nie wiadomo, co ją wywołuje. Myślałem, że coś, co pyli, ale teraz przecież nic takiego nie ma w powietrzu. Wszystko leży przykryte śniegiem.

– Może to uczulenie na kurz? Albo roztocza? – podsunęła Miłka. – Kurz jest przez cały rok!

– Naprawdę myślisz, że nie sprzątam we własnym domu? – W oczach Pepe pojawił się niebezpieczny błysk, zrozumiały dla wszystkich wiedzących, jakim jest

pedantem, na czele z Różą, która kiedyś, będąc jego gościem, zapytała, czy Kwiatek podnajmuje w wolnych chwilach swoje pokoje szpitalom jako sale operacyjne. Zważywszy bowiem na ich stan, wydało jej się to wielce prawdopodobne. Większego fioła na punkcie czystości miała tylko jej świętej pamięci praprababcia, która zapytała kiedyś księdza, chodzącego po kolędzie, czy dawno zmieniał skarpetki, bo jak nie bezpośrednio przed wejściem do jej domu, to będzie musiała zaraz po jego wyjściu zdezynfekować dywan. Wprowadziła tym wielebnego w stupor, bo nie zamierzał on wcale zdejmować butów i po tych słowach bał się w ogóle przekroczyć próg jej mieszkania, tym bardziej że prababcia była jurną kobietą słynącą z używania wałka na parobkach, synach i mężu.

– Nie, nie! – wycofała się szybko Wężowska, wylapując znaczące spojrzenie Mario. – Zastanawiam się tylko, co może cię uczulać przez całych dwanaście miesięcy.

– Chyba ludzka namolność – westchnął Pepe, po czym wrócił wzrokiem do Róży. – À propos, czy ty już się namyśliłaś nad tymi cholernymi „Książkami pod Arkadami”? Ten facet mnie zamęczy...

– Przecież ci powiedziałam, że nie chcę brać w tym udziału. I to chyba niejedyn raz...

– Nie. – Pepe pokręcił głową. – To znaczy tak, ale kiedy zaczął do mnie wydzwaniać jak jakiś akwizytor garnków, obiecałaś, że jeszcze to przemyślisz. Ten facet to jakiś maniak obsesyjny. Ostatnio powiedział, że bez ciebie nie zrobi tej imprezy...

– To niech nie robi. – Krull wzruszyła ramionami. – Każe mu ktoś?

– Owszem, ministerstwo dziedzictwa – wyjaśnił Kwiatek. – Ale nie w tym sęk. Zapewniał, że wszystko podporządkowane jest pod ciebie. Masz zapewnioną najlepszą godzinę na głównej scenie, osobną salę na podpisywanie książek, będziesz miała największe banery na mieście, pojawisz się nawet na tym kobylistycznym telebimie na hotelu Marriott. Zostaniesz wymieniona w materiałach prasowych na pierwszym miejscu, nawet przed Bondą.

– Jeśli przed Bondą, to nawet ja bym się zgodziła – rzekła stanowczo Miłka. – Tylko że mnie tego nigdy nie zaproponują. Ostatnio na „Lecie z Książką” byłam wymieniona nawet po Rogozińskim.

– Dajcie mi spokój – poprosiła cicho Róża. – Nie mam ochoty. Nie chcę wychodzić z domu.

– Ale przecież nie możesz spędzić tak reszty życia – zaprotestował Pepe.

– Zwłaszcza w takich warunkach. – Mario przejechał krytycznym wzrokiem po popękanych suficie i nie pierwszej świeżości ścianach kuchni. – Przecież tu wy-

gląda jak w slumsach!

– Święty Jan z Dukli spędził pół życia w pustelni i jakoś nie narzekał – wtrąciła Cecylia, patrząc na niego potępiająco.

– Skoro koniecznie chcesz zrobić z Róży świętą, to może ją od razu rzuć na pożarcie dzikim zwierzętom. – Mario pokazał gosposi język.

– Masz na myśli tę gęś? – Pepe z nieskrywaną ironią wskazał na piekarnik. – Chyba jednak odwrotnie? To my ją pożremy, a nie ona nas...

– Mała poprawka: wy ją pożrecie. Ja nie zamierzam tego tknąć – poinformował go Mario z lekkim obrzydzeniem, po czym oskarżycielsko wskazał palcem na Wężowską. – Ona wrzuciła tam tonę smalcu. Od samego widoku zapychają mi się żyły i tętnice.

– Gęś musi się piec w tłuszczu, bo inaczej jest sucha – wyjaśniła Miłka.

– Sucha to jest Beskidzka – rzekł stanowczo Mario – a ty przygotowałaś wywar ze smalcu z lekkim dodatkiem gęsiny. Dziękuję, nie po to co trzeci dzień przez godzinę macham kończynami w fitnessie pod okiem jakiejś sadystki, żeby teraz aplikować sobie tonę tłuszczu.

– Jakiej znowu sadystki? – zdziwił się Pepe.

– Mojej trenerki personalnej – wyjaśnił nie bez pewnej dumy Mario. – W kategorii grozy, jaką we mnie budzi, plasuje się na podium zaraz po mojej matce oraz tej posłance, która ostatnio używała szamponu w ramach przygotowań do pierwszej komunii świętej.

– Czy wy przestaniecie wreszcie tak przeraźliwie bredzić? – poprosiła cicho acz z wyraźną nutą irytacji w głosie Róża. – Słucham was i mam wrażenie, że jestem w wariatkowie.

– Co racja, to racja – poparła ją Cecylia. – Aż chce mi się zmówić za was modlitwę do Świętego Walentego.

– A to aby nie jest patron zakochanych? – Pepe nie krył zaskoczenia wyborem patrona do modłów za ich zdrowie psychiczne.

– Owszem, jest – Jodełka pokiwała potwierdzająco głową – ale nie tylko. Także chorych na epilepsję, dżumę, podagrę i choroby umysłowe.

– W sumie od zakochania do obłąkania nie tak daleko – westchnął Pepe, po czym popatrzył błagalnie na Krull. – To co? Zgodzisz się na te „Książki pod Arkadami”? Wiesz, że rzadko cię o coś proszę...

Widać było, że Róża chce mu kolejny raz odmówić. Kiedy jednak popatrzyła na jego błagalną minę, nieco się zawahała. Faktycznie, Pepe bardzo rzadko ją o coś prosił. W drugą stronę było dokładnie odwrotnie, bo pisarka przez lata nauczyła

się go wykorzystywać jako swoiste połączenie menadżera z szoferem, bagażowym, kucharzem, psychoterapeutą, sprzątaczem, gońcem, księgowym i ochroniarzem, i to niezależnie od faktu, czy aktualnie był jej oficjalnym agentem, jak znowu od pewnego czasu, czy tylko pełnił rolę przyjaciela, po prostu od zawsze był dla niej na posyłki i traktowała to jako oczywistą oczywistość. W związku z tym jej dług wdzięczności wobec Kwiatka narósł do rozmiarów bez mała Kili-mandżaro. Jakoś idiotycznie było jej w tej sytuacji powiedzieć: „nie”.

– No dobrze – rzekła, starając się włożyć w te dwa słowa tyle niechęci, ile tylko się dało. Dług długiem, niech jednak Pepe doceni jej poświęcenie. – Zrobię to, ale pod warunkiem, że wystąpię tylko na głównej scenie, udzielę tylko jednego wywiadu i podpiszę książki. Nie wydałam już dawno nic nowego, więc jest nadzieja, że kolejka nie będzie długa.

– Wznowili twoje stare powieści w nowych okładkach – poinformował ją Pepe, nie kryjąc ulgi. – Mają fluorescencyjne kolory, a twoje nazwisko jest wydrukowane brokatem. Istnieje obawa, że ludzie na ich widok stracą wzrok i wydawca zbankrutuje na odszkodowaniach, jakie będzie musiał im zapłacić. Ale na razie się tym nie przejmujemy. Grunt, że rzucają się w oczy i ludzie je kupują jak zahipnotyzowani, nie kojarząc, że taki tytuł stoi już na ich półce od lat, tyle że w jakichś mdłych i smętnych barwach. Róża, wielkie dzięki! Ściągasz mi z głowy ogromny kłopot, bo już naprawdę nie wiedziałem, co mam temu facetowi mówić.

– Mam nadzieję, że to zapamiętasz i już więcej od ciebie nie usłyszę, że nigdy nie idę ci na rękę – Róża podeszła do Miłki, po czym przykucnęła przy kuchence i zajrzała do wnętrza piekarnika. – Usiłujesz przerobić tę gęś na węgiel? Rozumiem, że skoro na Śląsku wydobywa się go coraz mniej, chcesz wyrównać deficyt?

Pepe pomyślał, że skoro Róży wraca złośliwość, być może wreszcie jest na dobrej drodze, aby zacząć z wolna dochodzić do formy.

– Słucham? – zdziwiła się Wężowska. – Piekę ją dłużej, żeby miała chrupiącą skórkę...

– Za chwilę będzie miała też chrupiące nadzienie – zauważyła Róża. – Weźże ją wyjmij, zanim stanie się interesująca tylko dla geologów. Jako skamielina.

Mniej więcej po kwadransie cała piątka zasiadła przy stole w salonie pisarki. Na gęś ostatecznie skusił się nawet i Mario, tyle że nałożył sobie tylko kawałek piersi, równie starannie, co demonstracyjnie pozbywając się skóry, którą określił jako „przesiąkniętą na wylot tłuszczem”.

– Jakieś nowe wiadomości od Krzysztofa? – zapytała Róża, kiedy już wszyscy rozpoczęli konsumpcję.

Pepe, który spotkał się z komisarzem Darskim dzień wcześniej, pokręcił głową.

– Sprawa utknęła w martwym punkcie – poinformował ze smutkiem. – Wciąż nie wiedzą, kim były te osoby, które go wyprowadziły z prosektorium. Nadal nie wiadomo, jakim cudem się tam dostały. Krzys kazał ci tylko powiedzieć, żebyś nie traciła nadziei, bo nic nie wskazuje na to, aby Piotr... – Przerwał, nie wiedząc, jakich słów użyć.

– Nie żył? – wyręczyła go Róża, nazywając rzecz po imieniu. – Nic nie wskazuje też na to, aby żył. Poza przecuciem pani Cecylii...

– Święta Gemma też miała przecucie, że dostąpi jakiejś wielkiej łaski – rzekła Jodelka, pospiesznie przełykając kawałek gęsi. – Nawet zwierzyła się z tego swemu spowiednikowi. I wkrótce potem otrzymała dar stygmatów!

– Czyli skaleczyła się ostrymi nożyczkami – mruknął Mario, którego wiara obejmowała jedynie Stwórcę i nie rozszerzała się na żadne osoby, które kiedykolwiek miały szansę stąpać po naszej planecie. – Moim zdaniem Darski ma rację. Póki nie ma dowodów na to, że twój doktorek nie opuścił tego padółu, nie ma co zakładać najgorszego.

– Przestańmy o tym rozmawiać, dobrze? – poprosiła Róża. – Po prostu chciałam wiedzieć, czy Krzysztof wie cokolwiek nowego.

Przez chwilę przy stole panowała grobowa cisza.

– A czy uwierzylibyście, że te pajace znowu zaproponowały mi robienie promocji festiwalu w Opolu?! – przerwał ją wreszcie Mario.

– Myślałem, że po ostatnim mają cię już po dziurki w nosie – zdumiała się Miłka. – W ogóle dziwię się, że jeszcze organizują tę imprezę po tym, jak próbowano tam zabić połowę show-biznesu...

– Po pierwsze, nie połowę tylko ledwie parę osób – sprostował Mario. – A po drugie, w rankingach klikalności ostatni festiwal pobił wszelkie rekordy...

– Myślisz, że to dlatego, że maczałeś w nim swoje starannie zadbane dłonie – Miłka posłała mu ironiczne spojrzenie – a nie, bo grasował tam morderca? I że toczyło się śledztwo relacjonowane przez wszystkie media? Nie musiałeś nawet wysłać jednej informacji prasowej, żeby wszyscy o nim mówili...

– Być może – zgodził się uczciwie Kosek. – Tak czy siak, w przyszłym roku znowu moja agencja będzie przy tym pracowała. Zaoferowali mi taką kasę, że tylko głupi by się nie zgodził. Co prawda, przeżyłem chwilę wahania, kiedy dowiedziałem się, że główną atrakcją ma być recital Klaudii Hutniak, która świę-



tuje jakiś jubileusz, dwudziestolecia swojego pierdolca czy czegoś w tym stylu, ale nawet gdy wliczyłem w koszty cenę mojej późniejszej psychoterapii, nadal wychodzę na tym biznesie ostro do przodu, więc postanowiłem zacisnąć zęby i przetrwać nawet i ten punkt programu.

– Klaudia zachowała się bardzo miło... – rzekła w zamyśleniu Róża. – Zadzwo niła do mnie, potem przysłała mi swoje piosenki, które miały działać terapeutycznie...

– I działały? – zaciekawiał się Pepe. – Nic mi o tym nie mówiłaś?

– Naprawdę? – zdziwiła się Róża. – Możliwe. Tyle rzeczy mi ostatnio umyka. Nie wiem, czy działały, bo nigdy ich nie przesłuchałam...

– Może to i lepiej. – Mario westchnął. – Jeszcze byś od tego zbzikowała. Co tam ostatnio ona odkryła? Cyprysa duszy?

– Krokusa – poprawiła Miłka, która razem z Koskiem kilka dni wcześniej popłakała się ze śmiechu podczas lektury najnowszego wywiadu diwy. – Należy go podlewać potokiem dobrych myśli, aby rozkwitł i pozwolił rozdzielić swoje ukryte kłęczka, z których powstaną pozytywne byty...

– ... i chronić go przed trucizną, jaką niosą wyznawcy tak zwanych nowoczesnych technologii, które są dziełem szatana i służą tylko do zniewalania naszych umysłów – dokończył Mario.

Pepe popatrzył na nich podejrzliwie.

– Piliście coś? – zapytał ze zdumieniem. – Ewentualnie wachaliście?

– Nie. – Mario pokręcił głową. – Cytujemy tylko mądrości Hutniak, która teraz będzie stała na czele rewolucji wytarcia czegoś tam... Znowu zapomniałem.

– Otwarcia oczu duszy – sprostowała Miłka, dokładając sobie solidną porcję gęsiny. – Zakłada nawet specjalny Uniwersytet Otwartych Oczu Duszy. Vision Express będzie miał konkurencję.

– Coś nie tak...? – Pepe uważnie patrzył na Różę, która od kilku chwil z dziwnym wyrazem twarzy grzebała widelcem w talerzu.

– Coś mi się przypomniało... – odpowiedziała pisarka w zamyśleniu. – Jakiś czas przed festiwałem... Wydarzyło się kilka dziwnych rzeczy... Zupełnie o nich zapomniałam, ale teraz jakoś mnie to naszło. Mario, pamiętasz...?

Kosek pokręcił głową.

– Jakich rzeczy? – zapytał Kwiatek.

– Pamiętam, że kiedy zgodziłam się zasiąść w jury festiwalowym, zaczęły mi się przytrafiać jakieś dziwactwa. Pierwszy chyba był samochód. Przystały w nim działać hamulce.

– A jest w twoim samochodzie coś, co działa? – zdziwił się szczerze Pepe, bo też i faktycznie zakupione przez pisarkę auto, odkąd je kupiła, więcej czasu spędziło w warsztacie niż na parkingu pod domem Krull i jako takie psuło się częściej nawet od sejmowych maszyn do głosowania w chwili, kiedy coś poszło nie po myśli partii rządzącej.

– Teraz już tak. – Róża machnęła niecierpliwie ręką. – Wyjechałam wtedy z Siennej na Jana Pawła bardzo powoli, bo jakaś kobieta z siatami usiłowała koniecznie włączyć mi się pod maskę, więc nie zdążyłam się rozpedzić i udało mi się wyhamować siłą bezwładu. W każdym innym przypadku cisnęłabym gaz i nie zatrzymałabym się przed rondem ONZ. Staranowaliby mnie wszyscy zjeżdżający z wiaduktu. Potem ktoś próbował mnie przejechać, kiedy przechodziłam Złotą do centrum handlowego. Pamiętam, że w ostatniej chwili ściągnął mnie z jezdni już prawie spod kół jakiś Ukrainiec. Tamten samochód przejechał o włos ode mnie. Ukrainiec powiedział, że wyglądało to tak, jakby ktoś w aucie chciał mnie stuknąć z premedytacją, bo gdy weszłam na jezdnię, to jeszcze przyspieszył. Co to był za samochód? – Pisarka zamyśliła się na moment. – Nie pamiętam. I jeszcze była winda. O mało co nie wpadłam do pustego szybu!

– Ha! – ocknął się Mario. – Teraz pamiętam! Opowiadałaś mi o tym. I spałaś wtedy u mnie przed festiwalem, bo się bałaś, że ktoś na ciebie dybie! Tych poprzednich historii nie kojarzyłem, ale tę o pustym szybie zapamiętałem, bo gdy mi ją opowiadałaś, to się zastanawiałem, czy faktycznie byś zleciała na sam dół, czy też zaklinowała się już na samym początku...

– Zaklinowała? – Róża popatrzyła na niego groźnie.

– Nie, żebyś była gruba – szybko wytłumaczył Mario. – Zwłaszcza wtedy. Tylko ta twoja winda powinna mieć tabliczkę z napisem: „Maksymalna liczba osób: jedno dziecko. Chude!”.

– Nie rozumiem, o co chodzi z tym szybem – rzekła z niezadowoleniem Miłka.

– Ten blok jest z lat sześćdziesiątych – wyjaśniła Róża, z rozmysłem pomijając wątek swojej tuszy. – Na początku podobno działała w nim normalna winda. Miała żelazne drzwi, które trzeba było sobie samemu otworzyć. Potem wymieniono kabinę na taką z automatycznym otwieraniem i wmontowano ją w stary szyb. I teraz, żeby z niej wysiąść, trzeba poczekać, aż drzwi kabiny otworzą się automatycznie, a potem i tak samemu otworzyć drugie, zewnętrzne. One są zabezpieczone i póki kabina nie zatrzyma się na danym piętrze, nic z nimi nie zrobisz. Ale pewnego dnia wyszłam z mieszkania, zobaczyłam, że na tabliczce z przyciskami pali się czerwona lampeczka, oznaczająca, że winda stoi na moim piętrze, i odruchowo otworzyłam te pierwsze drzwi. Zrobiłam krok do przodu

i wtedy spostrzegłam, że nie ma za nimi kabiny. Gdyby nie refleks, wpadłabym do szybu, zleciała i się zabiła, bo przecież to szósta kondygnacja.

– I nie zgłosiłaś tego na policję? – zdziwił się Pepe.

– Nie – przyznała Róża. – Spotkałam zaraz potem konserwatora budynku. Powiedział mi, że to nie pierwszy raz, kiedy coś takiego ma miejsce, i że właściwie wszystko w tym bloku działa na słowo honoru, bo wybudowali go Ruscy w czasach, kiedy alkohol uznawany był za najlepszy środek do przyspieszenia pracy, więc i tak powinniśmy się cieszyć, że jeszcze się tu wszystko nie zawaliło. Potem jednak sprawdził i powiedział, że chyba ktoś majstrował przy tych zewnętrznych drzwiach, bo są jakieś ślady, ale z drugiej strony to on nie da sobie głowy uciąć, czy są świeże, bo przez te wszystkie lata w tej windzie zacięło się już tyle osób, że jakby je wszystkie zebrać do kupy, to Chiny przestałyby mieć najwięcej mieszkańców na świecie. I że to równie dobrze mogą być ślady po uwalnianiu jednej z nich.

– Mimo wszystko uważam, że mogłaś o tym powiedzieć choćby Krzysiovi – upierał się Pepe.

– On i bez tego uważa, że jestem psychicznie niestabilna – rzekła Róża, zresztą zgodnie z prawdą, bo też i przez lata ich znajomości komisarz Darski faktycznie wyrobił sobie niezbyt przychylną opinię o umysłowości przyjaciółki swojej narzeczonej, co nie przeszkadzało mu uznawać ją za jedną z najlepszych rodzimych pisarek i mimo wszystko w głębi duszy czuć do niej ogromną sympatię. Ot, coś na zasadzie „kto się lubi, ten się czubi”. – Poza tym po festiwalu wszystko się uspokoiło... – Zmarszczyła brwi.

– Taaaak...? – Pepe wiedział, że z reguły leniwa i wielokrotnie zawodna pamięć Róży raz rozpędzona, zaczyna działać dużo lepiej niż u innych.

– Kiedy wróciłam z Opola... coś jeszcze mnie zaskoczyło. Ktoś wysprejował mi na drzwiach napis: „Póki śmierć nas nie rozłączy”.

– To nawet i ja pamiętam! – wtrąciła Cecylia. – Niczym to cholerstwo nie chciało zejść. Dopiero gdy użyłyśmy mieszanki octu, acetonu i ulubionego szamponu pani Różyczki, to jakoś dałyśmy radę.

– Szamponu? – zdziwiła się Miłka.

– Właś się przez przypadek – wytłumaczyła Krull – ale wyszło, że jest bardzo skuteczny.

– A myślałam, że dzisiaj przed wyjściem do kina, umyję u ciebie głowę – rzekła z rezygnacją Wężowska – ale teraz chyba się nie odważę.

– Dlaczego?

– Bo skoro ten szampon rozpuścił sprej, to z moimi włosami też sobie poradzi  
– rzekła stanowczo Miłka, odruchowo poprawiając grzywkę. – Nie chcę iść na randkę w charakterze wyłysiałej koczodanic...

– Weź się zdecyduj – poprosiła Róża. – Idziesz do kina czy na randkę?

– A od kiedy to się wyklucza? – zdziwiła się Miłka. – Na randkę do kina. Przecież nie powiedziałam, że na film...

– Z kim? – zaciekawiał się Mario.

– Z jednym takim... – Widać było, że Wężowska nie ma ochoty na zwierzenia.  
– Niedawno się poznaliśmy.

– Tinder? – zapytał Mario, mrużąc złośliwie oczy. – Znowu jakiś rolnik szuka żony?

– Sam jesteś rolnik! – oburzyła się Miłka. – Całkiem miły człowiek. Inżynier. Znawca kina i teatru. I nieźle wygląda.

– Pokaż! – zażądał.

– Akurat. – Miłka pokazała mu język. – Żebyś znalazł w nim tysiąc wad, tak jak w każdym!

– No pokaż, pokaż. – Kosek machnął niecierpliwie ręką.

– Też chętnie zobaczę – włączył się w ich rozmowę Pepe.

– Nie i basta! – uparła się Miłka.

Mario spojrział porozumiewawczo na Różę.

– W sumie to i ja bym go oblukała – westchnęła pisarka, kierowana mniej własną ciekawością, a bardziej chęcią uszczęśliwienia Koska.

– No dobrze... – Miłka sięgnęła po smartfon. – Skoro i ty, Brutusie, przeciw mnie, to proszę bardzo! Sami zobaczycie, że nie ma się czego czepiać.

Trzy pary oczu wgapiły się w ekran telefonu. Czwarta należała do pani Cecylii, która uważała, że ludzie powinni się poznawać nie przez jakieś diabelskie i gorszące aplikacje internetowe, ale w normalny sposób. Najlepiej na pielgrzymkach.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Wreszcie Mario odchrząknął.

– Będę mógł iść z tobą? – zapytał z niewinną miną.

– A to czemu? – zdumiała się Miłka.

– Bo zawsze chciałem poznać Iana Somerhaldera – wyjaśnił Kosek.

– Kogo?!

– Iana Somerhaldera – powtórzył grzecznie Mario. – Aktora. Grał w „Pamiętnikach wampirów” i „Zagubionych”.

– Serio? – Miłka sama przyjrzała się ekranowi. – Pierwsze słyszę o takim aktorze!

– Naprawdę nie mam pojęcia, jak można pisać powieści grozy i nie obejrzeć „Pamiętników wampirów” – stwierdził Mario z politowaniem. – Toż to podstawa!

– Podstawą to są książki Edgara Allana Poe – rzekła Miłka – a nie jakieś hollywoodzkie seriale! I w ogóle książki, a nie filmy!

– „Pamiętniki wampirów” powstały na podstawie powieści L.J. Smith – wyjaśniła z niewinną miną Róża. – A co do mycia głowy, to jest jeszcze szare mydło. Na randkę z fałszywym gwiazdorem Hollywood powinno starczyć.

– Poczekajcie chwilę – poprosił Pepe – bo przy tych waszych idiotyzmach, znowu zgubiliśmy sedno sprawy. Stanęliśmy na tym, że ktoś wysprejował ci – popatrzył na Różę – na drzwiach końcówkę przysięgi małżeńskiej. I co? Tego też, oczywiście, nie zgłosiłaś.

– Uznałam to za żart. – Krull wzruszyła ramionami. – Podobnie jak tekst piosenki.

– Jakiej znowu piosenki?! – jęknął Pepe. – Dużo jeszcze masz tych niespodzianek w zanadru?

– To chyba ostatnia... – odpowiedziała niepewnie pisarka. – „Samba przed rozstaniem”... Gdzie ja mogłam podziać tę kartkę? Mam nadzieję, że jej nie wyrzuciłam. Coś tam się nie zgadzało... Jakież wyrazy...

– A mogłabyś się wyrażać nieco bardziej zrozumiale? – poprosił Pepe. – Jaka samba? Jakież wyrazy?

– Zaraz... – mruknęła Krull, po czym wstała od stołu i udała się korytarzem do swojego gabinetu. Po chwili wróciła, trzymając w dłoni nieco sfatygowaną, małą kartkę. – To jest to. Na szczęście nigdy niczego nie wyrzucam.

– No nie wiem, czy to takie szczęście – mruknął Pepe, który zawsze w mieszkaniu swojej pracodawczyni ostatkiem sił hamował się, aby nie zakasać rękawów i nie zacząć najpierw czyścić paneli podłogowych, potem trzepać dywanów, a na koniec zacząć porządkować milionów szpargałów pisarki, których nagromadzenie przeczyło, jego zdaniem, teorii Darwina i wskazywało, że Róża pochodzi nie od małpy, ale od sroki. – I co tam jest?

– Tekst Jonasza Kofy – wyjaśniła Krull. – Tylko że w porównaniu z oryginałem nie zgadzają się tam trzy słowa, sam popatrz. Tu idzie to tak: „Nie, nie możesz teraz odejść / Bierzesz mi ostatnią wodę / Żar pustyni pali mnie / Bezlitosna płowa pustka / Mam splekane suche usta / Pocałunek mój to śmierć / Nie, nie możesz teraz odejść / Kiedy cała jestem głodem / Twoich oczu dłoni twych / Mów,

powiedz, że zostaniesz jeszcze / Nim zabierze mi powietrze / Zanim wejść w wielkie nic / Nie, nie możesz teraz odejść / Jestem rozpalonym lodem / Zrobię wszystko, tylko bądź / Bądź, zostań jeszcze chwilę moment / Płomień, płonę, płonę, płonę / Zimnym ogniem czarnych słońc”.

– I co się tam nie zgadza? – zaciekawiał się Mario. – Bo szczerze mówiąc, nie pamiętam oryginału.

– Trzy słowa – odpowiedziała Róża, zerkając na kartkę. – Nawet sobie wynotowałam. Zamiast „Pocałunek mój to śmierć” powinno być „Pocałunek mój to krew”. Potem u Kofty jest „Nim odbierzesz mi powietrze”, a tu „Nie zabierze mi powietrze”, co w ogóle przy okazji nie ma sensu też i gramatycznie. I wreszcie tam, gdzie na kartce jest „Płomień, płonę płonę płonę” powinno być czwarte „płonę”. Jak się te trzy niewłaściwe słowa ustawi po kolei, wyjdzie „Śmierć zabierze płomień”. Dumalam chwilę, co to może znaczyć, ale nic nie wymyśliłam. Zaczęłam się wtedy spotykać z Piotrem i szczerze mówiąc, jakoś specjalnie się tym listem nie przejęłam. Włożyłam go do szuflady i zapomniałam.

– A kto ci wysłał ten tekst? – zapytał Pepe. – Może on wiedział, co to niby miało znaczyć?

– Romuald Paciorek, a przynajmniej tak było napisane na kopercie, w której to przyszło. Siedzieliśmy razem w jury na festiwalu. I od razu powiem ci, że nie mam pojęcia, dlaczego wysłał mi ten list, bo po Opolu jakoś się nie widzieliśmy, zresztą wtedy dużo wyjeżdżałam z Piotrem i dopiero gdy czytałam jego nekrolog w gazecie, przypomniało mi się, że miałam go zapytać o ten list.

– Jak to? – zdziwił się Mario. – Ktoś go utłukł?

– E tam... – Róża się skrzywiła. – Zaraz utłukł. Umarł śmiercią naturalną. Wylew. Był w domu, z żoną, która wezwała pogotowie i próbowała go reanimować, ale nie dała rady. Zszedł, zanim przyjechała karetka.

– Biorąc pod uwagę ich średni czas dojazdu, to jeśli teraz byśmy ich wezwali z powodu zapchania żył gęsiną, to wszyscy zdążylibyśmy umrzeć i to ze starości – rzekł z pełnym przekonaniem Mario, który ostatnio zmuszony był zadzwonić pod numer alarmowy, kiedy jego ojciec dostał napadu duszności, i usłyszał od dyspozytorki radosną radę, żeby „może powachlował tatusia gazetą”.

– Skąd znasz detale jego śmierci? – Pepe popatrzył na Różę podejrzliwie.

– Bo byłam na pogrzebie – wyjaśniła Krull – i rozmawiałam z jego żoną. Zapytałam o tę kartkę, ale nic o niej nie wiedziała. Powiedziała mi tylko, że po powrocie z festiwalu Romuald był wiecznie poddenerwowany, że zrobił się trochę tajemniczy i że jego wylew był chyba wynikiem stresu, bo nigdy wcześniej nie narzekał na ciśnienie. Niemniej jednak niewiele umiała mi wyjaśnić.

– I nadal ani przez chwilę nie zaświtał ci w głowie pomysł, aby iść z tym wszystkim na policję? – Pepe patrzył na nią z potępieniem.

– Przypominam ci, że zrobiłeś mi wtedy karczemną awanturę o to, że poleciałam do Jordanii zamiast pisać nowe książki. Powiedziałeś, że prawdopodobnie moi wydawcy właśnie zrobili zrzutę na mafię bułgarską, która ma mnie porwać i trzymać w lochu o chlebie i wodzie do czasu, aż wywiążę się ze wszystkich zaległości. I że oznacza to, że spędzę w tych kazamatkach mniej więcej czas do emerytury, więc dla mojego własnego dobra lepiej, żebym pisała sama z siebie. Tak mi siedziałeś na głowie, że wszystkie przygotowania do ślubu załatwiałam po nocy mailami, żebyś nie widział, że nie tracę czasu, który według ciebie powinnam była przeznaczyć na pisanie. A potem – westchnęła smutnie – o wszystkim zapomniałam... Zresztą jakie to miałyby znaczenie? – Krull kolejny raz wzruszyła ramionami. – Zwłaszcza teraz. Nic mi się od tamtego czasu nie zdarzyło. Nie było już żadnych idiotycznych przypadków. Cisza i spokój.

Pepe pomyślał, że zważywszy na fakt zniknięcia narzeczonego Róży i to w dniu ich ślubu, raczej nie byłby tak odważny w ferowaniu wyroków, że od tamtej pory „nic się nie zdarzyło”, ale zachował tę myśl dla siebie.

– Już wiem! – Okrzyk Cecylii sprawił, że pozostała czwórka zgodnie się zdrygnęła. – No, oczywiście!

Gospoia Róży, której w czasie rozmowy udało się przechwycić kartkę z tekstem piosenki Jonasza Kofty, patrzyła na nich z takim wyrazem twarzy, jaki zapewne musiał mieć Archimedes, kiedy z okrzykiem „Eureka!” latał nago po Syrakuzach, ciesząc się, że odkrył w wannie odpowiedź na pytanie swojego króla, czy jego korona jest ze szczerzego złota, czy też ma domieszkę srebra, a tym samym sformułował swojego słynne prawo, będące teraz zmurą uczniów podstawówek.

– Co oczywiście? – zaciekał się Mario, którego odetkało jako pierwszego.

– Śmierć zabierze płomień! – rzekła triumfalnie Cecylia. – Wiedziałam, że z czymś mi się to kojarzy!

– Z czym? – postanowił podrażnić tym razem Pepe.

– Z obrazem przedstawiającym śmierć Świętego Polikarpa!

– Był taki święty? – Miłka popatrzyła podejrzliwie na gospozię Róży. – Bo czasem mam wrażenie, że pani wymyśla co poniektórych na poczekaniu. Tak jak tego tam Monitora...

– Nigdy w życiu nie śmiałabym tego zrobić! – Cecylia aż się przeżegnała ze zgrozy. – Święty Monitor żył. Tak jak i Święty Polikarp, choć prawie pięćset lat wcześniej. Ten pierwszy był biskupem Orleanu, a ten drugi biskupem Smyrny i uczniem samego Jana Ewangelisty. Został skazany za to, że nie chciał się kła-

niać pogańskim bożkom i składać im darów. Tak bardzo go szanowano, że sam konsul cesarza Rzymu namawiał go długo w więzieniu, aby wyparł się swojej wiary. Ale Polikarp nie ustąpił. Skazano go na śmierć na stosie. Kiedy go prowadzono na miejsce męczeństwa, święty sam zjął swoje szaty, a gdy jeden z rzymskich legionistów chwycił jego ręce, aby przybić je do pala, Polikarp rzekł, żeby tego nie robił, bo Stwórca da mu siłę, by wytrwał nieruchomo w ogniu. Żołnierz go posłuchał, a wtedy Polikarp zaczął śpiewać pieśń oddania Panu. Jego głos górował nad całym amfiteatrem. Konsul dał znać, aby podpalono stos. Buchnęły płomienie, ale nawet nie tknęły biskupa. Ogień utworzył dokoła niego i nad nim półkrąg, z którego zamiast swędu przypalanego ciała, doleciał wszystkich zapach kadzidła. Przerażony konsul nakazał wtedy legionście, aby przebił Polikarpa mieczem. Gdy ten posłuchał rozkazu, a święty wyzionął ducha, z jego rany wytrysnęło tak dużo krwi, że wystarczyło, aby ugasić buchający zewsząd ogień. Śmierć zabrała płomień.

– Bardzo barwnie to opowiedziałaś, kochana – rzekł Mario, odsuwając od siebie demonstracyjnie talerz z resztkami gęsi. – Na tyle że aż straciłem apetyt. Nie rozumiem tylko, co ta starożytna makabreska ma wspólnego z „Sambą przed rozstaniem”.

– Jest taki obraz, który pokazuje śmierć świętego – wyjaśniła Cecylia. – Piękny. I podobno bardzo cenny. Widziałam go dwa razy w życiu i zrobił na mnie tak ogromne wrażenie, że mogłabym go narysować z pamięci. Pochodzi, o ile dobrze pamiętam, z trzynastego wieku. Osadzony jest w złotej ramie, wysadzanej szlachetnymi kamieniami. Polikarp jest na nim ukazany w otoczeniu ognia w chwili, kiedy rzymski legionista wbija miecz w jego serce, a z rany zaczyna tryskać krew. Ten obraz został nazwany przez malarza właśnie „Śmierć zabierze płomień”.

– Naprawdę? – Róża po raz pierwszy od czasu niedoszłego ślubu okazała czymś zainteresowanie, a nawet delikatną ekscytację. – Jestem pewna, że nigdy niczego takiego nie widziałam. Ten obraz znajduje się w Polsce?

– Owszem. – Jodelka pokiwała głową. – Można go obejrzeć w niewielkim kościółku w miasteczku Morderczo.

– Morderczo...? – Róża zmarszczyła brwi. – Skąd ja znam tę nazwę?

– Mnie też brzmi znajomo – zgodził się Mario. – I też nie potrafię powiedzieć dlaczego, bo na pewno nigdy tam nie byłem.

– No to ja wam powiem – rzekł Pepe z politowaniem. – W Morderczym mieszka mama Darskiego i kilka lat temu w święta Bożego Narodzenia nasz dzielny komisarz prowadził tam śledztwo w sprawie morderstwa.

– No jasne! – Róża popukała się w głowę. – Teraz już pamiętam!



– Nie chcę pani rozczarować – Miłka, która nieco wcześniej sięgnęła po telefon, popatrzyła przepraszająco na Cecylię – ale nie widziała pani oryginału tego obrazu, a zaledwie jego kopię.

– Jak to? – oburzyła się gospodyni. – Tam nie było napisane, że to kopia! Skąd pani to wie?

– Bo chciałam zobaczyć, jak to dzieło wygląda i właśnie o nim czytam – wytłumaczyła Wężowska, zerkając na smartfon. – Datowany na trzynasty wiek, malarz nieznany, wykonany na polecenie Ziemowita I, księcia mazowieckiego, i umieszczony w lokalnym kościele w Michałowie, a następnie z obawy przed skradzeniem go przez Krzyżaków przeniesiony do wsi Morderczo. W czternastym wieku na polecenie królowej Jadwigi osadzony w złotej ramie, ozdobionej cennymi kamieniami: rubinami, szmaragdami, szafirami i perłami. Początkowo z obawy przed kradzieżą osadzony został za żelazną kratą, następnie umieszczony w podziemnej krypcie kościoła. W szesnastym wieku przeniesiony na polecenie króla Zygmunta Augusta do kaplicy na Wawelu, a w kościele w Morderczym zastąpiła go kopia. W momencie wybuchu drugiej wojny światowej oryginał trafił do rąk prywatnych i był ukrywany w piwnicy jednej z toruńskich kamienic. Cudem niezrabowany przez hitlerowców, po wojnie zwrócony do Muzeum Narodowego. Obecnie przechowywany jest w skarbcu utworzonego niedawno Muzeum Rzeczypospolitej i z uwagi na swoją wartość nieudostępniany publicznie. W Morderczym nadal można podziwiać jego kopię.

– O psia jucha! – zezłościła się potężnie Cecylia. – A ja specjalnie zapaliłam pod nim świeczkę i zostawiłam hojny datek. Gdybym wiedziała, to...

– Też byś, skarbie, i świeczkę zapaliła, i datek zostawiła – wpadł jej w słowo Mario. – Czasem mam wrażenie, że wszystkie kościoły w naszym kraju utrzymują się z twojej kasy.

– No dobrze, może i bym zostawiła – zgodziła się Jodełka – ale na pewno nie modliłabym się pod nim aż tak gorliwie. Kopia... Dobrze sobie!

– No dobrze, i co nam to daje? – zastanowiła się Róża. – Jeśli pani Cecylia ma rację, to wychodzi na to, że Paciorek faktycznie chciał mi zwrócić uwagę na ten obraz. Nie rozumiem tylko, po co robił to w taki dziwny, zakamuflowany sposób. Nie mówiąc już o tym, że nie umiem pojąć sensu jego wiadomości. Miłka, znalazłaś ten obraz?

Wężowska pokiwała głową i postawiła smartfon na stole tak, aby wszyscy mogli obejrzeć powiększony na cały ekran obraz przedstawiający mękę Świętego Polikarpa.

– Nie widzę w nim nic podejrzanego – orzekł po chwili Mario. – Obraz jak obraz. Trochę makabryczny, ale nawet nie tak bardzo, jak się tego spodziewałem. Ten święty wygląda jak honorowy dawca krwi, któremu źle założono wenflon, a legionista, jakby ćwiczył szermierkę. Z tego wszystkiego najbardziej podoba mi się rama.

– Też nie wiem, o co tu może chodzić... – zastanowiła się Miłka. – Róża, co ci podpowiada twój umysł kryminalistki?

– Że zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu i żeby wreszcie dać sobie z tym spokój – osądziła stanowczo Krull. – Kiedy są te „Książki pod Arkadami”?

– Za tydzień – odpowiedział Pepe.

– To muszę się zacząć na nie szykować duchowo. – Róża westchnęła. – To będzie pierwszy raz od czterech miesięcy, kiedy pojawię się gdzieś publicznie.

– Nie wiem, czy Zosia Gałczyńska zdąży ci uszyć coś w tak krótkim terminie – zmartwił się Mario.

– Przecież mam jej kreacji od ciuta! Pół szafy! – Róża popatrzyła na niego ze zdumieniem. – I nie we wszystkich się jeszcze pokazałam.

– Nie chcę cię martwić, ale nie ma siły, żeby któraś pasowała. – rzekł złośliwie Kosek. – A zawdzięczasz to jedynej w swoim rodzaju diecie à la Miłka.

– No wiesz! – parsknęła Wężowska. – Ja tylko dbałam o jej dobry humor.

– Pasąc ją smażonym bekonem, tonami ziemniaków i schabowymi w panierce o grubości murów obronnych zamku w Malborku?!

– Niby twoje obiady były lepsze? – warknęła Miłka. – Listek sałaty z jakimś zielonym gównem na wierzchu!

– Z awokado! – krzyknął z oburzeniem Mario. – Najzdrowszy owoc na nasze planecie!

– Może i najzdrowszy, ale smakuje jak styropian. – Miłka wzruszyła ramionami. – Poza tym wcale nie widzę, żeby Róża jakoś specjalnie przybrała na wadze.

– Widocznie soczewki kontaktowe zaszyły ci tłuszczem z gęsi...

– No dobrze... – Pisarka westchnęła. – Zaraz to sprawdzimy. Poczekajcie...

Wstała i wolnym krokiem udała się do łazienki.

– Chyba naprawdę ma poważną depresję, skoro przestała się ważyć po każdym posiłku – zauważył Pepe, pomny znanych mu zwyczajów pisarki. – Ciekawe, czy...

Jego zdanie przerwał okrzyk dochodzący z głębi mieszkania. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyraźnie wstrząśnięta Róża wróciła do pokoju.

- Dziesięć kilo więcej! – oznajmiła z przerażeniem. – Jak to się mogło stać?!
  - Trzeba było jej dołożyć jeszcze dwa centymetry paniery na schabowych – mruknął Mario, rzucając ironiczne spojrzenie na Miłkę.
  - Tak nie może być! – Róża klapnęła na krzesło przy stole i dramatycznym, acz przy okazji też teatralnym gestem odsunęła od siebie talerz z ledwo co napoczętą gęsią. – Koniec z tym! Od dzisiaj biorę się za siebie! Nie mogę być i nieszczer-śliwa, i otyła! Przynajmniej o jedno powalczę!
  - Amen – rzekł Mario. – Od jutra przechodzisz na moją dietę!
  - Zielonych góvien – mruknęła z odrazą Miłka.
  - Spróbujemy połączyć dietę fleksitariańską z kapuścianaą...
  - Świetny pomysł – prychnęła Miłka. – Kiedy na pięć minut przestaniesz ci być niedobrze, zaczniesz puszczać wiatry!
  - Ja bym panią Różyczkę przerzuciła na moje zupki przecierkowe. – Cecylia się rozmarzyła – Odchudziłam tak swojego wnusia i był mi bardzo wdzięczny!
  - To ten wnusio, co to potem miał efekt jojo i teraz wygląda jak hipopotam?
  - Nieładnie tak mówić, Mariuszk, on ciągle rośnie...
  - Jasne. Tylko dlaczego wszerek?
- Kłótnie o to, w jaki sposób najlepiej pozbyć się narosłych przez ostatnie miesiące kilogramów Róży, całkowicie odsunęły w cień poprzednie tematy. Te jednak wkrótce miały o sobie przypomnieć i to w tragicznych okolicznościach.

## ROZDZIAŁ II

### NIKT NIE CHCIAŁ SŁUCHAĆ

#### *Tydzień później*

Przekroczwszy progi znajdujących się pod Zamkiem Królewskim Arkad Kubickiego, Róża poczuła się nagle tak, jakby szła na premierę wysokobudżetowego filmu, a nie na imprezę książkową. Sprawili to tak zwana ścianka z logami patronów i sponsorów „Książek pod Arkadami” oraz prowadzący do niej czerwony dywan, o czekających na przybyłych kilkunastu fotoreporterach i dziennikarzach plotkarskich portali już nawet nie wspominając. Krull, pomna tego, jak prezentowały się poprzednie tego typu wydarzenia, skierowała zdziwione spojrzenie na towarzyszącego jej Pepe.

– Organizator koniecznie chciał, żeby tegoroczna edycja przebiła się do mainstreamu – wyjaśnił Kwiatek. – Dlatego poza pisarzami zaprosił też kilkoro celebrytów.

Róża zmierzyła wzrokiem stojącą właśnie przed ścianką i udzielającą wywiadu dziennikarzowi z portalu Sensatek.pl blondynkę, ubraną w jakąś dziewczyną, obcisłą, srebrną sukienkę, obszytą czarnymi piórami.

– A ta tutaj – spytała cicho – co ma na sobie zdechłe gawrony, to niby kto?

– O, kochana... – zdumiał się Pepe. – Widać, że przestałaś trzymać rękę na pulsie. To jest Patti Garnicky. Modelka, aktorka, piosenkarka, influencerka, żona amerykańskiego multimilionera. Jest teraz o niej bardzo głośno, bo pokłóciła się z Klaudią Hutniak.

– O co? – zaciekała się Róża, uświadamiając sobie trochę za późno, że wcale jej to nie obchodzi.

– Patti zgłosiła swoją piosenkę na tegoroczną Eurowizję i udzieliła miliona wywiadów, że jest to najlepszy utwór, jaki kiedykolwiek został nagrany przez polskiego wykonawcę, wliczając nawet tych, którzy już nie żyją, i że znajdzie w konkursie o wiele wyżej niż „To nie ja!”. Tym bardziej że piosenka Górniakowej przy jej utworze brzmi tak, jakby przygłuchy Jasio grał na cymbałkach – wyjaśnił Kwiatek. – Trochę się przy tym zapędziła, bo zważywszy na to, że Górniak była

na Eurowizji druga, to ten jej kawałek dużo wyżej nie mógłby zajść. Co najwyżej o oczko. Ale to nieważne. Klaudia została przewodniczącą jury. Okazało się, że piosenka Patti w ogóle się nie zakwalifikowała do finałowej dziesiątki. Zapytana o to, dlaczego tak fenomenalny zdaniem jego wykonawczy kawałek nie będzie miał szans powalczyć o awans do Eurowizji, nasza Klaudulka odpowiedziała, że ten utwór to jakiś *shit* i że już nawet dźwięk spuszczenia wody w toalecie wydaje jej się bardziej atrakcyjny. Patti z miejsca napisała na swoim Instagramie, że Hutniak jest przebrzmiałą babcią, która zazdrości znacznie młodszemu od niej koleżankom urody, popularności i zasięgów w social mediach. I że jest sfrustrowana bezskuteczną walką z cellulitem, a poza tym ma uszkodzony słuch z powodu wiecznych iniekcji z botoksu, które sparaliżowały jej przy okazji też i mózg. Na to Hutniak udzieliła wywiadu, w którym oznajmiła, że ma znajomych w Stanach, którzy zdradzili jej, że Garnicky nie poznała swojego multimilionera na jachcie w czasie przyjęcia organizowanego przez Leonardo DiCaprio, tylko po tym, jak zadzwonił on do agencji dla pań lekkich obyczajów i poprosił o podanie mu jakiejś, byle niebyt drogiej. I że wydelegowano do niego ostatnią, która tam była wolna i obgryzała pazury ze zniecierpliwienia, bo nikt inny jej nie chciał. Zasugerowała też, że Patti jest wiedźmą, która rzuciła na milionera urok, bo przecież niemożliwe jest, aby inteligentny, acz i już mocno leciwy człowiek sukcesu polecał na kobietę o ilorazie inteligencji kury zagrodowej i aparycji osoby uzależnionej od spożywania denaturatu.

– A skąd ty to wszystko wiesz?! – zdziwiła się Róża, która do tej pory była pewna, że jej agent brzydzi się celebryckim światem i orientuje w nim jeszcze słabiej od niej, co jest o tyle trudne, że ona sama, przeglądając czasem Sensatka, nie umie rozpoznać tam dziewięciu osób na dziesięć, choć wszyscy są podpisani jako „znane gwiazdy”.

– Ponieważ nie dostarczałaś mi ostatnio specjalnie dużo roboty, zacząłem oglądać YouTube’a – wyznał z lekką skruchą Pepe. – Jest tam taki kanał, prowadzony przez dwóch kolesi, którzy tak opowiadają o show-biznesie, że pękasz ze śmiechu. I oni relacjonowali całą tę awanturę na bieżąco.

– I niby ta cała Garnicky ma podnieść rangę tej imprezy?! – zdumiała się Krull. – W jaki sposób? Przecież ona wygląda, jakby nigdy w życiu nie przeczytała żadnej książki. Co tam książki! Nawet nowelki!

– Bądź pewna, że w tym przypadku pozory nie mylą – zapewnił Pepe. – Myślę, że jedyną lekturą w jej dojrzałym życiu była instrukcja użycia samoopalacza. Ale to dzięki niej masz tu tylu dziennikarzy i paparazzich.

– Tia... – mruknęła Róża z rezygnacją. – Tego właśnie potrzeba literaturze polskiej. Pustych lał i latających za nimi kretyków. Pora umierać.

– Róża Krull! – dobiegł do nich z daleka męski głos. – No wreszcie!!!

Autorem okrzyku był organizator imprezy. Arkadiusz Gozdyra, postawny, ciemnowłosy czterdziestolatek, ubrany w perfekcyjnie skrojony, granatowy garnitur, idealnie dobrany kolorystycznie krawat, białą koszulę i kontrastujące z tym eleganckim strojem sportowe buty, podbiegł do nich i złożył pocałunek na dłoni pisarki, zanim ta zdążyła go poinformować, że nie znosi takich gestów.

– Nawet nie wiem, jak mam wyrazić moją wdzięczność za to, że zgodziła się pani zaszczyścić swoją obecnością nasze skromne wydarzenie – rzekł z uśmiechem.

– Bez przesady – mruknęła Róża, wyswobodzając dłoń z jego uścisku. – Po pierwsze, impreza wcale nie wygląda na skromną, a wręcz przeciwnie. A po drugie, obawiam się, że moja obecność tutaj będzie mocno symboliczna...

– To się jeszcze zobaczy! – Gozdyra mrugnął do niej okiem. – Najważniejsze, że pani tu jest! Czy mogę liczyć na to, że choć przez moment zapozuje pani fotoreporterom i udzieli choć dwóch, trzech króciutkich wywiadów?

– Wolałabym... – zaczęła Krull, ale Arkadiusz nie pozwolił jej dokończyć.

– Panie Franku! – zawołał, odwracając się do zgromadzonych w jednym miejscu dziennikarzy. – Zapraszam do pani Róży Krull. Zgodziła się powiedzieć kilka słów tylko dla pana!

Zanim pisarka zdążyła zaprotestować, pojawił się przed nią uśmiechnięty chłopak z mikrofonem, ozdobionym logiem największej prywatnej stacji telewizyjnej, czyli Tele-Polu. Wraz z nim podszedł też do Krull i kamerzysta.

– Dzień dobry, nazywam się Franciszek Sachajko i jestem ogromnie zaszczycony, mogąc z panią rozmawiać – oznajmił młodzieniec z tak rozbijającą rozanielonym wyrazem twarzy, że Róża poczuła, iż nie jest w stanie posłać go w diabły. – Tym bardziej że to pani pierwszy wywiad od... – wyraźnie się zawahał, ale po sekundzie wybrnął z czegoś, co mogło być wielką gafą – ...dłuższego czasu. Jeśli mogłaby pani zdradzić, co wydarzyło się w pani życiu przez ostatnie miesiące, kiedy nie mieliśmy okazji nic o pani usłyszeć.

Róża skupiła się na tym, aby wymyślić coś atrakcyjnego, a jednocześnie niemającego wiele wspólnego ze smutną prawdą. Doskonale zdawała sobie sprawę, że tej nigdy nie zdradzi. No chyba że na starość, w swojej autobiografii. Wiedziała też, że zgoda na udział w „Książkach pod Arkadami” powinna zamknąć dla niej czas żałoby po zaginionym ukochanym i tym samym stać się początkiem powrotu do rzeczywistości. A w tej powinno się być koniecznie atrakcyjnym dla mediów, które miały decydujący wpływ na sprzedaż książek. Naprędce skleciła więc jakąś sensacyjną historię, która, oceniając po wniebowziętej minie jej roz-

mówcy, miała szansę następnego dnia pojawić się w śniadaniowym programie Tele-Polu. Zaskakująco gładko poszły jej też kolejne, krótkie rozmowy. Przed ostatnią uchyliła się, tłumacząc zawiedzionej dziennikarce, że musi już udać się na główną scenę. Zapozowała przez chwilę na ściance, po czym, schodząc z czerwonego dywanu, wsłuchiwała się w wypowiedź wyraźnie przeżywającej chwile ekstazy w blasku fleszy Patti.

– W Polsce interesuje mnie też *art* – perorowała Garnicky, wdzierając się do partrzącego na nią jak na kosmitkę młodego dziennikarza portalu Puchacz Post, za którym stał już w kolejce kolejny żurnalista w bluzie z napisem „Radio Nova-Nova” i z kapturem, narzuconym zawadiacko na głowę. – Mój *husband* jest wielkim *fan of art*. Chcielibyśmy razem założyć tutaj, w Warszawa, gallery. *Big gallery!* Większą od Luwr czy Prado. Znasz Prado, prawda?

Dziennikarz wyraźnie się zmieszał.

– Myślę, że wszyscy oglądali „Diabeł ubiera się u Prady” – wyduśił po chwili.

Róża nie mogła powstrzymać parsknięcia, które sprawiło, że zarówno chłopak z mikrofonem, jak i jego towarzysz oraz Patti zawrócili twarze w jej stronę.

– Przepraszam – wyszeptała Krull ekspiacyjnym tonem. – Nie chciałam przeszkadzać.

– A kim pani jest? – zapytała Garnicky niezbyt przyjaźnie.

– Patti! – Jak spod ziemi wyrósł między nimi Arkadiusz. – Pozwól, że was sobie przedstawię. Muza naszej imprezy, Patti Garnicky. Najpopularniejsza polska autorka powieści kryminalnych, Róża Krull.

Wyraz twarzy modelki zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Bardzo miło mi poznać – oznajmiła, wyciągając do Róży rękę. – Słyszałam o pani! Bardzo jestem *sorry*, że nie poznałam po *face*, ale znam tylko *famous authors* w United States. W Polsce jeszcze nie...

– Nic nie szkodzi. – Krull uściśnęła jej dłoń. – Rozumiem, że długo nie było pani w kraju...

– Bardzo długo – potwierdziła gorliwie Patti. – Całe *four years!*

– No to faktycznie – Róża włożyła wiele wysiłku w to, aby nie zabrzmieć ironicznie. – Można trochę stracić rozeznanie. A kogo z amerykańskich pisarzy udało się pani poznać?

Mina Garnicky dała jej poznać, że należało darować sobie to pytanie.

– Och, nie mam pamięci do *names* – oznajmiła w końcu. – Mój *husband* *fren*duje się z wieloma *celebrities*. Na pewno są wśród nich też i pisarze. Ale to nie mój krąg zainteresowań. Ja lubię bardziej *people* ze świata *high fashion*. Nie tak dawno

poznałam Stellę McCartney. Jej ojciec był podobno jakimś *famous actor* czy coś takiego...

– Piosenkarzem – sprostowała Róża, zastanawiając się, jaką trzeba być ignorantką, żeby nie wiedzieć, kim jest Paul McCartney.

– Och, *really*? – zdumiała się szczerze Garnicky, po czym machnęła ręką z lekceważeniem. – Nie mam głowy do takich kwestii. Z piosenkarzy znam tylko Harry Styles. Jest bardzo *handsome*. Mamy razem nagrać duet.

– Ważniejsze chyba, żeby dobrze śpiewał – rzekła Róża, która z kolei nie miała bladego pojęcia, kim jest wymieniony przez jej rozmówczynię artysta.

– To teszzzzzz... *Good joke!* – Patti zaśmiała się głośno, odchylając głowę do tyłu. – Ale nie mogłabym nagrać piosenki z kimś *unattractive!* Nie po to dbam o siebie, żeby występować u boku... Jak to mówicie w Polsce? Kabanosa? Pomidora?

– Paszeta – odpowiedział przysłuchujący się ich rozmowie zakapturzony dziennikarz radia NovaNova.

– *Right* – zgodziła się Patti radośnie. – Paszeta! Wiem, że w świecie literatury panują inne *rules* i można być *ugly*. Albo *fat*. I wyglądać jak *homeless*. Ale w prawdziwym *celebs world*, *image* jest kluczowy. Pani może nosić tę kreację od *God knows who*, ale ja muszę mieć zawsze na sobie *fresh Chanel, Dior or Balmain*. *Moi followers* tego ode mnie oczekują. Jestem dla nich źródłem inspiracji. To odpowiedzialny *job*.

„Żebyś się tylko, wywłoko, nie przepracowała od tego zbyt mocno”, pomyślała ze złością Róża, którą Patti, gdzieś tak na etapie słowa *fat*, przestała bawić, a zaczęła irytować.

– Wierzę na słowo – zapewniła, mając nadzieję, że jej mina nie zdradza, co myśli o swojej rozmówczyni.

– A co pani pisze? – zaciekawiała się Patti.

– Powieści kryminalne – odpowiedziała Róża, starając się wypatrzeć w tłumie dokoła Pepe i dać mu znać, żeby wybawił ją z opresji, jaką była przeciągająca się rozmowa z tą plastikową idiotką, która była nie tylko bezdennie głupia, ale i głucha, jeśli nie dotarła do niej ta informacja udzielona jej przecież przed momentem przez Gozdyrę.

– Och, *really*? – Patti zrobiła wielkie oczy. – To jest bardzo *exciting!* Skąd bierze pani pomysły na morderstwa?

– Z życia. – Róża darowała sobie dodanie, że przez ostatnich kilkadziesiąt sekund przyszło jej do głowy kilka rewelacyjnych pomysłów na dokonanie zabójstwa, którego ofiarą stałaby się ona sama. – To największa inspiracja.



– To bardzo, bardzo *interesting* – zapewniła Garnicky. – Teraz razem z moim *husband* też robimy coś bardzo, bardzo *exciting*...

Widać było, że Garnicky ma ochotę rozwinąć ów wątek, ale w tym momencie do Róży podszedł wysoki, szczupły, wyraźnie zdenerwowany nastolatek.

– Bardzo przepraszam – rzekł drżącym głosem. – Czy mógłbym z panią choć przez moment porozmawiać?

– Oczywiście! – Róża z radości, że ktoś dostarczył jej powodu do przerwania rozmowy z celebrytką, gotowa była rzucić się chłopakowi na szyję. – Bardzo panią przepraszam...

– Ależ doskonale to rozumiem! – zapewniła ją Patti z uśmiechem. – *Fans, fans...* Nigdy nie można ich rozczarować! Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy...

„Twoje niedoczekanie”, pomyślała Krull, poprzysięgając sobie w duchu, że opuści Arkady nawet i podziemnymi kanałami, byleby tylko znów nie być narażoną na konwersację z Garnicky.

– Tak? – Wróciła wzrokiem do chłopaka, po czym wzięła go za ramię i delikatnie pchnęła ku środkowej części Arkad, gdzie znajdowały się stoiska książkowe. – Czym mogę służyć? Autograf? Dedykacja?

– To też – przytaknął chłopak. – Ale tak naprawdę to mam zupełnie inną sprawę.

– Jaką? – zdziwiła się Róża, próbując nie zwracać uwagi na to, że wszyscy w Arkadach wgapiają się w nią mniej albo bardziej dyskretnie. W sumie była na to przygotowana. Kwestia jej ślubu i tajemniczego zniknięcia pana młodego walutowana była przez media przez kilka tygodni, przysparzając jej równie ogromnej, co mocno uciążliwej sławy. Teraz Krull zaczęła odczuwać jej ciężar.

– Przede wszystkim chciałbym się przedstawić – rzekł chłopak. – Nazywam się Kamil Raczyński. Bardzo lubię pani książki. Zacząłem je czytać, gdy jeszcze byłem dzieckiem.

– To miłe. – Róża uraczyła go uśmiechem, usiłując w duchu przypomnieć sobie, ile lat temu wydała pierwszą powieść. To przecież nie mogło być aż tak dawno...

– I pomyślałem, że tylko pani mogłaby mi pomóc... – Widać było, że jej młody rozmówca z sekundy na sekundę jest coraz bardziej zakłopotany. – Bo do policji nie mam zaufania... Zresztą, pewnie i tak by mi nie uwierzyli...

– Ale w co? – Słuchając Kamila jednym uchem, Róża rozglądała się po Arkadach, próbując zorientować się, gdzie znajduje się główna scena, na której wedle harmonogramu miała wystąpić już za kilka minut.

– Ja pewnie sam sobie też bym nie uwierzył. – Kamil zignorował jej pytanie. – Wszyscy mi powtarzają, że mam zbyt wybujałą wyobraźnię. Pewnie pani też to słyszała, gdy była w moim wieku...

– Jasne, jasne – potaknęła w roztargnieniu Krull, z radością zauważając na pobliskim stoisku wydawnictwa Litery Od Serca swoją dobrą znajomą, aktorkę Paulinę Holtz, która od czasu do czasu nagrywała, zresztą fantastycznie, audiobooki jej kryminałów. – No i co z tą wyobraźnią?

– To prawda, że od czasu do czasu coś tam sobie podkoloryzuję – przyznał Kamil – ale to nie jest przecież kłamanie, tylko takie... Ja to nazywam... fabularyzowanie rzeczywistości... Rozumie to pani, prawda?

– Tak, tak. – Róża już prawie w ogóle go nie słuchała. Pomachała w stronę Holtz i krzyknęła: – Paulina! Jak miło cię widzieć! Czy wiesz, gdzie jest scena główna?

Jej znajoma nie odkrzyknęła, a jedynie wskazała ręką odpowiedni kierunek. Róża skinęła głową i wyszukaną pantomimą dała znać, że porozmawiają, kiedy skończy się produkować na estradzie, a potem zaczęła się przepychać przez tłum, oddzielając ją od celu.

– Od jakiegoś czasu dzieją się w naszym miasteczku dziwne rzeczy – mówił dalej Kamil, podążający za nią niczym cień. – Najpierw przyjechali jacyś ludzie. Tacy ważni. Chodzili wiecznie w garniturach. Jak nasz burmistrz. No i gdy wyjechali, to zaraz potem zamknęli kościół i zaczęli go remontować. Bez sensu, bo przecież ledwo co rok wcześniej proboszcz go odmalował i nawet zamontowali nową ambonę. I ten obraz. Wszyscy mówili, że to tylko kopia. Ale to też nieprawda... Zaglądałem tam przez szpary w witrażach. Do tego kościoła. I coś zauważyłem. A potem te głosy... Dziwne... Jakby z piwnicy... Nie powinno tam przecież nikogo być. A był! Głosy dochodziły prosto z ziemi. Nie wierzę w duchy, ale te głosy... Chciałem o tym komuś powiedzieć, poprosić, żeby ze mną tam poszedł, ale nikt mnie nie chciał słuchać. Nawet pani Waleria... A do tego jeszcze przy tym kościele postawili budkę dla ochroniarzy. Przecież to nienormalne! Nie znam żadnego innego kościoła, który miałby coś takiego! No może poza bazyliką Świętego Piotra. Ale gdzie tam naszemu kościółkowi do bazyliki. Niby jest stary i zabytkowy, ale nie aż tak. Wszystko, co cenne, stamtąd usunięto. To mnie zdziwiło w pierwszej kolejności. A potem...

– Dotarła pani w samą porę! – Arkadiusz miał to do siebie, że wszędzie pojawiał się z nienacką i sprawiał takie wrażenie, jakby był w stu miejscach naraz. – Za chwilę wchodzi pani na scenę! Rozmowę będzie prowadzić Manuela Kopka. Podobno znakomicie się panie znacie i bardzo lubicie.

– Tak, oczywiście – potaknęła Róża, przypominając sobie dwa amatorskie śledztwa, jakie razem z dziennikarką przeprowadziły jakiś czas temu na Podlasiu.

– Róża! Kopeć lat! – Manuela zeszała po kilku schodkach ze sceny i rzuciła się na pisarkę tak, jakby właśnie odnalazła zagubioną przed laty siostrę. – Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłam, kiedy Arek powiedział mi, że zgodziłaś się wziąć udział w „Książkach pod Arkadami”. Cieszę się, że znów jesteś w formie...

– No, to się dopiero zobaczy... – mruknęła Róża, po czym odwróciła się do wciąż stojącego za nią Kamila. – Bardzo przepraszam. Muszę teraz poprodukować się trochę dla czytelników. Potem chętnie posłucham do końca twojej opowieści, dobrze?

– Jasne. – Raczyński pokiwał głową. – Najpierw obowiązki! To ja sobie gdzieś tu usiądę i posłucham. Szkoda, że pierwsze rzędy już zajęte...

– Róża ma wiernych fanów. – Manuela się zaśmiała. – Niektórzy czekają na nią już od ponad godziny.

Wejście Krull na scenę przyjęte zostało entuzjastycznymi oklaskami. Wbrew swoim obawom Róża szybko przekonała się, że miesiące spędzone z dala od ludzi, tudzież w wisielczym nastroju, nie stępiły ani jej błyskotliwości, ani ciętego, dowcipnego języka. Na inteligentne, interesujące, ale i taktowne pytania Manuely odpowiadała bez chwili namysłu, co i rusz rozbawiając publiczność. Czuła się przy tym tak, jakby ostatnie koszmarne tygodnie nagle przestały istnieć, straciły swoje znaczenie. Ot, magia sceny.

Spotkanie powoli zbliżało się do końca. Konopka zadała właśnie przedostatnie pytanie o najbliższe literackie plany Róży, kiedy nagle na widowni rozległ się paniczny krzyk, który poniósł się echem po całych Arkadach.

– Krew! – zawodził świdrujący w uszach damski głos. – Wszędzie krew! Pomocy!!!

Ludzie, początkowo ogłupieni tak treścią komunikatu, jak i tonem głosu osoby go wywrzaskującej, zaczęli zrywać się ze swoich miejsc. Róża także wstała z fotela, na którym dotąd siedziała. Ponieważ znajdowała się na scenicznym podwyższeniu, miała najlepszy widok. Tyle że nie chciało jej się wierzyć w to, co zobaczyła.

Oto na krześle obok wydającej z siebie już cichsze popiskiwanie i zasłaniającej twarz rękami chudej kobieciny siedział z otwartymi oczami, wpatrzonymi w sufit chłopak, którego poznała przed kilkoma minutami. Miał dziwacznie przekrzywioną głowę, a stojący za nim ludzie wpatrzeni byli w jego plecy. Słowo

„krew”, które dotarło do uszu Krull, starczyło, aby pisarka uświadomiła sobie, co się wydarzyło.

Kamil Raczyński nie żył.

I nie zmarł śmiercią naturalną.

## ROZDZIAŁ III

### *WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO MORDERCZEGO*

Komisarz Krzysztof Darski nawet nie próbował kamuflować obrzydzenia, jakie poczuł, gdy przyjechał do Arkad Kubickiego i jedną z pierwszych osób, na które się tam natknął, była Róża.

– Cztery miesiące był względny spokój – oznajmił pisarce na dzień dobry. – I co? Ledwo co wychyłałaś z chałupy i już mamy morderstwo.

– Jak to był spokój? – oburzyła się Róża. – Mam uwierzyć, że ludzie znienacka przestali się zabijać, tylko dlatego że ja siedziałam w domu?!

– Aż tak to nie – warknął Darski – ale nie dochodziło do takich morderstw, przez które znowu wyląduję na jakimś pieprzonym Sensatku i potem w komentarzach będę czytał zaproszenia od różnych zboków, żebym przyjechał do nich z kajdankami. Dlaczego moi koledzy mogą dostawać sprawy jakichś zwykłych, miłych ludzi z marginesu, a ja muszę się użerać z patolami z show-biznesu? Co ja takiego narozrabiałem w poprzednim życiu, że teraz muszę to odpokutowywać?!

– Grzeszysz! – zawyrokowała z pełnym przekonaniem Krull. – Poza tym, gdzie tutaj masz show-biznes? Zabito nieznanego nikomu chłopca z małego miasteczka.

Darski wzniósł oczy i ciężko westchnął.

– Na jakim ty świecie żyjesz?! – zapytał z rezygnacją. – Na sali była Patti Garnicky. Już sama ona jedna wystarczyłaby, żeby wywołać sensację. Ale nie! Wśród obecnych mamy same gwiazdy! Beatę Pawlikowską, Kasię Nosowską, Mariusza Szczygła, a nawet prezydenta Kwaśniewskiego! Mało?!

– No, w sumie wystarczy... – zgodziła się Róża, trochę urażona, że Darski nie wymienił jej w gronie gwiazd, po czym nagle się przecknęła. – Chyba nie sądzisz, że prezydent Kwaśniewski nie ma nic innego do roboty, tylko zabijać jakichś maślaków?!

– Na szczęście oni wszyscy przebywali w strefie VIP i mają stuprocentowe alibi, więc mogłem ich tylko przeprosić i puścić do domów – odpowiedział Darski. – Niemniej jednak pierwsze artykuły już są na jedynkach serwisów internetowych i wiem, że będzie wokół tej sprawy dużo szumu. Dziennikarze okupują

Arkady i z minuty na minutę jest ich coraz więcej. Większość oczywiście czeka na tę cholerną Garnicką.

– Czeka? – Krull popatrzyła na niego ze zdumieniem. – To jej jeszcze nie wypuściłeś? Dlaczego?!

– Bo akurat ona alibi nie ma – przyznał komisarz. – W czasie morderstwa nie było jej w strefie VIP. Widziano ją za to, jak przechodziła w pobliżu widowni. Parę osób odnotowało kątem oka jej obecność, aczkolwiek całą ich uwagę skupiła na sobie postać na scenie.

– Cóż poradzić? – Róża wzruszyła ramionami, udając skromną. – Widać na imprezie literackiej ważniejszy jest ten, kto pisze książki, a nie ten, kto nie przeczytał w życiu ani jednej.

– O, no proszę – na twarzy Darskiego pojawił się złośliwy uśmiešek – widzę, że już zdążyłaś sobie wyrobić zdanie o naszej uroczej pani Garnicki. Poznałyście się?

– Owszem – przyznała niechętnie Róża. – Zamieniłyśmy kilka zdań.

– I? – Darski popatrzył na nią badawczo.

– Po pierwsze, jest niemiła – poinformowała go Róża. – Potrafi dopiec i robi to naumyślnie.

– Po czym ci się przeleciała? – zaciekał się komisarz. – Po tuszy, stroju, wieku czy fryzurze?

– Świnia! – Krull pokazała mu język.

– Czyli po wszystkim – westchnął Darski. – Nie przejmuj się. Ona ma na pieńku z każdym i to mniej więcej z tego samego powodu.

– Najgorsze, że kreuje się na jakąś wielką filantropkę. – Pisarka wołała czym prędzej zmienić temat, bo też i zerknąwszy na swoją fotkę, którą już zdążył opublikować Sensatek w artykule pod tytułem: „Gwiazdy na morderczej gali. Oceń, która miała najlepszą kreację? (galeria zdjęć)”, doszła do wniosku, że wygląda jak połączenie chochoła z mopem. – A tak naprawdę ma w dupie te jakieś tam galerie, które wraz z mężem ma zakładać po całej Polsce. Idę o zakład, że jakbyś ją zapytał, z czym kojarzy jej się Picasso, to pewnie zaczęłaby się zastanawiać, czy to jakiś nowy tusz do rzęs. Taka z niej wielka znawczyni sztuki!

– A ten chłopak, który zginął? Świadkowie mówią, że byłaś ostatnią osobą, z którą rozmawiał...

– Na to wychodzi – westchnęła Róża. – I uwierz mi, że przez ostatnie minuty usiłuję sobie dokładnie przypomnieć, co do mnie mówił. Nie słuchałam go zbyt uważnie, czego teraz nie mogę sobie darować. Chciał mi o czymś opowiedzieć.

O jakiejś zagadkowej sprawie, która nie dawała mu spokoju. Zaczął o niej mówić, ale nie pozwoliłam mu dokończyć, bo musiałam wejść na scenę. Kretynka... Trzeba było go wysłuchać!

– Przecież nie mogłaś przewidzieć, że już nigdy nie porozmawiacie – starał się wyciszyć jej wyrzuty sumienia Darski. – A jednak będę wdzięczny, jeśli przypominasz sobie jak najwięcej.

– Wspominał coś o jakimś kościele w swoim miasteczku – rzekła niepewnie Róża. – Że przyjechali tam jacyś ludzie, a potem kościół zamknięto i postawiono tam budkę dla ochroniarzy, co wydawało mu się dziwaczne. Mnie, szczerze mówiąc, też. Nie słyszałam, żeby kościoły miały u nas ochronę...

Darski, który już w połowie jej wypowiedzi zaczął mieć dziwny wyraz twarzy, patrzył teraz na nią wielkimi oczami.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Róża.

– Poczekaj – rozkazał, po czym udał się do starannie zasłoniętego miejsca, gdzie ekipa policyjna zabezpieczała ślady zbrodni i gdzie znajdowało się wciąż ciało Raczyńskiego. Wrócił po dłuższej chwili.

– I? – Krull popatrzyła na niego pytająco. – Doznałeś zniecka jakiejś iluminacji?!

– Żebyś wiedziała. – Komisarz pokiwał głową. – Ten chłopak mieszkał w miasteczku, które doskonale znam, bo się tam urodziłem i spędziłem dziewiętnaście pierwszych lat życia. Moja mama mieszka tam zresztą nadal...

Teraz z kolei osłupienie przeszło na Różę, która akurat w tym momencie nie miała ataku amnezji.

– On mieszkał w Morderczym?! – zapytała podniesionym głosem.

– Skąd wiesz, gdzie się urodziłem? – zdziwił się Darski.

– Znikąd. Tylko ostatnio rozmowa nam zesłała na to miejsce i Pepe poinformował mnie, że tam bywasz, bo w Morderczym mieszka twoja mama. I że nawet prowadziłeś tam kiedyś śledztwo w Boże Narodzenie. Też to niby powinnam była wiedzieć, ale wyleciało mi z głowy. Pepe jak zawsze miał lepszą pamięć.

– A dlaczego zeszło wam na Morderczo? – Darski patrzył na nią uważnie. – I kogo rozumiesz pod hasłem: „nam”?

– Oooo, zaczynamy tworzyć listę podejrzanych, tak? – Róża wydała z siebie ironiczny chichot, ale widząc poważny wyraz twarzy komisarza, szybko dodała: – Już dobrze, dobrze... „nam” znaczy Pepe, Mario, Miłce, pani Cecylii i mnie. A zeszło z powodu dziwnych przypadków, jakie spotykały mnie tuż przed ostatnim festiwalem opolskim. O mało co nie wleciałam wtedy do szybu windowego, pró-

bowano mnie rozjechać na pasach, zepsuły mi się hamulce, ktoś mi przysłał dziwną korespondencję i wymalował napis na drzwiach...

– Mam wrażenie, że zaczynasz konfabulować – rzekł Darski, mierząc ją niechętnym spojrzeniem. – To jest mój największy problem z tobą. Nigdy nie wiem, kiedy mówisz prawdę, a kiedy dajesz się ponieść wyobraźni.

– Naprawdę uważasz, że kłamałabym w takiej sytuacji? – W głosie Róży słychać było szczere oburzenie.

– Może nie kłamała – wycofał się nieco komisarz – ale po prostu ubarwiała rzeczywistość...

– To jest dokładnie to, co powiedział ten chłopak! – przerwała mu Krull. – Że nikt mu nie chciał w nic uwierzyć, bo mówili, że ma skłonności do przedstawiania rzeczywistości w bardziej atrakcyjny sposób! A co do reszty... Posłuchaj uważnie... – przez kilka minut streszczała mu to, co spotkało ją kilka miesięcy wcześniej, jak i przebieg ostatniej rozmowy nad gęsią oraz rozmowę z zabitym.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie wspomniałaś? – zapytał Darski z wyrzutem, kiedy skończyła swoją opowieść. – Nie przyszło ci do głowy, że to może być ważne dla sprawy znikni... – Przerwał, zdając sobie zbyt późno sprawę, że dotyka tematu, którego przy Krull powinien unikać.

– Zniknięcia Piotra? – dokończyła pisarka, patrząc na niego z nagłą pobłażliwością. – Spokojnie, już możesz przestać się przy mnie wciąż gryźć w język. Cztery miesiące to wystarczający czas, żeby się z tym pogodzić... Nie, inaczej. Pogodzić nie. Zaakceptować rzeczywistość taką, jaka jest. Nie wiem, dlaczego ci o tym nie opowiedziałam wcześniej. To było na samym początku mojej znajomości z Piotrem. Po pierwsze, kompletnie o tym zapomniałam i dopiero kiedy Mario wspomniał, że w przyszłym roku też będzie zajmował się promocją festiwalu, to mi się nagle przypomniało. A po drugie, tamte wydarzenia zupełnie nie łączyły mi się w głowie z tym, co zdarzyło się w sierpniu. Aż do teraz...

– No właśnie – potaknął komisarz. – Aż do teraz...

– Choć nie... – Róża zamyśliła się na chwilę. – Nadal trudno mi to wszystko złożyć w jedną całość.

Darski poczuł w sercu nagle ukłucie niepokoju.

– Róża – rzekł, starając się, aby jego głos zabrzmiał groźnie. – Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy jechać teraz do Morderczego, żeby prowadzić tam jedno z tych twoich, pożałuj się Panie, amatorskich śledztw! Bardzo cię o to proszę!

– Nie żartuj! – Krull machnęła ręką uspokajająco. – Mam do napisania tyle zaległych książek, że nie wyściubię nosa z chaty przez następne pół roku. Możesz być pewny, że Pepe mi na to nie pozwoli!



Komisarz pokiwał głową, ale w duchu wcale nie czuł się uspokojony.  
I, jak się okazało, zupełnie słusznie.

\* \* \*

– Musimy przyspieszyć akcję. – Znany w kręgach zachodnich kolekcjonerów sztuki złodziej, Roman Rudniczak, patrzył z niepokojem na siedzącego przed nim pasera, Krystyna Majka. – Po tym jak ktoś sprzątnął tego gnojka, sprawa stała się śliska. A ja takich nie lubię. Kradzież, włamanie, nawet szantaż, proszę bardzo. Ale nie morderstwo!

– Mówisz z takim wyrzutem, jakbym to ja go zabił – Krystyn wzruszył ramionami – albo zlecił to komuś.

– Licho cię wie...

– Możesz być pewny, że nie mam z tym nic wspólnego. Też brzydzę się morderstwem. A tego chłopaka nikt przecież nie traktował poważnie. Wszyscy uważali, że fantazjuje.

– Teraz i tak to już nieważne. Gorzej, że zaraz zleci się tu chmara psów i chuja dokończymy, a nie naszą akcję. A jeszcze nawet nie jesteśmy w połowie.

– Instrukcje, jakie dostaję, są jasne – przypomniał mu Majek – i musimy się ich trzymać.

– W sumie to jestem ciekawy, kim jest nasz tajemniczy zleceniodawca – mruknął Rudniczak. – Gdyby nie fakt, że regularnie płaci, węszyłbym jakiś grubszy kant.

– Kant nie kant, dla mnie najważniejsze są przelewy. A te wpływają terminowo. I to z góry, co obecnie nie zdarza się znowu aż tak często. Dzisiaj z rana przyszedł kolejny.

– Czyli wszystko kontynuujemy zgodnie z planem i mam to gwizdnąć pod okiem psów, które się tu zaraz zlecą?! – zastanawiał się Roman.

– Masz z tym wielki problem? – Krystyn popatrzył na niego spode łba mocno ironicznie. – Przypomnij mi, kto obrabował Mennicę Polską w dniu wizyty prezydenta?

– Jedno z moich największych osiągnięć – złodziej uśmiechnął się szeroko. – Paradoksalnie ci debile z jego ochrony mocno mi w tym pomogli. W życiu nie spotkałem większych osłów. Miałem wrażenie, że jakbym do nich podszedł i powiedział: „Dzień dobry, nazywam się Roman Rudniczak i właśnie ukradłem kilkadziesiąt sztabek złota. Czy mógłby mi pan pomóc przenieść je do vana, bo tro-

chę mi ciężko?”, to z miejsca rzuciliby mi się pomagać. I to wszyscy co do jednego!

– Skoro nie mogą być kompetentni, to przynajmniej są kulturalni – parsknął Krystyn. – Ze wszystkiego trzeba wyciągać pozytywy.

– Postaram się wyciągnąć pozytywy z tego, że będę musiał pracować, mając cały wydział śledczy i to komendy stołecznej w charakterze widowni. – Roman westchnął. – Jak do tej pory, w tym całym Morderczym siedział w dochodzeniu tylko jeden półgłówek.

– I dwóch ochroniarzy... – przypomniał Majek.

– A, idź w cholerę. – Rudniczak machnął lekceważąco ręką. – Cholerni emeryci. Jeden wiecznie śpi, bo w dzień opiekuje się wnusiem. A drugi przyłazi z laptopem i całą noc gapi się w pornole. Mógłbym wysadzić ten cały kościół w powietrze, a i tak bym go nie oderwał od oglądania azjatyckiego tarła...

– Są rzeczy, o których nie muszę wiedzieć – rzekł Krystyn z pełnym przekonaniem. – Tak czy siak, mimo nowych okoliczności, nie przerywamy akcji. A jeśli chcesz ją przyspieszyć, to pamiętaj tylko, że trzeba będzie pomyśleć o przechowaniu, bo na razie nie mamy ludzi. Wypadek z sierpnia wszystko nam skomplikował...

– Paskudna sprawa – Roman się skrzywił.

– Cóż poradzisz? Nie sposób wszystkiego przewidzieć, prawda? A już zwłaszcza... śmierci.

\* \* \*

– Czy ty jesteś pewna, że Darski nie urwie nam za to łba? – Mario zaparkował przed hotelikiem „Mordercza stacja” i zgasił silnik. – Na pewno nie zakazał ci przyjazdu tutaj?

– Mnie owszem – przyznała Róża z niewinną miną. – Grzecznie poprosił mnie, żebym nie zaczynała żadnego własnego śledztwa.

– I dopiero teraz uznałaś za stosowne się do tego przyznać? – jęknął z tylnego siedzenia Pepe, klnąc w duchu samego siebie, że nie przyszło mu do głowy zadanie tego pytania wcześniej. Jak nic ogłupiło go tempo i pora wyjazdu. Z reguły włączał myślenie koło południa, a jego pracodawczyni zarządziła wyjazd przed ósmą rano, o której to porze w głowie Pepe nie działał jeszcze żaden zwój mózgowy.

– Mówił o mnie, o was nie – podkreśliła ponownie Krull. – Obiecałam, że nie będę prowadziła samodzielnego śledztwa i dlatego właśnie zabrałam was. Tym

razem zrobimy śledztwo zbiorowe!

– Aha, miło. – Z oczu Pepe poleciały w jej stronę pioruny i to w ilości hurtowej.  
– Czyli jak zwykle zataiłaś prawdę, wciągnęłaś nas w kolejny niebezpieczny idiotyzm i nawet nie zapytałaś, czy się na to zgadzamy?!

– Oj tam, jakbym zapytała, to zaraz byłyby jakieś głupie protesty – mruknęła Krull. – A poza tym na razie jeszcze nic nie zrobiliśmy. Przyjechaliśmy obejrzeć sobie stary, zabytkowy kościół i pochodzić trochę po ładnym miasteczku. Co w tym złego?

– Nic, jeśli w tym miasteczku jest jakaś dobra restauracja – rzekła z przekonaniem Miłka, gramoląc się z tylnego siedzenia. – Umieram z głodu!

– Przecież przed wyjazdem wtrądziłaś jajecznicę z kopy jajek i zagryzałaś ją bochenkiem chleba! – zgorszył się Mario. – A po drodze też coś gładziłaś smrodliwego...

– Kabanosy. Bardzo ładnie pachniały. Jałowcem – potwierdziła Wężowska. – Co nie zmienia faktu, że jestem głodna już tak obiadowo.

– O wół do dwunastej?! – Mario, który miał zwyczaj mniej więcej do czternastej spożywać jedynie mały jogurcik z musli, wybałuszył na nią oczy. – To co będziesz jadła o siedemnastej?

– Drugi podwieczorek – odpowiedziała Miłka. – Taki trochę treściwszy od pierwszego...

– Jesz dwa podwieczorki?! – Mario aż się zachłysnął.

– No i co w związku z tym? – zdziwiła się Miłka. – Śniadania też jem dwa...

– Obiad jak obiad – przerwał mu Pepe, który też właśnie wysiadł z samochodu i przeciągnął się, rozprostowując kości – ale jakiejś kawy to w sumie bym się napił...

– Ja mogę wypić sok pomarańczowy – zgodził się łaskawie Mario, starając się pozbyć sprzed oczu wizji wszystkich kalorii pochłanianych dziennie przez Miłkę – ale tylko świeżo wyciskany...

Róża także opuściła auto, ale w przeciwieństwie do swoich przyjaciół, nie snuła żadnych wizji natury kulinarnej. Od czterech miesięcy ani razu nie poczuła uczucia głodu i nawet próba wzbudzenia w samej sobie ekscytacji z powodu nowego śledztwa tego stanu nie zmieniła. Tym bardziej nie rozumiała, jakim cudem przytyła przez ten okres dziesięć kilogramów, jeśli jeść co prawda jadła, ale zupełnie bez smaku.

Popatrzyła na zegarek i stwierdziwszy, że do teoretycznej godziny zameldowania w „Morderczej stacji” zostało jeszcze ponad sto dwadzieścia minut, we-

szła do środka owego przybytku. Twórca jednego z dwóch turystycznych pensjonatów w miasteczku najwyraźniej przedawkował oglądanie serialu „Strażnik Teksasu”, na co wskazywały porozwieszane po ścianach strzelby i poroża różnych zwierząt leśnych. Pisarka miała szczerą nadzieję, że jedno i drugie są tylko atrapami.

– Krull? – rozczochrana, na oko sześćdziesięciolatka, stojąca za kantorkiem, umieszczonym pod tabliczką „Recepcja”, nawet nie próbowała ukryć irytacji. – Czego tak wcześniej przyjechała?!

Róża, która już kilka razy w życiu przeżyła szok spowodowany użyciem takiej formy zwracania się do niej, między innymi w urzędach i na lokalnym bazarku pod Halą Mirowską, zdążyła się na to uodpornić.

– Jeśli pokoje są jeszcze niegotowe, to spokojnie na nie poczekamy – rzekła ugodowym tonem. – Chciałam tylko zapytać, którą z lokalnych restauracji by nam pani poleciła. Moi przyjaciele trochę zgłodnieli w czasie jazdy...

– Jak to którą? – Kobieta popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby pisarka zapytała ją o to, czy podobał jej się kolor statku kosmicznego, którym ostatnio wyładowali w Morderczym kosmici. – Tu nie ma żadnej!

Teraz z kolei osłupiała Róża.

– Co to znaczy, nie ma żadnej? – zapytała nieco bezradnie, próbując sobie wymazać sprzed oczu przerażającą wizję, jak to pozbawiona obiadu Miłka obraca na rozżarzonej grillu najpierw Mario, potem Pepe, a na koniec ją samą.

– No, nie ma – powtórzyła kobieta wściekłym tonem. – Przed pandemią były dwie, ale najpierw do starej Młotnickiej ktoś wezwał sanepid, że niby nic nie robi, tylko truje ludzi. Gdy przyjechała kontrol, to się Młotnicka chciała pokazać i nagotowała klopsów, po których inspektorzy dostali takiej sraki, że jeden podobno krzychał z kibla, że wydała wątrobę. No i zamknęli jej lokal. Jeszcze karę musiała zapłacić! A potem syn Wąchowicza wyjechał do Holandii niby coś zbierać, poznał tam dziewczynę i napisał do ojca, że nie wraca. Sam Wąchowicz skończył już siedemdziesiątkę i nie chciało mu się dłużej pracować, więc zamknął w cholerę tę swoją spelunę. Może i lepiej, bo tam nic dobrego nie było, poza alkoholami. Jadłam tam kiedyś mielonego i smakował tak, jakby ktoś zmieszał szczerze gówno z zepsutą rybą. Dwa dni mi się tym odbijało. A gdy poszłam do Wąchowicza ze skargą, to mi powiedział, że to moja wina, bo jego kotlety wchodziły tylko z bimbrem i wtedy nie szkodzą. Dziwne, że też go sanepid wcześniej nie zamknął. No, ale Wąchowicz to zawsze wiedział, jak dać w łapę, żeby się nikt nie czepiał.

Wysłuchawszy cierpliwie historii o kompletnie nieznanym jej ludziach, Róża wróciła do podstawowego tematu.

– To gdzie tu się je? – zapytała mianowicie.

– W domu – odpowiedziała kobieta takim tonem, jakby to była oczywistość. – No, jeszcze w lokalnym sklepie Zuzia od Frankiewiczów serwuje parówki w bułce. Można zjeść, ale tylko z keczupem, a nie z tym czymś, co ona nazywa „sosem ty-siąca wysp”, a co smakuje jak rzygi jej kota.

Róża ugryzła się w język, zanim zadała pytanie, skąd jej rozmówczyni czerpie aż tak dokładną wiedzę o smaku owego dodatku do hot doga.

– W takim razie wrócimy za dwie godziny – powiedziała w zamian.

– Bagaże mogą zostawić, jeśli jakieś mają – zaproponowała wspaniałomyślnie kobieta.

– Nie, nie, spokojnie... Przyjechaliśmy tylko na dwa dni, więc nie mamy większych bagaży – zdążyła rzec Róża, zanim przypomniała jej się kosmetyczka Mario, ze względu na swój rozmiar nazywana przez nią „workiem na zwłoki”.

– Na dwa dni? – Kobieta rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie. – Przyjechali węszyć?

– Słucham?! – zdziwiła się Krull.

– Węszyć – powtórzyła kobieta. – Odkąd Kamilla od Raczyńskich zaciukali w stolicy, to pełno tu teraz jakichś, tfu, szumowin. Mówiłam tyle razy, że ta Warszawa to nic dobrego. Zbiorowisko zboczeńców, aferzystów i kryminalistów. Kiedy Kamilek przyszedł i powiedział mi w sekrecie, że chce tam jechać spotkać się z jakąś literatką, którą bardzo lubił, to próbowałam wypukać mu to z głowy. A trzeba było od razu iść do jego matki, żeby go pilnowała i mu tego zabroniła. I teraz mam wyrzuty sumienia. Ale kto by to wiedział, że tak się wszystko skończy?! Więc co? Przyjechała tu węszyć czy nie?

Róża szybko rozważyła w duchu, czy powinna skłamać.

– Tak – zdecydowała w końcu, że kogo jak kogo, ale recepcjonistkę „Morderczej stancji” warto mieć w razie czego po swojej stronie – ale w dobrym celu. Tak się składa, że to ja jestem tą literatką, którą lubił Kamil.

– Naprawdę?! – zdumiała się szczerze kobieta, po czym lekko spuściła z tonu. – Przepraszam, że nie poznałam, ale nie czytam książek. A już z pisarzy to nie kojarzę nikogo poza tą panią, co była kilka lat temu w „Tańcu z Gwiazdami” i na podstawie jej książki był ten film ze Stenką i księdzem Mateuszem. Ale, rzecz jasna, zanim został księdzem. Nie pamiętam nazwiska tej autorki...

– Katarzyna Grochola – odpowiedziała Róża. – Nic nie szkodzi. Nie ma obowiązku czytania, choć może jako pisarka nie powinnam tego mówić. A wracając do węszenia, to tak, przyjechałam tutaj, bo śmierć Kamila bardzo mną wstrząsnęła i nie chciałabym, żeby mordercy uszło to na sucho.

– Ale przecież morderca musi być w Warszawie. To chyba oczywiste! – obruszyła się kobieta. – W Morderczym nikt nie morduje!

Róża mimowolnie lekko się uśmiechnęła. Nie uszło to uwadze kobiety.

– No wiem, jak to brzmi – rzekła z niezadowoleniem – ale taka jest prawda. Nigdy nie mieliśmy tu... – Wymowny wzrok pisarki sprawił, że błyskawicznie się poprawiła. – Mieliśmy tu tylko jedno morderstwo. I tamten zabójca już dawno siedzi za kratkami.

– Zdaję sobie z tego sprawę, bo wpakował go za nie mój... – Krull zastanowiła się, jakie określenie najlepiej oddaje charakter jej znajomości z Darskim – ...znajomy.

– O, naprawdę? – Kobieta znów miała zdziwioną minę. – Ten przystojny komisarz to jej znajomy? Fiu, fiu... A tak w ogóle – wyciągnęła do niej rękę – Jola Czubaj.

– Bardzo mi miło.

– Chętnie jej pomogę, jeśli faktycznie chce złapać mordercę – zapewniła recepcjonistka. – Sporo wiem o tym, co się tu dzieje.

– W takim razie już z góry umawiamy się na pogaduchy przy kawie. – Róża uraczyła ją przymilnym uśmiechem. – Nawet gdybym sama miała ją zaparzyć.

– Kawę jej zrobię, spokojna głowa – obiecała Jola. – A jak są głodni, to niech idą do Zuzi na parówkę.

– A jak się nazywa sklep tej pani?

– No jak to jak?! – Jola znowu popatrzyła na Różę jak na wariatkę. – „U Zuzi”.

Po niespiesznym, godzinnym spacerze po miasteczku Róża i jej towarzysze przekonali się, że wygłoszone kiedyś w przyпіływie szczerości zdanie Darskiego, że „już po jednym dniu pobytu w Morderczym można z pamięci wykonać szkic urbanistyczny tego miejsca”, bynajmniej nie zawiera w sobie zbyt wiele przesady.

– Dobra, tego wypłosza już widziałem – rzekł Mario, kiedy wyszli z za rogu pomalowanej na wściekłe pomarańczowy kolor kamienicy. – Znowu jesteśmy na rynku!

– To nie wyplosz, tylko założycielka miasta – poprawiła go Miłka, która sprawdziła tę informację w smartfonie. – Najpierw stał tu tylko kościół i była maleńka

wioska. Dopiero na początku piętnastego wieku żona toruńskiego karczmarza wybudowała tu pierwszy dworek i namówiła swoje przyjaciółki, żeby zrobiły podobnie. Z czasem w ich ślady poszli inni i tak powstała najpierw wieś, a potem miasteczko.

– I to jest niby ta żona karczmarza? – Mario jeszcze raz krytycznym wzrokiem omiółł pomnik, do którego doszli. – Wygląda jak Pudzian.

– Sam jesteś Pudzian! – fuknęła na niego Miłka. – To, że jest obfita w kształtach, nie oznacza, że masz się z niej nabijać.

– Obfita w kształtach to jest Lizzo i bardzo jej z tym dobrze – odparował Kosek. – A ta tutaj wygląda tak, jakby ktoś kulturystkę ubrał w kostium zespołu pieśni i tańca „Mazowsze”. Popatrz, jakiego ma bicka! Nie mówiąc już o wąsach jak Piłsudski! I do tego ma spodnie!

– Wąsy to akurat są ze śniegu, a spodnie to spódnica z fałdą pośrodku – zauważył trzeźwo Pepe. – Co nie zmienia faktu, że z daleka też byłem pewny, że to facet. Tyle że z damskim uczesaniem. Nawet się zdziwiłem, że to miasteczko jest tak nowoczesne, iż mają metroseksualnego gościa na najważniejszym pomniku.

– Obaj jesteście nienormalni – skwitowała Miłka. – No dobrze, oblecieliśmy tę miejscinę w całości i co nam to dało...?

– ...poza obejrzeniem sklepu odzieżowego, który powinien się nazywać: „Sto ubrań, które da się wykonać z materiałów przeznaczonych na ścierki kuchenne” – dokończył Mario, wzdrygając się na samo wspomnienie owego miejsca. – Zapytała, zapomniana przez Boga i ludzi dziura. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogą się tu rozgrywać jakieś sensacyjne akcje i grasować krwiożerczy bandyci...

– Ja też nie – mruknął Pepe, spoglądając na Różę. – Co robimy dalej?

– Jedziemy do Torunia na obiad! – krzyknęła Miłka, zanim Krull zdążyła odpowiedzieć. – Zanim padnę wam z głodu pod pomnikiem Pudziana. Znaczą się założycielki...

– Miłka ma rację – zgodziła się pisarka. – Jedźcie do Torunia i coś zjedzcie.

– My? – zdziwił się Pepe, patrząc na nią podejrzliwie. – A ty co będziesz w tym czasie robiła?

– Nic głupiego, bo zapewne tego się obawiasz. – Róża westchnęła. – Pójdę odwieźć panią Leokadię.

– Mamę Darskiego?! – Pepe aż się lekko zachłysnął. – I to niby ma być niegłupie?! Koniecznie chcesz, żeby Krzysztof w końcu stracił cierpliwość i zamknął cię w ciupie?

– Niby za co? – zdziwiła się niewinnie Róża. – Za to, że przyjdę z wizytą do mojej znajomej?

– Znasz mamę Darskiego?!

– Owszem. – Krull pokiwała głową. – Poznałam ją, gdy przyjechała do niego do Warszawy. Darski był wtedy wiecznie zajęty i konieczność zabawiania pani Leokadii spadła na Betty, która wtedy była moją agentką. To był ten czas, kiedy koniecznie chciałeś udowodnić światu, że będziesz drugą Gessler...

– Drugim Gesslerem – skorygował Pepe. – Mateuszem. Magda jest jedyna i nikt nigdy jej nie dorówna. To znaczy pod względem osobowości, bo jeśli idzie o samo gotowanie, to moim zdaniem Mateusz jest ciut lepszy.

– Nie zgadzam się – zaproponowała Róża, która od niepamiętnych czasów czuła słabość do gospodyni „Kuchennych rewolucji”. – Ale to teraz nieistotne. Ważne, że Betty nas wtedy ze sobą poznała i bardzo się polubiłyśmy. Byłoby niezbyt kulturalnie odwiedzić Morderczo i nie wpaść spontanicznie z kwiatami do przyjaciółki.

– Spontanicznie... – mruknął Pepe z rezygnacją. – Jestem pewny, że umówiłaś się z nią natychmiast po tym, gdy wpadło ci do głowy, żeby tu przyjechać?

– A tego, mój kochany – Róża popatrzyła na niego filuternie – to już mi nie udowodnisz...

\*\*\*

– Jesteś *sure*? – Patti popatrzyła z niepokojem na nieco zdyszanego młodego blondyna, który chwilę wcześniej wparował do jej apartamentu, o ile tak można było nazwać trzypokojowe mieszkanie z widokiem na pomnik założycielki Morderczego. – Na pewno to była ona?

– Wzrok mam jeszcze dobry – zapewnił chłopak. – Na sto procent!

– *Shit* – mruknęła Garnicky. – Jeszcze jej tu brakowało!

– Podobno przyjechała węszyć. W tajemnicy! – Blondyn klapnął na fotel, po czym sięgnął po stojącą na stoliku przed nim butelkę z coca-colą i nalał sobie trochę do znajdującej się obok niej szklanki. – Tylko nie wiem, jak chce to zrobić, skoro już się rozeszło, że słynna pani pisarka ze stolicy i jej świta najechali na Morderczo.

– Świta? – Patti popatrzyła na niego pytająco.

– No tak. Nie przyjechała tu sama. Jest z nią przyjaciółka, podobno też pisarka. Taka trochę bardziej opływowa...

– Opływowa? – Patti zmarszczyła brwi.



– Podobno teraz już nie można mówić gruba – westchnął blondyn – bo to jest niepoprawne politycznie. Więc wymyślam bardziej uprzejme sformułowania.

– *Fat to fat.* – Garnicky wzruszyła ramionami. – Jeśli się komuś nie podoba, to zawsze może schudnąć.

– Wiesz, że to, co właśnie powiedziałaś, to jest body shaming? I że nie przysporzy ci to fanów?

– Mam to w dupie. – Patti wzruszyła ramionami. – Ważne, żeby udało nam się sfiniszować to, co zaczęliśmy. Z tą *old witch* będzie trudniej. Jakby mało już było complications po drodze...

– A może byśmy odpuścili? – zaproponował blondyn, patrząc na nią uważnie. – Każdego dnia ryzyko robi się coraz większe...

– Odpuścili?! – Patti skrzywiła się i pokręciła głową. – *Never!* Nie po to ja tu siedzę w czterech ścianach w prawdziwej tajemnicy bez *entertainment* i dostępu do moich *followers*, żeby odpuścić. Poza tym, dla ciebie to może tylko kwestia pieniędzy, ale dla mnie całej mojej *future*. Znasz podstawowy warunek?

– No znam – przyznał blondyn. – I doskonale cię rozumiem. Tyle że jak nas tu zaraz psy złapią na gorącym uczynku, to skończymy w mamrze. A tam żadne z nas nie ma żadnej przyszłości.

– O nią akurat na twoim miejscu bym się nie martwiła. – Garnicky rzuciła mu ironiczne spojrzenie. – Jesteś *cute*. Na pewno znajdziesz sobie w *prison* jakiegoś silnego obrońcę.

– Aha, czyli twoim zdaniem moją przyszłością jest bycie więzienną żoną jakiegoś grypsera – blondyn wzniosł oczy. – Doprawdy, wyjątkowo kusząca perspektywa... To co robimy?

– Swoje – zdecydowała Patti. – Jak gdyby nigdy nic.

## ROZDZIAŁ IV

### U MAMY DARSKIEGO

– A tutaj Krzysio, gdy miał trzy latka – Leokadia przewróciła stronę albumu ze zdjęciami – w Świnoujściu, na wakacjach. Mówiliśmy mu, żeby poszedł za wydmę, ale on wolał sikać do morza.

Róża rzuciła okiem na fotkę, wskazaną przez mamę Darskiego, i obiecała sobie, że choćby nawet komisarz miał ją rozciągać na madejowym łożu, nigdy nie przyzna się, że ją widziała.

– Taki z niego był chojrak. – Leokadia poprawiła okulary i przewróciwszy kolejną stronę, głośno się zaśmiała. – O, a tutaj jest już trochę starszy. Przebrał się za Madonnę! Wziął dwie stożkowate tarki do sera, jedną naszą, a drugą pożyczoną od sąsiadki, żeby udawały biustonosz z teledysku „Vogue”. Kiedy był dzieckiem, w ogóle bardzo lubił nosić dziewczęce stroje. Pamiętam, jaką awanturę zrobił nam któregoś dnia, kiedy nie chcieliśmy mu kupić w sklepie różowej koszulki z Myszką Miki. Te dla chłopców były białe albo czarne, ale on się uparł na różową i beczał tak długo, aż w końcu mu ulegliśmy. Nawet się potem z mężem zastanawialiśmy, co z niego wyrośnie. No, ale gdy miał jedenaście lat, to mąż puścił mu na wideo „Policjantów z Miami” i te wszystkie dziewczęce ciuszki od razu poszły w ką.

Róża, która wszelkimi sposobami starała się zachować poważną minę, skończyła w duchu odliczać w tym celu ponure prawicowe posłanki i sięgnęła po filiżankę, w której Leokadia podała jej znakomitą zieloną herbatę. Skrętnie jednak zapamiętywała wszystkie szkalujące komisarza młodzieńcze fakty, jak ten, że o mały włos nie został relegowany z podstawówki, po tym, jak najpierw nie potrafił wykonać skoku przez kozła, przez co prawie nie stracił szans na ojcostwo, a następnie, nie mogąc się pogodzić ze swoją porażką, podpalił owo ustrojstwo.

– Dziwne, że pani syn jeszcze tu nie przyjechał. – Róża postarała się skierować ich konwersację, toczącą się wciąż wokół podobnych wybryków Darskiego, na tory, które ją do starszej pani przywiodły. – Byłam pewna, że pojawi się tu przede mną...

– Zapowiedział się na jutro – zdradziła Leokadia. – Też myślałam, że nadleci tu zaraz po tym... wypadku, ale podobno coś jeszcze musiał sprawdzić w Warsza-

wie. Jego ludzie już tu są. Nocują tam, gdzie pani.

„Już nie mieli gdzie”, pomyślała ze złością Róża.

– To znakomicie! – wykrzyknęła zamiast tego z udawaną radością. – Będę się czuła bezpieczniej.

Leokadia popatrzyła na nią z pobłażliwym uśmiechem.

– Jeśli chciałaby pani przenocować u mnie – rzekła powoli – to serdecznie zapraszam. – Wyraz twarzy Róży sprawił, że czym prędzej dodała: – Krzysztof nie musi o tym wiedzieć. Mam świadomość, że wasze relacje są... nazwijmy to... skomplikowane.

Zważywszy na fakt, że w czasie ostatniej wizyty u niej, jej syn określał pisarkę tak uprzejmymi słowami jak „szajbnięta świruska”, „niezrównoważona wariatka” oraz „wścibska psycholka”, można było uznać, że Leokadia wspięła się właśnie na szczyty dyplomacji.

– Nie, dziękuję z całego serca. – Krull popatrzyła na nią z prawdziwą wdzięcznością. – Nie chcę ich komplikować jeszcze bardziej. To małe miasteczko i na pewno ktoś życzliwy zaraz by mu o tym doniósł. Już i tak pewnie zbiorę burę za dzisiejszą wizytę.

– Bez przesady! – obruszyła się odrobinę Leokadia. – Mam prawo gościć w swoim własnym domu, kogo mi się tylko podoba.

– Obawiam się, że Krzysztof może mieć o tym inne zdanie. – Róża westchnęła. – Jeśli jednak chce mi pani pomóc, to może to pani zrobić w inny sposób...

– Jaki? – Leokadia popatrzyła na nią z ciekawością.

– Przyczyn morderstwa tego chłopaka należy moim zdaniem szukać właśnie tutaj – wyjaśniła Róża. – Dlatego byłabym wdzięczna, gdyby przybliżyła mi pani choć trochę specyfikę tego miejsca i jego mieszkańców. Zwłaszcza tych, których mógł znać Kamil.

– Postaram się – obiecała Leokadia, po czym przez chwilę milczała, najwyraźniej zbierając myśli. – Kamila wychowywała tylko mama. Jego ojciec zostawił ich, kiedy chłopiec miał zaledwie dwa latka. Myślę, że to sprawiło, że żył trochę w świecie fantazji. Pamiętam, że wymyślił sobie, jak to mówił, „drugiego tatę”. Rozumie pani, takiego wyimaginowanego przyjaciela. Rówieśnicy bardzo mu przez to dokuczali. Ponieważ jego mama była wiecznie zapracowana i nie miała dla niego dużo czasu, to kilka sąsiadek próbowało mu ją zastąpić. Najczęściej był wul państwa profesorostwa Stasziców.

– Szlachetne nazwisko... – szepnęła Róża.

– I bardzo kochani, dobrzy ludzie – westchnęła Leokadia. – Adam, to znaczy pan domu, zmarł zupełnie niedawno. Ostatni rok przed śmiercią spędził w Warszawie, bo minister kultury powołał go na stanowisko dyrektora Muzeum Rzeczypospolitej...

Róża poczuła dreszczyk emocji. Muzeum Rzeczypospolitej! To nie mógł być zbieg okoliczności!

– A jak zmarł ten pan? – przerwała Leokadii, która już brała oddech, aby kontynuować swoją opowieść.

– Na atak serca – wyjaśniła Darska. – Co było o tyle dziwne, że na nie akurat nigdy nie narzekał. W dodatku kilka miesięcy wcześniej przechodził obowiązkowe badania lekarskie. Wysłano go wtedy i na echo serca, i na próbę wysiłkową. Pamiętam, bo kiedy o tym opowiadał, to się śmiał, że ma lepszą kondycję niż jego dwudziestoosmioletni syn.

– Rozumiem, że ten syn...

– Marek – odpowiedziała Leokadia.

– Dziękuję – rzekła Róża z wdzięcznością. – Zapewne ten Marek przyjaźnił się z Kamilem. Skoro jego mama zastępowa...

– Ależ skąd! – Leokadia wpadła jej w słowo. – Po pierwsze, Kamil zawsze wolał towarzystwo dorosłych. Po drugie, z Marka zawsze było niezłe ziółko i ladaco! Jeśli ktoś coś w naszym miasteczku przeszkrobał, na przykład coś nasprejował albo zniszczył, to można było od razu przyjmować zakłady, że to młody Staszic. Waleria, żona profesora, starała się trzymać Kamila jak najdalej od niego. Swoją drogą, aż nie chce mi się wierzyć, kiedy teraz słyszę, że Marek wyrósł na ludzi, mieszka w stolicy i pracuje jako dziennikarz, chyba w jakiejś telewizji czy radio...

– Ludzkie losy bywają skomplikowane – zgodziła się Róża. – Czy poza panem profesorem i jego żoną ktoś jeszcze był blisko Kamila?

– Jolka, u której mieszkacie. Ta to wie wszystko o wszystkich. Warto z nią pogadać. Na pewno sprzeda wiele plotek. Tyle że jak bywa z takimi osobami, te jej bajania należy podzielić przez dwa. Bo ona jest z tych, co to, jak czegoś się nie dowie, to sama sobie dopowie. No i Kamil jeszcze czasem chodził do Krystyna Majka, ale w tajemnicy przed Staszicami...

– Dlaczego?

– Bo Adam i Krystyn serdecznie się nie znosili. Adam całe życie walczył o odzyskanie dzieł sztuki zrabowanych nam w czasie zaborów i wojen światowych. Z kolei o Krystynie chodziły słuchy, że ułatwia wywiezienie z Polski nawet tych marnych resztek, które nam jeszcze zostały.

– I to prawda? – widząc potwierdzające kiwnięcie głową swojej rozmówczyni, Krull, która wiele razy za granicą przeżywała chwile złości, gdy uświadamiała sobie, jak wiele z dzieł, oglądanych w tamtejszych muzeach, powinno znajdować się nieco bliżej jej miejsca zamieszkania, od razu poczuła niechęć do tego jakiegoś tam właściciela kobiecego imienia. Nic dziwnego, że jest przestępcą, skoro rodzice uparli się go nazwać Krystynem. – Co za lajdak!

– Adam mówił dokładnie to samo – Leokadia, która miała w tej kwestii identyczne zdanie, doskonale rozumiała uniesienie Róży – ale brakowało mu dowodów. Wiele razy próbował złapać Krystyna na czymkolwiek, ale ten się za każdym razem jakoś wywijał z opresji.

– Nie rozumiem tylko, po co Kamil do niego chodził – mruknęła Róża z niezadowolaniem. – Na cholerę mu była taka znajomość?

– Kochanie, Krystyn może i ma na sumieniu ciemne sprawy – Leokadia uśmiechnęła się łagodnie – ale nie zmienia to faktu, że jest wykształconym, inteligentnym człowiekiem, a jego mieszkanie bardziej przypomina muzeum niż miejsce, gdzie na co dzień żyją ludzie. Są tam pamiątki z naszego regionu, niektóre nawet sprzed kilkuset lat. Krystyn ma obsesję na punkcie tego skrawka ziemi i zaraził nią Kamila.

– No dobrze... A kościół?

– Który kościół? – zapytała Leokadia.

– To tu jest więcej niż jeden? – zdziwiła się Róża, z miejsca przypominając sobie, jak lata temu wpadła na pomysł, żeby studiować poza stolicą i pojechała złożyć papiery do dopiero co inaugurującej swoją działalność wyższej szkoły humanistycznej w Łowiczu. Dojechała tam pociągiem, wysiadła na stacji, po czym zaraz po wyjściu z dworca zapytała jakąś babinę, jak ma najszybciej dojść do dziekanatu uczelni, bo już trochę jest spóźniona.

– O, to bardzo proste, zdąży panienka – pocieszyła ją babina. – Moja wnusia też będzie się uczyć w tej szkole, to ja wszystko wiem. Trzeba iść na prawo i zaraz na końcu ulicy będzie kościół starokatolicki. Od niego w lewo minie panienka kościół Bernardynek. Tam trzeba skrócić znowu w prawo i dojść do kościoła Pijarów. Wtedy w lewo i będzie najpierw cerkiew Świętego Jana, a zaraz za nią bazylika katedralna. Tam jest pierwszy dziekanat. Ale jeśli ten będzie nieczynny, to jest drugi. Trzeba dojść do kościoła Świętego Ducha, potem do kościoła Świętego Bartłomieja i to już będzie parę kroków dalej.

Róża, która pogubiła się już mniej więcej w okolicy kościoła Pijarów, na długi czas pozostała z przekonaniem, że w Łowiczu jest więcej kościołów niż mieszkańców.

– Są dwa. – Głos pani Leokadii przywrócił ją z Łowicza do Morderczego. – Jeden, starszy, od jakiegoś czasu jest zamknięty i remontowany. A drugi jest zaraz za rynkiem.

– Obchodziliśmy rynek dokoła i go nie zauważyliśmy – przyznała Krull.

– Bo ten kościół jest tak jakby tymczasowy – wyjaśniła Darska. – Kiedy zapadła decyzja o zamknięciu starego, straż pożarna zdecydowała się przekazać parafii jedno ze swoich pomieszczeń i tam właśnie jest nowy. Tyle że kiedy spadł śnieg, to przykrył krzyż, i tylko miejscowi wiedzą, co się znajduje w tym budynku.

– Mnie chodzi o ten stary – wyjaśniła Róża, wysilając pamięć. – Kiedy się spotkaliśmy tuż przed tym, zanim... – Poszukała w głowie delikatnego słowa, ale Leokadia machnęła uspokajająco ręką.

– Jestem matką policjanta – przypomniała. – Nie trzeba się ze mną cackać. Zanim go zabito, to chciała pani powiedzieć, prawda?

– Owszem – potwierdziła Krull. – Kamil mówił, że w Morderczym dzieją się dziwne rzeczy. Że byli tu jacyś dziwni ludzie, a potem zamknięto kościół i zaczęto go remontować. A według niego to nie ma sensu, bo niedawno budynek był malowany, a w środku zamontowano nawet nową ambonę. I że jeszcze przy tym kościele postawiono budkę dla ochroniarzy i jemu wydaje się to dziwne. Mnie zresztą też.

– A mnie niekoniecznie...

– Przecież kościoły nie mają ochrony?!

– Ale ten kościół na razie nie pełni swojej funkcji – wyjaśniła Leokadia. – Rozmawiałam na ten temat z naszym proboszczem. Ci dziwni ludzie, o których mówił Kamil, to pewnie specjaliści z ministerstwa. Przyjechali, żeby ocenić stan techniczny tego obiektu. Ksiądz Jan mówił, że ich ekspertyza głosiła, że gdyby ktoś zaproszył tam ogień, to całość spłonęłaby, zanim ktokolwiek zdążyłby zmówić zdrowaśkę. On sam był tym bardzo zdziwiony, bo wydawało mu się, że kościół jest w lepszym stanie. Ale nie protestował, bo ministerstwo sypnęło hojnie groszem na renowację. Tyle że... – zawahała się.

– Tak? – Róża popatrzyła na nią pytająco.

– Od czasu kiedy zamknięto kościół, nic tam w zasadzie nie zrobiono – wyjaśniła z lekkim zakłopotaniem Leokadia. – Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że takie prace nie trwają dwa dni i że nie wykonuje się ich raczej zimą, tyle że tutaj nawet przez całe lato nikt nie przyjechał, żeby choć zacząć roboty. Pomijając postawienie tej nieszczęsnej budki dla ochroniarzy.

– Ciekawe, kto ich opłaca... – zastanowiła się na głos Krull, jednocześnie zerkając na komórkę, która wyświetliła jej SMS-a od Pepe.

– To akurat wiem, bo jednym z nich jest mój znajomy, Waldek – odpowiedziała Darska. – Dostają pensję z Muzeum Rzeczypospolitej.

– Słucham?! – zdziwiła się Róża. – Jakim cudem? Co ma do tego muzeum?!

– Tego to już nie wiem. – Leokadia rozłożyła bezradnie ręce. – Ile mogłam, tyle pani powiedziałam. Jeśli mogę jeszcze coś doradzić, to rozmowę z księdzem Janem.

Róża nie opanowała skrzywienia twarzy.

– Jakoś z księżmi mi nie po drodze – wyjaśniła przepaszającym tonem. – Zresztą im ze mną z reguły też nie...

– Ksiądz Jan jest inny. – Leokadia uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Zobacz pani sama. Ja z większością naszego duchowieństwa też dogaduję się raczej słabo, ale w tym przypadku jest odwrotnie. Gdyby wszyscy księża byli tacy jak on, to laicyzacja społeczeństwa stałaby się pustym hasłem ze „Słownika wyrazów obcych”.

– Skoro tak... – Róża dopiła herbatę i powoli wstała z fotela – ...to spróbuję z nim porozmawiać.

– Już pani idzie? – Leokadia była wyraźnie rozczarowana.

– Właśnie przed chwilą dostałam SMS-a od mojego agenta, że on i reszta moich przyjaciół za moment wrócą już z Torunia – wyjaśniła Róża. – Musimy się zameldować w „Morderczej stacji”, a potem przemyśleć, co robić dalej. Jestem jednak pewna, że niedługo się zobaczymy.

Leokadia odprowadziła ją do drzwi. Krull wyciągnęła dłoń na pożegnanie, równocześnie patrząc na Darską proszącym wzrokiem.

– Wiem, że Krzysztof dowie się, że tu byłam – rzekła i zanim gospodyni zdążyła zaprotestować, szybko dodała: – On się zawsze o wszystkim dowiaduje! Prędzej czy później. Już do tego przywykłam. Proszę tylko powiedzieć mu, że tym razem wcale nie chodziło mi o to, żeby zabłysnąć talentem detektywistycznym czy wywołać sensację. Naprawdę szkoda mi tego chłopaka. Sprawiał wrażenie sympatycznego. No i czytał moje książki. Zrobię wszystko, aby jego morderca trafił za kratki!

Z twarzy Leokadii zniknął uprzejmy uśmiech.

– A ja zrobię wszystko, aby pani w tym pomóc – rzekła mama Darskiego z mściwą miną, którą ku swojemu zaskoczeniu, Róża doskonale znała. Widziała ją wiele razy, tyle że na innej, męskiej twarzy. – Może być pani tego pewna!

I choć w tym momencie żadna z nich nie mogła przewidzieć, że los podda te ostatnie deklaracje próbie, to rychło miało się okazać, że ani Róża, ani Leokadia nie rzucały bynajmniej słów na wiatr.

## ROZDZIAŁ V

### PODZIAŁ OBOWIĄZKÓW

Kiedy tuż po przekroczeniu progu „Morderczej stacji” natknęła się na Manuellę Konopkę, Róża nie poczuła się specjalnie zdziwiona. Doskonale wiedziała, że dziennikarka, którą poznała na Podlasiu i która dzięki ich wspólnemu śledztwu zrobiła spektakularną karierę w ogólnopolskich mediach, nie przepuści okazji dającej jej choćby cień szansy, aby kolejny raz wywołać wokół siebie zamieszanie.

– Ale dziura! – przywitała Krull, rzucając jej się w objęcia tak, jakby były serdecznymi przyjaciółkami. – Podobno nie ma tu nawet restauracji!

– Nie podobno, tylko na pewno – pisarka błyskawicznie wyswobodziła się z uścisku Konopki. – Moi przyjaciele właśnie wracają z Torunia, dokąd pojechali, żeby nie paść tu z głodu. Lada moment powinni być z powrotem.

– To zanim przyjadą, możemy chwilę poplotkować. – Manuela rzuciła okiem na stojącą przy recepcji Jolę i odciągnęła Różę do przeciwległego krańca pomieszczenia. – Co za wścibski babus! Nie znoszę takich. Wszystko muszą wiedzieć! No i jak? Ustaliłaś już coś?

Krull pokręciła głową.

– Podobno ten zabity chłopak zamieszany był w przemyt dzieł sztuki – poinformowała ją Konopka.

– Co to za głupota? – Róża popatrzyła na nią z politowaniem.

– Nie głupota, tylko sam się tym chwalił. – Manuela popatrzyła na nią ze zdumieniem. – Nie słyszałaś o tym?

– Jak niby miałam o tym słyszeć? – zirytowała się Krull. – Ledwo co go znałam, a objawienie zdarzyło mi się tylko raz w życiu.

– Przecież jest o tym... – zaczęła Manuela, ale najwyraźniej dopiero teraz dotarł do niej cały sens wypowiedzi pisarki. – Jak to objawienie? Mówisz poważnie?

– Mniej więcej – stwierdziła Róża z przekąsem. – Kilka lat temu na wakacjach w Grecji miałam przecucie, że nie powinnam płynąć poduszkwocem na Santorini i oddałam swój bilet jakiejś przypadkowej babce, która biadoliła, że dla niej już nie starczyło. I ona na tym poduszkwowcu poznała jakiegoś lokalnego milionera, który tydzień później, kiedy jeszcze byliśmy na wakacjach, jej się oświad-



czył. Oglądałam nawet pierścionek zaręczynowy. Tak wielki, że aż zapytałam, czy narzeczony wyłowił go z „Titanica”.

– No to faktycznie objawienie wszech czasów! – parsknęła Konopka. – Nic tylko pogratulować! Powinnaś napisać poradnik „Jak nie zostać grecką milionerką”. Murowany hit! Kosze w „Auchan” już na niego czekają.

Na twarzy Róży pojawił złośliwy uśmieszek.

– Dwa tygodnie po naszym wyjeździe milioner udusił tę babkę we śnie – wyjaśniła spokojnie. – Okazało się, że był schizofrenikiem.

Manuelę lekko zatchnęło.

– To o co chodzi z tym przemysłem? – Róża wróciła do podstawowego tematu. – Skąd niby miałam o tym wiedzieć?

– Bo cały Internet o tym huczy. – Konopka błyskawicznie odzyskała rezon. – Patti Garnicky udzieliła wywiadu Sensatкови, w którym powiedziała, że udało jej się zamienić kilka słów z tym chłopcem i że pochwalił jej się, że zna kogoś, kto zajmuje się przemysłem dzieł sztuki. I że bardzo się cieszy, że Patti zamierza otworzyć w Polsce galerię i ma nadzieję, że znajdzie się tam kilka eksponatów, które wrócą do kraju także dzięki niemu.

– Poczekaj... – przerwała jej Krull. – Czyli on miał na myśli przemysł do nas, a nie od nas?

– Tak wychodzi z tego, co mówi Patti. – Manuela pokiwała głową.

– Ciekawe, kiedy ona zdążyła go dorwać... – zastanowiła się Róża.

– Pewnie wtedy, kiedy produkowałyśmy się na scenie... O ile w ogóle?

– Co masz na myśli? – zdziwiła się pisarka.

– Garnicky więcej zmyśla, niż mówi prawdy. – Manuela westchnęła. – Zakładam więc, że mogła wszystko na poczekaniu wymyślić, żeby skierować na siebie uwagę mediów. Zważywszy na liczbę publikacji i liczbę ich kliknięć, całkiem skutecznie.

– Naprawdę myślisz, że miałyby odwagę wymyślić rozmowę z nieboszczykiem? To już chyba lekka przesada...

– Akurat to pojęcie nie funkcjonuje w jej słowniku – stwierdziła z pełnym przekonaniem Konopka. – Skoro mogła sobie wymyślić, że zagrała w filmie u boku Johnny’ego Deppa, a Brad Pitt o mało co nie rzucił się pod pociąg, kiedy odmówiła jego zaproszeniu na kolację, to akurat wymyślenie tej rozmowy to drobiazg.

– A zagrała? – zaciekawiała się mimowolnie Róża.

– Ona upiera się, że tak. – Manuela wzniosła oczy i pokręciła głową. – W dwudziestej minucie filmu jest moment, kiedy wybucha bomba w restauracji i towa-

rzyszka Deppa wylatuje przez okno. Przez pół sekundy widać wtedy plecy osoby, która siedzi stolik dalej i ma w dłoni kieliszek. Patti twierdzi, że to jej plecy i że scenarzyści specjalnie dla niej dopisali tę scenę, żeby wyeksponować to, jak ładnie trzyma ten kryształ. To było po tym, jak już film wszedł na ekrany, bo przedtem zrobiła z tej swojej, pożał się Pani, roli takie zamieszanie, że nawet „Informacje” Tele-Polu podały, że Polka gra główną rolę u boku Johnny’ego Deppa, a magazyn „Koktajl” rozpędził się do tego stopnia, że zrobił okładkę z tytułem: „Oscar dla Polki?! Czy Patti Garnicky ma szansę na złotą statuetkę?”. Myślę, że osoba, która wymyśliła ten kocopał, po obejrzeniu filmu wylądowała na psychoterapii. Ewentualnie popełniła honorowe sepuku.

– Eeee... – Róża machnęła ręką. – Bo to pierwszy kretyzizm, który poszedł na okładce? Dziwne tylko, że ta cała Garnicky po czymś takim nie zapadła się pod ziemię...

– Ona ma więcej tupetu niż wszyscy nasi celebryci razem wzięci – zawyrokowała Manuela. – Jak weźmiesz pod lupę jej życiorys, to jest tam więcej dziur niż w szwajcarskim serze. I śmierdzi gorzej niż francuskie. Od miejsca i, jak mnie mam, daty urodzin, przez jakieś dziwaczne konkursy piękności, które niby to powygrała, a o których nie ma żadnych danych w Internecie, aż po tego amerykańskiego męża milionera...

– No przecież jego sobie chyba nie wymyśliła! – Róża zrobiła wielkie oczy. – Sprawdzenie, czy jesteś czyjąś żoną, czy nie, zajmuje chyba pół sekundy.

– Yhm, powinno – zgodziła się Konopka. – Tyle że Patti twierdzi, iż wzięła ślub na Cyprze. Taki dwuminutowy.

– A co? Milionera nie stać było na przyjęcie w hotelu Plaza i wakacje na Arubie?

– Patti mówi, że jej ukochany jest spontaniczny, co wydaje mi się o tyle dziwne, że podobno to jakiś zgrzybiały staruszek – wyjaśniła Konopka z przekąsem. – Jedyne, co może robić spontanicznie, to popuszczać mocz...

– Manuela! – Róża uznała za słuszne przywołać dziennikarkę do porządku. – Tak nie można!

– Proszę cię... – Konopka wzruszyła obojętnie ramionami. – Akurat w tym przypadku można. Patti jedzie równo po wszystkich. Przecież nawet ciebie w wywiadzie określiła jako sympatyczną grubaszkę...

– Słucham?! – Róża wyglądała jak rażona piorunem.

– To nie wiedziałaś...? – zmartwiła się obłudnie Manuela. – No tak, to przecież ten sam wywiad, w którym opowiadała o tym biednym chłopcu. Wspomniała tam, że poznała też taką podobno popularną, starszą pisarkę...

– Starszą?! – Krull wyglądała tak, jakby zaraz miała ją trafić apopleksja.

– Nie przejmuj się, dla Patti każdy powyżej trzydziestki jest już jedną nogą w grobie – pocieszyła ją Manuela – i ciesz się, że nie nazwała cię babcią albo nawet prababcią, bo to jej ulubione określenie wszystkich nie lubianych przez nią kobiet z datą urodzenia choćby o rok wcześniejszą od jej. Słowo „starsza” w tych usteczkach to komplement!

– Dziękuję, postoję... – mruknęła Róża.

– Potem dodała jeszcze, że jesteś sympatyczną grubaską i że polubiła cię tak bardzo, że aż ci wysłał adres do swojego dietetyka, który zrobi z ciebie laskę à la autorka „Harry’ego Pottera”, której nazwiska oczywiście nie pamiętała. To tak z grubsza... – zrelacjonowała Konopka, starannie przemilczawszy ten fragment wywiadu, w którym celebrytka stwierdziła, że zrozumienie wszystkich słów zabitego chłopaka niestety uniemożliwiła jej rozmowa „dwóch starowinek na scenie”.

– Wredna małpa – skwitowała mściwie Róża.

– Żebyś wiedziała – potwierdziła Konopka. – Wszyscy tak mówią.

– Myślę, że ona opowiadała o tym chłopaku same głupoty – zawyrokowała Krull. Przypomniawszy sobie jednak słowa Leokadii o znajomości Kamila z Krystynem, lekko się zawahała.

Nie uszło to uwadze Manueli.

– Ty coś wiesz... – zauważyła, mrużąc chytrze oczy. – Prawda?

– Być może – Róża poczuła, że nie chce jej się kłamać – ale póki sama tego nie sprawdzę, nie zamierzam się z nikim dzielić swoją wiedzą...

– Czyli rozumiem, że tym razem będziemy dla siebie konkurencją? – Manuela zaśmiała się cicho. – To dobrze. Współzawodnictwo zawsze mnie uskrzydlało.

„Bylebyś uleciała jak najdalej ode mnie”, pomyślała Róża.

– Ale że nie dałeś mi zjeść deseru, tego ci nie daruję! – rozległ się od wejścia pełen wyrzutu głos Miłki.

– To była bita śmietana podana na bitej śmietanie z obfitym dodatkiem bitej śmietany – ten głos z kolei należał do Mario – i z jakąś bździną bezy oraz dwiema zwiedłymi truskawkami w środku. Nie wiem, jak bardzo trzeba być chorym psychicznie, żeby nazwać ten zatykacz tętnic Pavlovą! Ciesz się, że uratowałem cię przed natychmiastowym zatorem i zawałem!

– Na coś trzeba umrzeć!

– Mogłaś mi od razu powiedzieć, że chciałaś być pierwszą osobą w Księdze rekordów Guinnessa, odnotowaną jako ta, która umarła w wyniku konsumpcji deseru. Milczałbym jak zakłęty!

– Bardzo przepraszam. – Róża popatrzyła przepraszająco na Konopkę. – Moi przyjaciele wrócili!

– Jasne – Manuela odwróciła się, po czym podeszła do Miłki, Mario i Pepe. – Jakże miło widzieć was wszystkich w komplecie. Zapowiada się niezła zabawa. Aż szkoda, że muszę już lecieć! Na pewno się jednak jeszcze zobaczymy!

\* \* \*

Choć na zewnątrz „Mordercza stacja” sprawiała wrażenie całkiem przyzwoite, to już pierwszy rzut oka na połączone szerokimi rozsuwanymi drzwiami pokoje, w których mieli spędzić najbliższą noc, sprawił, że Róży i jej przyjaciółom poopały różne organy oraz obniżył się poziom optymizmu.

– Moim zdaniem coś tu umarło – osądził Mario, wachając podejrzliwie swoje łóżko.

– Przede wszystkim nadzieja na czystość. – Pepe z nieskrywanym obrzydzeniem podniósł dziergany obrusik, leżący na stole mającym teoretycznie służyć jako miejsce spożywania posiłków. – Myślę, że jest to osiemnastowieczne dzieło sztuki i mniej więcej od czasu kiedy powstało, nikt go nie wyprał.

– Oj tam, czepiasz się. – Miłka z radością grzmotnęła pokazną torbę ze swoimi rzeczami na krzesło, a następnie z zaskoczeniem popatrzyła, jak meblowi rozjeżdżają się nogi, a jej kłopot ląduje na podłodze. – A może i nie...

– Prawda, że „Ritz” to raczej nie jest – przyznała Róża z rezygnacją – ale to tylko dwie doby. Jakoś wytrzymamy... – Usiadła na swoim łóżku, które z miejsca wydało z siebie ostrzegawcze skrzyknięcie. – Poza tym we wszystkim należy znajdować dobre strony. Może i przydałoby się tu posprzątać, i jak znam Pepe to zaraz się do tego zabierze...

– A myślisz, że po co zabrałem ze sobą CIF – Kwiatek sięgnął do swojej torby – i gumowe rękawice?

– No właśnie – parsknęła Róża, widząc zdumione miny pozostałej dwójki. Ona sama uodporniła się na dziwactwa swojego agenta, odkąd odkryła, że w ich trasę autorską zabiera on mniej więcej całą półkę drogerii, a następnie doceniła owo maniactwo, kiedy wylądowali w pensjonacie pod Lublinem, który najwyraźniej lada moment świętować miał pięćdziesięciolecie niesprzątania i w którym na dzień dobry przywitała ich w pokoju pajęczyna wielkości sieci rybackich i grubości lin okrętowych. – Więc za moment będzie tu lśniło jak w pięciogwiazdkowcu. Ale popatrzcie na te pierzyny i poduchy, w nocy ma być na minusie, a my będziemy mieli jak u Pana Boga za piecem! – Żeby poprzeć swoje słowa czynem,

zrzuciła z nóg buty, odgarnęła koldrę, położyła się na łóżku i przykryła nią. Po chwili poczuła, jak zapada się coraz głębiej i głębiej...

– Faktycznie, rewelacja – mruknął Mario, pomagając kilkadziesiąt sekund później wgramolić się pisarce z barłogu na ziemi. – Krzesła, które same się dekomponują, łóżka bez dna, obrusy wyszydelkowane pod zaborami... Ciekawe, co jeszcze?

Jakby w odpowiedzi z rogu pokoju oderwało się od ściany coś ogromnego i czarnego, przemieściło się nad jego głową, przez chwilę polatało wokół żyrandola, aby ostatecznie wylecieć przez otworzone przytomnie przez Miłkę na oścież okno.

– Co to było, do jasnej cholery? – Mario wydał z siebie paniczny okrzyk jako pierwszy, acz jedynie o ułamek sekundy przed Różą i Pepe.

– Gacek – odpowiedziała Miłka, która jako jedyna powstrzymała się od reakcji akustycznych na widok skrzydlatego potwora. – Cudowny! Fantastyczny!

– No, mnie jakoś nie zachwyił – mruknął Mario z obrzydzeniem.

– Co to jest gacek? – zapytała Róża. – Bo kojarzy mi się tylko z autorką kryminałów...

– Nietoperz – wyjaśniła Miłka, nadal zafascynowanym głosem, wpatrująca się w zamknięte już okno, jakby chciała dostrzec nocnego ssaka na tle śnieżnej ulicy. – Kocham je! Nie napisałam chyba ani jednej książki, w której by się nie pojawił. Uwielbiam je! Są symbolem ciemności i wzbudzają grozę. Zupełnie nie wiadomo czemu, bo nie atakują ludzi. Jedyna sytuacja, w której mogą nam coś zrobić, to kiedy chwycimy je gołymi rękami. Wtedy naturalnie zaczną się bronić i mogą ugryźć. Ale nawet i to nie stwarza specjalnie wielkiego zagrożenia, co najwyżej zostanie po takim ukąszeniu niewielki strupek. Mam nadzieję, że nie zmarznie w tę grudniową noc. Przestraszył się nas biedaczek, bo zakłóciliśmy mu spokojny sen. Dlatego zanim się zerwał do lotu, sam usiłował nas zastraszyć, szczerząc się i wydając takie trochę trzeszczące, a trochę syczące dźwięki. Licho wie, czemu ludzie tak je demonizują. Może to kwestia ich barwy...

– Na pewno – potaknął ironicznie Pepe. – Gdy Róża raz ustroiła się na spotkanie autorskie na czarno, to ochroniarz budynku, w którym odbywały się trzy imprezy naraz, zamiast do czytelników skierował ją na stypę, gdzie na jej widok z miejsca zemdlały trzy staruszki. Także to bezsprzecznie musi być wina koloru...

– Co on znowu opowiada za brednie? – zdziwiła się Miłka i popatrzyła pytająco na Różę.

– Niestety, to nie są brednie – westchnęła Krull. – To była malutka miejscowość i faktycznie wszystko, co tylko się dało, odbywało się w jedynym większym budynku. Gdy tam przyjechałam, to na dole było wesele, na pierwszym piętrze moje spotkanie, a na samej górze stypa. No i portier myślał, że idę na tę ostatnią. A tam okazało się, że wyglądam wypisz wymaluj jak świeżo, co dopiero pochowana nieboszczka i faktycznie jakieś trzy ciotki denatki na mój widok straciły przytomność, bo były pewne, że widzą ducha. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy ubrałam się na czarno na wieczór autorski.

– A szkoda, bo czarne wyszczupła – westchnął Mario, który uwielbiał ten kolor tak bardzo, że jego szafa wyglądała jak wypożyczalnia rzeczy dla osób w żałobie. – Spróbujmy jakoś ogarnąć ten bajzel...

Po mniej więcej godzinie pucowania podłóg i innych powierzchni płaskich, próbach zbitcia w jedną całość rozklekotanych mebli, prowizorycznej naprawy łóżka Róży, tudzież przejrzeniu każdego możliwego kąta w celu wypłoszenia z nich ewentualnej zwierzyny lotnej i samobieżnej oraz po zabiciu w wyniku tych poszukiwań paru dorodnych karaluchów, zmęczeni przyjaciele klapnęli wreszcie przy o dziwo sprawnym i radośnie płonącym kominku.

– Jaki masz dalszy plan? – zapytał Mario, kiedy Krull streściła im swoją rozmowę z mamą Darskiego.

– Trzeba by porozmawiać z księdzem, wdową po profesorze, właścicielką naszego pensjonatu i tym paserem – rzekła Róża.

– Możemy się tym podzielić – zaproponowała Miłka, a widząc niezdecydowanie na twarzy przyjaciółki, szybko dodała: – Mam nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, że ty odwalisz całą robotę, a my w tym czasie będziemy zbijać bąki...?

– Zabrałem ze sobą „Wsiąść do pociągu” – poinformował ją Mario.

– Chyba żartujesz, że znowu z tobą w to zagram – zaoponowała stanowczo Wężowska.

– A dlaczego nie? – zdziwił się niewinnie Kosek.

– Za każdym razem losuję te same trasy co ty – westchnęła Miłka – i wszystko mi zajmujesz jako pierwszy. Ostatnio nie potrafiłam wydostać się z Rzymu i musiałam leźć do Ankary przez Smyrnę, bo mi zajęłaś Ateny i Wenecję. Zanim zebrałam kolor, to wyście już skończyli grać!

– Czy to moja wina, że najpierw nazbierasz sobie wagoników, a potem pomstujesz, że ktoś inny zbudował już linię? – Mario wzruszył ramionami. – Mamy niby wszyscy dostawać ataków jasnowidzenia, co z czym planujesz połączyć i jeszcze być mili i ci tego nie zajmować? Nie na tym ta zabawa polega.

„Wsiąść do pociągu”, czyli gra planszowa, której uczestnicy za pomocą wagoników budują połączenia kolejowe między miastami, od kilku miesięcy stała się ulubioną rozrywką czwórki przyjaciół. Na partyjkę w nią dawała się namówić nawet Róża, choć przy jej humorze prawie każde miasto kojarzyło jej się z czymś złym, począwszy od Londynu, gdzie o dwudziestej trzeciej sprzedano jej bilet, który teoretycznie miał być ważny przez dwadzieścia cztery godziny, a przestał działać o północy, aż po Sofię, gdzie z kolei na bazarze oskarżono ją o kradzież kopru, który wisiał zbyt nisko i po prostu przez nieuwagę wplótł się jej we włosy, czyniąc z niej coś na podobieństwo strzygi wodnej. Mimo swoich kwękań, że w Brukseli od jednego kęsa gofrów można dostać cukrzycy, a w Wenecji od nadmiaru wody reumatyzmu, Róża w duchu lubiła tę grę, choć nawet na torturach by się do tego nie przyznała i zawsze robiła wielką łaskę z faktu, że zgadza się w niej uczestniczyć.

– W sumie byłoby fajnie, gdybyśmy się podzielili – rzekła, wracając do tematu – bo mamy mało czasu. I tak dziwne, że Darski jeszcze nie nadleciał i nie zaczął straszyć, że wszystkich nas pozamyka w lochach o chlebie i wodzie razem ze szczurami.

– Co się odwlecze... – mruknął Pepe.

– W takim razie ja wezmę na siebie wdowę po profesorze – zgłosił się, choć z wyraźną niechęcią, Mario. – Starsze panie mnie uwielbiają...

– Entliczek pętliczek, ja mogę pogadać z paserem – zaproponowała wspaniałomyślnie Miłka. – Akurat przy okazji ostatniej książki rozpracowywałam kwestię przemytu dzieł sztuki, więc mam tę wiedzę na świeżo w głowie...

– Kto mi został? – westchnął niechętnie Pepe.

– Ksiądz albo właścicielka pensjonatu – odpowiedziała Róża. – Mnie chyba będzie łatwiej z właścicielką, bo już zaczęłyśmy plotkować i mam od niej zaproszenie na kawę...

– Dla mnie to w zasadzie obojętne – oświadczył Kwiatek. – Może być i ksiądz.

– W sumie jesteś z nas wszystkich najbardziej uduchowiony – mruknął Mario, który podczas jednej z podróży z agentem Róży został przez niego zaciągnięty do takiej liczby kościołów, że swoim zdaniem tylko cudem po wyjściu z ostatnich z nich nie został od razu wniebowzięty.

– Tyle że ten ksiądz jest ponoć nietypowy – przypomniała sobie Krull. – Przy najmniej zdaniem mamy Darskiego...

– To znaczy, że co? – Pepe popatrzył na nią podejrzliwie. – Upijemy się w czarnozem winem mszalnym, po czym będziemy słuchali Nergala i oglądali „365 dni”?

– Nie idiociej – poradziła mu Róża z politowaniem. – Tak do końca to nie wiem, ale mama Darskiego stwierdziła, że ksiądz Jan jest inny niż wszyscy pozostali... Sama jestem ciekawa, w jaki sposób. To co? Bierzymy się do roboty...?



## ROZDZIAŁ VI

### TO NIE TAK MIAŁO BYĆ

Pepe stał przez jakiś czas, który jemu samemu wydawał się jedną sekundą, a w istocie rzeczy był aż dwiema minutami, w zupełnym bezruchu. Z natury racjonalny i zimnokrwisty, tym razem Kwiatek poczuł się tak zszokowany, że potrzebował tych chwil, aby odzyskać kontrolę nad swoim ciałem i umysłem.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, kiedy już znów zaczął myśleć, to gorzka refleksja, że jego pracodawczyni udawało się już w życiu wygłosić rozmaite kretynizmy, ale ten pobił wszelkie rekordy.

Faktycznie, zgodnie z zapowiedzią Róży, ksiądz Jan był nietypowy.

A mianowicie martwy.

Kilkadziesiąt minut wcześniej Pepe udał się pod wskazany przez pisarkę adres i próbował znaleźć wielebny w jego mieszkaniu. Tam od gospodyni księdza otrzymał informację, że ktoś niedawno do niego zadzwonił i w związku z tym Jan udał się do kościoła. Przy czym gosposia użyła sformułowania „do tego miejsca”, po czym wyjaśniła, że nigdy nie pogodzi się z tym, że na tymczasowy kościół wybrano salę, w której nieco wcześniej jej pijany syn „womitował w rytm piosenek Zenka”. Dla przypięczętowania swoich słów splunęła siarczyście, częściowo na śniegowce Pepe, a potem pokazała mu zdjęcia owego syna, twierdząc, że od początku wiedziała, że nic dobrego z niego nie wyrośnie, bo „ledwo co go z niej wyjęli, a już mu się włosy ułożyły na kształt diabelskich rogów” i „że na szczęście ma jeszcze dwie córki, bo jakby ich nie miała, to skończyłaby jako patologia w sprawie dla reportera.

Wydarłszy się z rąk gospodyni i starając się wymazać sobie sprzed oczu scenę „womitowania”, Pepe przemierzył kilkaset metrów, dzielących mieszkanie księdza od tymczasowego kościoła, po czym wkroczył do bylej remizy strażackiej. Wbrew temu, co się spodziewał po słowach swojej rozmówczyni, wewnątrz urządzone było ze smakiem i choć nie porażało charakterystycznym dla większości kościołów przepychem, to przyznać trzeba było, że zostało zorganizowane tak, aby wierni czuli, że znaleźli się w świątyni.

Kwiatek przeszedł między rzędami ławek, podziwiając zawieszone na ścianach obrazy, przedstawiające stacje Męki Pańskiej, dochodząc uczciwie do wniosku, że ktoś, kto je namalował, musiał mieć ogromny talent. Wyglądały na prawdziwe dzieła sztuki. Zaskoczony, podszedł nawet do kilku i przyjrzał im się z bliska. Być może nie był wybitnym znawcą malarstwa, ale gra światłocieniem, nadająca obrazom wrażenie trójwymiarowości, dbałość o detale, subtelność, o którą czasem tak trudno w dziełach sakralnych, wszystko to zachwyciło go tak bardzo, że niemal zapomniał o celu swojej wizyty. Niestety, ten przypomniał mu o sobie błyskawicznie. Kiedy Pepe skończył kontemplować ostatni z obrazów, znajdujący się już tylko kilka metrów od ołtarza, kątem oka zauważył leżącą na podłodze postać. Zważywszy, że miała ona na sobie sutannę, Kwiatek nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo widzi przed sobą. Gdy jednak dostrzegł dokoła skulonego w dziwnej pozycji księdza ogromną kałużę krwi, skamieniał i poczuł, że nie jest w stanie wykonać nawet najmniejszego ruchu. Potem pomyślał bardzo brzydtko o Róży, a następnie chwycił za smartfon i wystukał sto dwanaście...

\*\*\*

W czasie kiedy Pepe przeżywał chwile grozy w świętym przybytku, Mario z zachwytem rozglądał się po salonie Walerii Staszic. Może i wdowa po dyrektorze Muzeum Rzeczypospolitej była w wieku jego babci, ale za to Stwórca z pewnością obdarzył ją znacznie lepszym od tej ostatniej gustem.

Kosek doznawał skrętu kiszek za każdym razem, kiedy przekraczał progi babcinego mieszkania i przez cały czas wizyty starał się ignorować fakt, że przy obiedzie towarzyszą mu zerkający na niego ze ścian: świętej pamięci papież, aktualny szef radia Święta Jadwiga, też wciąż żyjący prezes jednej z partii politycznych, a na dokładkę do tego całego towarzystwa od lat smażący się już w piekle dziadek, który na powiększonej do nadnaturalnych rozmiarów ślubnej fotografii prezentował się niczym połączenie jaskiniowca z pawianem gwinejskim.

Poza tym babunia Maria zatrzymała się, jeśli idzie o aranżację wnętrza, gdzieś tak w okolicy późnego PRL-u, co sprawiło, że w każdym z jej trzech pokoiów straszły meblościanki w kolorze orzecha włoskiego, tapczany z gatunku tych, na których człowiek najpierw przez pół nocy nijak nie potrafi się umościć, a kiedy już mu się to uda, to potem przez tydzień próbuje dojść do ładu ze swoim układem kostnym, oraz pseudotureckie dywaniki i słomiane maty, zaślaniające mocno brudnawe ściany. Mario zaproponował nawet kiedyś swojej antenatce, że opłaci jej ekipę remontową, ale po ogłoszonej w odpowiedzi gniewnym tonem tyradzie zrozumiał, że jego babcia mieszka w owym koszmarze minionej epoki,

nie dlatego że jest do tego zmuszana przez jakąś mafię albo kosmitów, ale dlatego że najwyraźniej uważa to paskudztwo za szczyt szyku, nowoczesności i wygody.

Salon profesorowej Staszicowej prezentował się zgoła odmiennie. Współczesny komplet meblowy w stylu boho, dyskretne ozdoby rodem z Azji i Afryki, przeszklona biblioteczka wypełniona książkami, w większości historycznymi, oraz subtelne światło sprawiały, że Mario poczuł się jak w swoim własnym, dość podobnie urządzonej domu. Ba! Nawet choinka, stojąca w rogu wielkiego, na oko pięćdziesięciometrowego salonu, prezentowała dyskretną elegancję, przyozdobiona bowiem została tylko jednym łańcuchem białych światełek, kilkunastoma srebrzystymi bombkami, gwiazdą i włosiem anielskim. Wszystko było tu na miejscu i pasowało do siebie. W takim entourage'u Mario mógł ostatecznie nawet prowadzić śledztwo.

– Szefowanie agencji PR, zajmującej się organizowaniem imprez dla gwiazd, musi być pasjonującym i bardzo przyjemnym zajęciem – zagadnęła go gospodyni, stawiając na stoliku przed Koskiem srebrny, orientalny czajniczek z herbatą oraz stanowiące z nim komplet filiżanki. – Byłam z mężem na kilku takich przyjęciach i bardzo miłe je wspominam. Poznałam tam wspaniałych artystów. Z niektórymi wciąż utrzymuję stały kontakt...

Zważywszy na fakt, że na ostatnim party, które zorganizowała jego agencja, najpierw Klaudia Hutniak chlusnęła drinkiem w dyrygenta Chrzęstniaka, który wcześniej w wywiadzie powiedział, że pracę z nią da się porównać tylko do walki z talibami, następnie piosenkarka Wiga pobiła się w toalecie z dziennikarką Mają Piasek i w trakcie szamotaniny zdarła jej z głowy perukę, którą następnie usiłowała bezskutecznie utopić w sedesie, w wyniku czego ten się zapchał i zaczął przeciekać, a na koniec mająca nieco w czubie gwiazda wieczoru Marta Raj potknęła się na schodku, przekoziółkowała nad towarzyszącym jej zespołem i wylądowała w samym środku stojącego nieopodal ogromnego tortu śmietanowego, strącając z niego kilka świeczek, od których zapaliły się najpierw obrusy, a potem dywany, Mario nie wiedział, co ma teraz powiedzieć.

– Niewątpliwie to bardzo angażujące zajęcie – przyznał niepewnie, mając przed oczami widok dwóch wozów strażackich, jednej ekipy walczącej z pożarem, drugiej z powodzią, noszącej ze sprawiającą wrażenie bałwanka śnieżnego Martą Raj, wyglądającą jak oskałpowana Mai, zmokłego Chrzęstniaka oraz mówiącej dziennikarzom, że „nawet w takim miejscu człowiek narażony jest na rażącą niekompetencję i brak profesjonalizmu oraz dostępu do wewnętrznego ja” Klaudii. – A nasze gwiazdy to faktycznie fascynujące osobowości...

– Rozumiem jednak, że nie przyszedł pan, żeby rozmawiać o ludziach kultury.  
– Waleria uśmiechnęła się wyrozumiale. – Pani Róża uprzedziła mnie, że chce pan zadać kilka pytań o mojego męża i... Kamila.

Słyszając, że przy wymawianiu imienia zmarłego chłopaka głos jej zdrzął, Mario nieco się przestraszył. Na liście jego fobii kobiecey płacz znajdował się na szczytnym pierwszym miejscu, co zresztą skrętnie co i rusz wykorzystywała jego asystentka, Iwka. Kosek nie miał serca jej wyrzucić nawet po tym, jak tuż przed pokazem mody wysłała przez przypadek całą nową kolekcję projektanta Olympusa do krochmalenia, zamieniając jego zwiewne kreacje w coś à la średniowieczne rycerskie zbroje. Już po trzecim jej szloch Mario zdał sobie sprawę, że nie wcieli w życie swojego prostego planu, zakładającego, że najpierw Iwkę zabije, a następnie wręczy jej rozwiązanie umowy o pracę bez wypowiedzenia. Przy szloch numer cztery sam podał jej chusteczkę i pocieszył, że właściwie nie ma się czym przejmować, bo Olympus wpadł na pomysł, żeby na te wykrochmalone ciuchy naszyć orła i zaprezentować całość jako hołd dla bitwy pod Grunwaldem.

Teraz też nie wiedział, czy już ma uciekać, czy tylko szukać wielkiego pudła chusteczek i wachlarza ratującego przed omdleniem.

– Proszę mi wybaczyć – rzekła Waleria, ku jego niebotycznej uldze szybko się opanowując. – Historia z Kamilem to tak świeża sprawa, że jeszcze nie zdążyłam się z nią pogodzić. Zresztą, trudno zrozumieć, co mógł komuś zrobić ten biedny chłopiec. To była sama dobroć.

– Dobroć często idzie w parze z naiwnością – zauważył Kosek, starając się, aby nie zabrzmiało to impertynencko.

– To prawda – przytaknęła Staszic. – Kamil był zbyt ufny i łatwowierny. Ale i po prostu dobry! Tak z natury. A ona jest najsilniejsza. Niech pan sam oceni. On wychował się w niepełnym domu. Jego mama nigdy nie miała czasu, żeby się nim zająć, pokazać mu, co jest dobre, a co złe. Mimo to wyrósł na grzecznego, porządnego, kulturalnego człowieka. A mój syn... Od małego robiliśmy z Adasiem wszystko, żeby wpoić mu zasady savoir vivre'u, a mimo to o mały włos skończyłby jako pospolity przestępca. Zawsze ciągnęło go w stronę zła. Obserwowaliśmy to z przerażeniem. I niestety nie potrafiliśmy nic z tym zrobić. Żadna metoda wychowawcza na niego nie działała. Zresztą, co tam my! Psychologowie też byli bezradni!

– Współczuję – rzekł Mario, zastanawiając się, kogo właściwie dotyczy wypowiedziane przez niego słowo. Z własnego bowiem doświadczenia wiedział, jak ciężko jest sprostać zbyt wygórowanym oczekiwaniom ze strony własnych rodzi-

cieli i jak mocno kusi w takim przypadku, aby zrobić im na przekór, nawet gdyby się miało – zgodnie ze starym porzekadłem – odmrozić sobie przy tym uszy. On sam przez lata wojował z mamą, a już zwłaszcza z tatą, którzy zaplanowali dla niego przyszłość w tak szacownych zawodach jak lekarz, najlepiej stomatolog, prawnik, architekt, a już w najgorszym przypadku grafik komputerowy. Kiedy zaś Mario oświadczył im pewnego dnia, że chce być stylistą i wizażystą, zareagowali tak, jakby co najmniej zapowiedział, że wstępuje do mafii i zamierza rabować banki, tudzież wymuszać haracze. Tylko interwencji drugiej ze swoich babć zawdzięczał, że w końcu dali mu święty spokój. Ta bowiem krzyknęła do zagniewanych rodziców Mario: „No i doskonale! Co się tak nadęliście jak indyry?! Może ktoś wreszcie sprawi, że jedno z was nie będzie wyglądało jak Wodnik Szuwarek, a drugie jak Marzanna po wyłowieniu z Wisły. Cieszcie się i odpierdolicie od niego raz a dobrze!”. Kosek był jej za to niebotycznie wdzięczny i to właśnie ją pierwszą przerobił na bóstwo, kiedy tylko poznał tajniki makijażu i stylizacji. Inna sprawa, że tym samym dorobił się kolejnego dziadka w postaci pana, którego babcia wyrwała na dancingu w czasie pobytu w sanatorium. Ale to już zupełnie inna historia.

– Tak jak mówię, czasem nic się na to nie poradzi – westchnęła Waleria. – Natura to natura. Trochę przykro było nam patrzeć, jak Marek schodzi na złą drogę, a Kamil rośnie na cudownego mężczyznę. Z drugiej strony, czuliśmy satysfakcję, że mogliśmy się choć minimalnie do tego ostatniego faktu przyczynić.

– Jaki on był? – zapytał Mario.

– Kamil? – upewniła się Staszic.

Kosek kiwnął głową.

– Lubił bujać w obłokach – odpowiedziała powoli Waleria. – Miał dwie pasje. Literaturę kryminalno-sensacyjną i zabytki. Znał wszystkie książki Agathy Christie. Kochał Dana Browna. Miał nawet jego zdjęcie na biurku. Napisał kiedyś do jego menadżera i przysłał mu fotografię z autografem. Lubił bajać. Wyobraźnia często zwodziła go na manowce. Zdarzało się, że opowiadał jakieś niestworzone rzeczy. A to, że pod Morderczym są tunele, które łączą ze sobą różne punkty w mieście, a to, że pod pomnikiem założycielki miasta jest tajna grota, w której pierwsi mieszkańcy złożyli swoje najcenniejsze skarby, a to, że widział w naszej miejscinie jakichś znanych ludzi. Ot, takie tam opowieści dziwnej treści. Chyba nie mógł przeboleć, że tu się nic kompletnie nie dzieje. No i uwielbiał powieści pani Róży. Uważał, że jest najlepszą polską kryminalistką...

– Nie on jeden – mruknął Mario.

– Źle się wyraziłam. – Waleria popukała się w skroń. – Kryminalistka to osoba, która popełnia przestępstwa. A jak nazwać autorkę powieści kryminalnych?

– Akurat w tym przypadku można dokładnie tak samo. – Mario puścił do niej oczko. – Gdyby zapytała pani stołeczną policję, to powiedzieliby pani, że Róża już dawno powinna siedzieć w więzieniu za mieszanie się w sprawy, od których miała się trzymać z daleka. Moja wizyta u pani jest tego najlepszy dowodem. O ile wiem, jestem tu przed funkcjonariuszami. Co zapewne nie bardzo ich ucieszy...

– To ich wina. – Waleria wzruszyła ramionami. – Działają zawsze tak opieszale, albo wręcz wcale. Podobnie było po śmierci mojego męża...

– Jak to? – zaciekawiał się Mario. – Przecież pani mąż, o ile mi wiadomo, nie zmarł w podejrzanych okolicznościach.

– Teoretycznie tak – przyznała Waleria. – Mnie jednak wydawało się to co najmniej dziwne, że Jerzy dostał zawału. Jak każdy sześćdziesięciolatek, cierpiał na wiele dolegliwości. Wątroba dawała mu się we znaki, kręgosłup go łupał, słuch zaczynał się psuć, ale serce miał wciąż jak dzwon. Oni jednak od razu stwierdzili śmierć z przyczyn naturalnych i nawet sekcji nie wykonano.

– A gdzie zmarł pani mąż? Tutaj?

– Nie. W Warszawie. I to w pracy. Był dyrektorem Muzeum Rzeczypospolitej. Zresztą pierwszym w historii tej placówki. Kiedy minister kultury zadzwonił do niego z propozycją objęcia tego stanowiska, byliśmy ogromnie zaskoczeni. Adaś powiedział nawet, kiedy skończył z nim rozmawiać, że nie spodziewał się, że ktoś w stolicy zna takiego szaraczka jak on. Oczywiście to była fałszywa skromność. Dzięki mojemu mężowi do Polski wróciło sporo zabytków zrabowanych nam w czasie zaborów i obu wojen światowych. Wiele razy udawało się też Adasiowi zapobiec kradzieży tego, co się u nas ostało.

– Słyszałem... – zaryzykował Mario – ...że macie tu kogoś, kto się tym zajmuje.

– Kradzieżą dzieł sztuki? – Waleria pokręciła głową. – Nie. Jeśli ma pan na myśli Krystyna Majka, to on trzyma się z daleka od tak zwanej brudnej roboty. Zostawia to innym. On jedynie pośredniczy między potencjalnymi złodziejami a osobami, które chciałyby wejść, niekoniecznie legalnie, w posiadanie cennych, zabytkowych przedmiotów.

– Pani mąż, jak rozumiem, usiłował mu w tym przeszkadzać?

– Niezupełnie... – Na twarzy Staszic pojawił się dwuznaczny uśmiezek. – Bardzo starali się, aby wszyscy myśleli, że są skonfliktowani, ale tak naprawdę współpracowali ze sobą.

– Naprawdę? – zdziwił się Mario.

– Owszem. Mój mąż patrzył przez palce, kiedy Krystyn upłynął za granicę jakiegoś barachło. A ten z kolei pomógł Adamowi odzyskiwać z zagranicy to, co nam zabrano. Czasami też nie do końca zgodnie z rygrystycznie czytana literą prawa. Wiele z tych przedmiotów znajduje się dzisiaj w skarbcach Muzeum Rzeczypospolitej. Odzyskanie niektórych nie jest jeszcze nawet ogłoszone publicznie.

– Aaaaaa... – Dla Mario przynajmniej jedno stało się jasne. – To dlatego nie zabranialiście Kamilowi kontraktów z Krystynem!

Waleria pokiwała głową.

– Kamilek był ciekawy wszystkiego, a Adam nie miał ani czasu, ani cierpliwości, żeby mu zawsze różne rzeczy tłumaczyć. Za to Krystyn siedział prawie całe dni w domu. To taki odludek. A szkoda, bo ma niewiarygodną wiedzę i chyba w małym palcu nazwy i opisy wszystkich cennych przedmiotów, które kiedykolwiek nielegalnie opuściły nasz kraj. Kamil wręcz chłonał jego opowieści i nigdy nie miał ich dosyć.

– Podejrzewa pani, że jego śmierć może być związana z jakimś nielegalnie wywiezionym zabytkiem?

– Mój drogi młodzieńcze – Waleria popatrzyła mu uważnie w oczy – ja tego nie podejrzewam, ja jestem tego absolutnie pewna!

\*\*\*

W odróżnieniu od świętej pamięci Raczyńskiego, goszcząca u Krystyna Miłka nie chłoneła z zachwytem pełnej detali historycznych opowieści gospodarza, wręcz przeciwnie już mniej więcej po trzecim zaprezentowanym jej obiekcie miała ochotę uciec z jego mieszkania z krzykiem.

– Widzi pani – Majek podstawił jej pod nos laptop z kolejnym powiększonym zdjęciem – to jest naczynie do chłodzenia wina. Kupione przez polską hrabinę w Hanau na początku dziewiętnastego wieku. Srebrne, z parą uchwytów w formie pełnoplastycznych żeńskich trytonów, podtrzymujących delfiny. Na brzuścu może pani podziwiać dekorację repusowaną. W dolnej części dostrzeże pani Neptuna z trójzębem, powożące parą koni, a w górnej herb z trzema liliami. Wysokość tego naczynia wynosiła prawie 30 centymetrów. W tej chwili byłoby warte mniej więcej ze sto tysięcy złotych. Może nawet więcej. A tutaj – przesunął szybko myszką, zmieniając zdjęcie – mamy wykonaną w wiedeńskiej pracowni wazę do zupy, z podobnego okresu co poprzednie dzieło i też ze srebra. I samo naczynie, i przykrywka do niego są bogato kanelowane z repusowanymi neorokokowymi ornamentami wici roślinnej i różyczek. Na spodzie w owalu łabędź. Wartość tej wazy jest jeszcze większa, bo wewnątrz obie jej części zostały dodat-

kowo pozłożone. Naczynie ważyło prawie pięć kilogramów i mogło zmieścić mniej więcej półtora litra zupy.

Oszołomiona Miłka, usiłująca sobie w panice przypomnieć, czy kiedykolwiek poznała znaczenie słów „kanelowane” i „repusowane”, potrafiła na oczekaniu ocenić tylko pojemność wazy.

– To niedużo – zauważyła, uświadamiając sobie, że ostatnio sama zjadła prawie półtora litra czerwonego barszczu. Następnego ranka dostała, co prawda, ataku paniki, kiedy odkryła, że sika na czerwono i zanim połączyła ów fakt z wcześniejszą konsumpcją, ale o tym wolą jak najprędzej zapomnieć.

– Nie zawsze wielkość idzie w parze z wartością – pouczył ją z pełną powagą Krystyn, po czym przez chwilę przerzucił pliki w katalogu o nazwie „Galeria XXVIII”. – O, proszę spojrzeć. To maciupstwo to pierścionek z lat trzydziestych dziewiętnastego wieku. Złoto najwyższej próby, trzy diamenty w szlifie uproszczonym, do tego dwa szafiry. Jego waga to zaledwie półtora grama. Należał do kochanki jednego z Radziwiłłów i był prezentem od niego. Obecna wartość tego cudeńka to mniej więcej ćwierć miliona złotych.

– Aż tyle?! – zdumiała się szczerze Miłka, która w życiu czegoś takiego by sobie na palec nie dała włożyć i to nawet prawdziwemu księciu, po czym desperacko pragnąc odciągnąć Krystyna od komputera, gdzie jak z przerażeniem dostrzegła, znajdowało się jeszcze mniej więcej tryliard katalogów z nazwą „Galeria” i obawiając się, że gospodarz zechce pokazać jej zawartość wszystkich z nich, co potrwa zapewne do końca świata albo i dłużej, potoczyła dłonią, wskazując na jego wypełnione toną eksponatów regały. – A jakie tajemnice kryją się tutaj?

– O, moja kochana – z radością zobaczyła, że Majek zamyka komputer – tutaj mamy crème de la crème. O, choćby na tej półce... – Nagle wyraźnie się zawahał.

Miłka podeszła do wskazanego przez niego miejsca, przez chwilę przypatrywała się znajdującym się tam przedmiotom i, kiedy dotarło do niej, na co patrzy, poczuła, że nie wierzy własnym oczom. Zbyt wiele razy przy okazji przygotowań do swojej ostatniej książki wpatrywała się w podobne, charakterystyczne monety, aby teraz ich nie rozpoznać.

– Czy to jest...? – zaczęła z takim zdumieniem, że Krystyn aż wydał z siebie cichy chichot.

– Owszem – potwierdził.

– Monety ze „skarbu Lava”?! – Miłka nie miała odwagi nawet ich dotknąć, tym bardziej że gdyby zostawiła na nich odciski swoich palców, mogłaby trafić przed sąd. I to niekoniecznie rodzimym. – Jakim cudem? Jak...?!



Poszukiwany przez Interpol „skarb Lava” był kolekcją monet pochodzących z trzeciego wieku naszej ery. Znalezione przez nurków w zatoce Lava u wybrzeży Korsyki pod koniec dwudziestego wieku charakterystyczne monety rozpieczętowały się po całej Europie. Ponieważ jednak formalnie stanowiły własność państwa francuskiego, zostały wpisane na listę Interpolu. Przez kilka lat udało się odzyskać jedynie drobną część tej kolekcji. Zażartość, z jaką go tropią, sprawiła, że „skarb Lava” zaczął szybko zyskiwać na wartości. Miłka wolała nawet nie myśleć, ile warte jest to, co miała właśnie przed nosem.

– Niektórzy nie wiedzą, co mają w posiadaniu – Krystyn nie krył zadowolenia. – I są w stanie wymienić to za coś o wiele mniej cennego...

– Nie boi się pan, że po wyjściu od pana wyciągnę telefon i zadzwonię na policję – zaciekała się pisarka, po czym nieco przestraszona nagłą wizją, która zamigotała jej przed oczami, szybko dodała: – Chyba nie zamierza mi pan nic zrobić?

– Czy ja wyglądam na przestępcę? – Krystyn rozłożył ramiona w wyrazie czystej niewinności. – To znaczy takiego pospolitego? – dodał, puszczając do niego oczko.

– Niby nie – niepokój Wężowskiej wcale nie zmaliał – ale jednak robi pan rzeczy dalekie od legalnych.

– Owszem, ale zawsze ku chwale naszej wspaniałej ojczyzny. – Majek się zaśmiała. – Może być pani spokojna, że i ten skarb też zamierzam wymienić na liczne eksponaty, które jeszcze za wiele, wiele lat pani dzieci i wnuki będą podziwiać w polskich muzeach, a które nie powinny ich być nigdy opuszczać. Tak jak choćby kolejne dzieła Lucasów Cranachów, starszego i młodszego. Jestem już na finiszu rozmów o ich odzyskanie. Jedyne, co mi jeszcze pozostaje, to ustalenie sposobu ich przemytu zwrotnego do Polski. Choć teraz dzięki Schengen szmugiel dzieł sztuki, przynajmniej w ramach Unii stał się dużo łatwiejszy, a nasi celnicy jakby w ogóle zapomnieli, po co zostali powołani. Powieka mi nie drgnie, jak kiedyś usłyszę, że któryś z nich nie zauważy wywozu „Panoramy Raclawickiej”, nawet do Chin. Myślę, że z Cranachami też nie będzie najmniejszego problemu. W drugą stronę również może być pani spokojna. „Skarb Lava”, a właściwie ta jego część, której się pani przygląda, wróci niedługo do swojej ojczyzny. A że trafi do prywatnego kolekcjonera, a nie do prezydenta Macrona, to już zupełnie inna sprawa.

– W razie czego, to nic o tym nie wiem – zarzekła się szybko Miłka. – Uznajmy, że jestem ślepa, głucha i niedorozwinięta.

– Wedle życzenia – zgodził się Majek, po czym popatrzył na pisarkę porozumiewawczo. – Przepraszam, jeśli trochę panią znudziłem prezentowaniem tego, czego wciąż poszukuję. Ciągle zapominam, że nie każdy może dzielić moją pasję...

– Tak jak Kamil Raczyński – rzekła powoli Miłka, patrząc uważnie na twarz swojego rozmówcy. Nie wyczytała w niej jednak niczego poza nagłym smutkiem.

– No tak... – westchnął Krystyn. – Kiedy Leokadia zadzwoniła i poprosiła, żebym się z panią spotkał, wiedziałem, że nie chodzi tylko o research do książki. Zwłaszcza że przyjechała pani z Różą Krull.

– Czy już wszyscy tu o niej wiedzą? – zirytowała się Miłka.

– Po pierwsze, to mała miejscina i każda co bardziej sensacyjna wiadomość obiega ją zawsze z prędkością światła – poinformował ją Krystyn, szczerząc się złośliwie – a po drugie, niczego nikomu nie wypominając, na początku zrobiliście sobie wycieczkę krajoznawczą i przedefiladowaliście pod oknami wszystkich największych tutejszych plotkarek. Mogę panią zapewnić, że ich telefony z miejsca rozgrzały się do czerwoności. Tak to u nas działa...

– Skoro więc i tak pan wiedział, po co przyszedłem – Wężowska popatrzyła na niego z wyrzutem – to czemu nie zdradził mi pan tego od razu?

– Bo wolałem panią trochę pomęczyć – przyznał szczerze Krystyn. – A poza tym mam nadzieję, że może zainspirowałem panią do napisania kolejnej książki, w której poruszy pani sprawę przemytu dzieł sztuki. Im więcej się o tym mówi i pisze, tym bardziej zapisuje się to w ludzkiej pamięci. Może nawet z czasem dotrze to do tych pilnujących naszej granicy...

– Nie podzielam pana opinii o łatwości przekraczania naszej granicy – westchnęła Miłka, przypominając sobie, jak to na Okęciu najpierw zmuszono ją do wypicia pół litra wody mineralnej, a następnie do rozlania jednego olejku do opalania do trzech małych pojemniczków, żeby ilość zgadzała się z przepisami. Co prawda, ani woda mineralna, ani olejek do opalania nie były dziełami sztuki, ale i tak zachowanie kontrolerów na bramkach świadczyło pozytywnie, przynajmniej o ich formalizmie, i odróżniało ich na przykład od kolegów z Francji. Wracając kiedyś z wakacji na Lazurowym Wybrzeżu i odprawiając się na lotnisku w Lyonie, Miłka miała wrażenie, że trzech śniadych mężczyzn stojących w kolejce przed nią przeszmuglowało przez kontrolę całe działo przeciwpancerne, a zakutana po czubek głowy w jakieś powłóczyście szaty babina za nią wniosła pod swoim strojem małego cielaczka. Przejście tam z obrazem Kossaka pod pachą byłoby dziecinną igraszka. – Ale w sumie to nieważne. Wróćmy do Kamila...

– Może pani powiedzieć swojej przyjaciółce, bo rozumiem, że to jej będzie pani raportować wyniki wizyty u mnie – w głosie Krystyna nadal słychać było złośliwość – że niewiele mogą powiedzieć o Kamilu. Wpadał do mnie, żeby popodziwiać eksponaty, tym bardziej że często się zmieniały. Pasjonowała go historia, zwłaszcza tutejszych terenów. Chciał zawsze wszystko dokładnie wiedzieć, ale jak to u młodych, często słuchał jednym uchem i natychmiast wypuszczał drugim. No i lubił mieszać rzeczywistość z fantazją...

– Czyli kłamać? – Miłka nie lubiła ubierania trudnej prawdy w dyplomatyczne określenia.

– Nie do końca – zaproponował Majek. – Wydaje mi się, że miał po prostu zbyt wybujałą wyobraźnię. Jakby to pani wytłumaczyć... Jeśli oboje zobaczymy, jak w sklepie ktoś przygląda się pomidorom, a potem sięga jednak po ogórki, to w ogóle nie zwrócimy na to uwagi. A Kamil dorobiłby już do tego teorię, że ten ktoś musiał dostrzec, że te pomidory są jakieś trefne, nieświeże lub spleśniałe, i dlatego wybrał ogórki. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że miał wybujałą fantazję. Wiele ze swoich wniosków, często wysnuwanych na bazie bardzo wątpliwych podstaw, przedstawiał jako niezbite fakty. Z czasem szło się do tego przyzwyczaić i po prostu dzieliło się to, co się od niego usłyszało, na dwa albo nawet na cztery.

– Kamil podobno miał na oku miejscowy kościół i twierdził, że dzieje się w nim coś dziwnego...

Tym razem nie uszło uwadze Miłki, że Krystyn się zawahał. Przez ułamek sekundy, ale jednak.

– Ten nasz stary? Zamknięty? – upewnił się, zdaniem Wężowskiej tylko po to, aby zyskać na czasie. – A cóż niby ciekawego mógł tam zauważyć?

– To pytanie do pana...

– Doprawdy, nie ma tam nic interesującego – westchnął Krystyn.

– „Śmierć zabierze płomień” – rzekła powoli Miłka, nie spuszczając z niego wzroku.

I tym razem Krystyn na krótką chwilę się zmieszał.

– Ten obraz...? – ponownie oczywistym pytaniem zagrał na czas. – Przecież to tylko kopia dzieła, które znajduje się w skarbcu Muzeum Rzeczypospolitej. O ile mi wiadomo, tutejsza replika nie przedstawia sobą żadnej wartości. Ani historycznej, ani tym bardziej materialnej.

– Nie upieram się, że koniecznie chodzi akurat o ten obraz. Może o coś innego. Widać jednak, że było coś, co zafrapowało tego chłopca, skoro wybrał się

do Warszawy, żeby powiedzieć o tym Róży – Miłka nie dawała za wygraną. – Pytanie, co?

– Nie mam bladego pojęcia. – Krystyn rozłożył ręce. – Z mojego punktu widzenia ten kościół nie przedstawia sobą żadnej wartości. Po prostu jest stary, co może i czyni go zabytkiem, ale na pewno niezbyt wysokiej klasy. Nawet kielichy mszalne są tam wykonane z mosiądzu. Ot, po prostu zwykły wiejski kościółek, jakich wiele po naszych wioskach i małych miasteczkach.

– A jednak Kamil czuł, że coś jest z nim nie w porządku – westchnęła Miłka.

– Powtórzę to raz jeszcze: wybujala fantazja – rzekł Krystyn, po czym popatrzył na pisarkę badawczo. – Przypadkiem nie ma pani ochoty czegoś przekąsić? Wczoraj przywiozłem z Torunia pierniczki i znakomity sernik. Może da się pani skusić?

I tym samym sprawił, że wszelkie tajemnice, skarby i kościoły z miejsca wyparowały Miłce z głowy. Na szczęście nie na długo...

\*\*\*

Choć pierwsze spotkanie z Jolą Czubaj nie należało do specjalnie miłych, to usiadłszy z nią za stołem przy dwóch filiżankach znakomitej latte, Róża nagle poczuła się adorowana i dopieszczona przez gospodynię „Morderczej stacji” co najmniej tak, jakby ta była jej największą idolką. Zniknęła gdzieś nawet preferowana przez Jolę wcześniej forma zwracania się do niej w trzeciej osobie. Oczywiście pisarka nie mogła wiedzieć, że zawdzięcza ową bałwochwalczą admirację temu, że Czubaj zdążyła zajrzeć do Internetu i nie tylko wyczytać tam, że Krull sprzedała milion książek i uznawana jest za jedną z najbogatszych rodzimych pisarek, ale też zobaczyć ją na zdjęciach w towarzystwie między innymi Klaudii Hutniak, kompletu prowadzących telewizyjne „śniadaniówki”, Maryli Rodowicz oraz, przez co o mało co nie zemdląca z wrażenia, samego Zenka. W dodatku jej ulubieniec klęczał przed Krull i wyglądał tak, jakby bił jej pokłony. Zachwyty Joli byłby rzecz jasna o wiele mniejszy, gdyby wiedziała, że fotografia z tym ostatnim została wykonana przez przypadek po tym, gdy odrobinę tryknięta Róża zaplątała się w obrus i, pragnąc zachować równowagę, wpadła na śpiewającego właśnie artystę, dała mu potężnego dubla w cztery litery, czym sprawiła, że znalazł się przed nią w półobrocie w pozycji klęczącej, przy okazji wypuszczając z rąk mikrofon, który i tak był mu na wacka, bo śpiewał z playbacku. Choć żadnemu z nich nie było wtedy do śmiechu, to nie wiedzieć czemu na zdjęciu oboje mieli bardzo zadowolone miny i wyglądali tak, jakby byli starymi, dobrymi przyja-

ciółmi. Zresztą taki właśnie komentarz do tego zdjęcia dorobili pismacy, nazywając wręcz Różę nową muzą idola disco-polo.

– To jakie ploteczki ma mi pani do sprzedania? – Róża doszła do wniosku, że z kim jak z kim, ale z Czubaj nie ma co bawić się w dyplomację. – Zdaje się, że taka mała miejscina jak Morderczo za dużo ich nie produkuje...

– Zdziwiłaby się pani! – prychnęła Jola. – Całe morze! Co tam morze! Ocean!

Krull, która lekko się przestraszyła, że za moment zostanie uraczona porcją tak mało istotnych informacji, jak na przykład, kto walczy z kim o kawałek między albo kogo podejrzewa się o romans z kim, w ciągu kilku najbliższych minut miała się poczuć mile zaskoczona.

– Zaczniemy od tego, że ostatnimi czasy Morderczo przeżywa taki mały, ale jednak widoczny, najazd obcych – rzekła Jola konfidencjonalnym tonem. – Wszystko zaczęło się niedługo przed śmiercią profesora Staszica, kiedy przyjechało tu wraz z nim kilku ludzi z ministerstwa kultury. Profesor już od roku pracował w stolicy. To wtedy zamknięto stary kościół. Ci ludzie byli tutaj przez kilka dni, nocowali u mnie, ale nie udało mi się z nich wyciągnąć, co u nas robią. W ogóle nie chcieli rozmawiać. O kościół to była straszna rozróżba, bo księdzu Janowi średnio się widziało, że ma odprawiać mszę w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna odbywała się sodomia i gomora.

– Jaka? – zdziwiła się Róża. – Przecież to spokojne miasteczko...

– Tak – zgodziła się Jola – i małe. Za to remizę ktoś tu wybudował taką, jakby miało w niej stacjonować kilka oddziałów straży pożarnej. Starczyłoby dla całego Torunia! No i w związku z tym to największe pomieszczenie, w którym teraz jest kościół, non stop wynajmowano jakimś podejrzanym typom. Pal licho, gdy odbywały się tam wesela, choć i na nich ludzie potrafią się zachowywać, jakby dopiero co zeszedli z drzewa. Gorzej, że często były tam dyskoteki, na które zjeżdżała młodzież z okolicznych wsi i miasteczek. Burdy, alkohol, narkotyki... Sama pani wie, jakie są dzisiejsze nastolatki!

Choć akurat wszyscy nieletni z jej otoczenia byli wzorami cnót wszelakich, znakomicie się uczyli i nie sprawiali większych problemów wychowawczych, Krull zgodnie pokiwała głową.

– No właśnie. – Jola rzuciła jej porozumiewawcze spojrzenie. – I kiedy rozeszła się wieść, że teraz mają się tam odbywać msze, to nawet mimo przyjazdu biskupa i wyświęcenia tego miejsca, część mieszkańców uznała, że to profanacja. Kilkoro po dziś dzień jeździ na niedzielne msze do Torunia. Szczególnie ksiądz Jan nie sprawiał wrażenia zbyt szczęśliwego z tej decyzji.

– Nie mógł temu zapobiec?

– Pytałam go o to, ale powiedział, że to wynik porozumienia między kurią a ministerstwem i że postawiono go przed faktem dokonanym. Dodał, że ta decyzja dla niego samego też nie jest do końca zrozumiała, ale wydaje mi się, że w tej ostatniej kwestii kręcił.

– To znaczy?

– Nie dam sobie, oczywiście, uciąć za to głowy, ale jestem prawie pewna, że ksiądz zna powody zamknięcia kościoła i postawienia przed nim budki dla ochroniarzy.

– A gdzie właściwie znajduje się ten kościół? – Róża uświadomiła sobie nagle, że choć przecież przyjechała specjalnie po to, aby obejrzeć ów zabytek, to w czasie spaceru po Morderczym nie napotkała na nic, co by go przypominało. – Bo kiedy wczoraj spacerowaliśmy po miasteczku, to na niego nie trafiliśmy, a przecież kościoły zawsze były budowane w centrum...

– Nasz jest wyjątkiem. – Czubaj się zaśmiała. – Stoi trochę na uboczu i trzeba do niego chwilę dojść. Podobno, kiedy zakładano Morderczo, miało to być miejsce odpoczynku dla znudzonych pań z Torunia. Takie letnisko. I to bynajmniej nie kościół, ale rzeka była ich przedmiotem zainteresowania i to wokół niej powstawały pierwsze domy. Tak już potem zostało. Jak pani wie, nawet rynek mamy bardzo ubogi. Niby jest, a jakby go nie było. Jest tylko ta pokraka na pomniku i nic więcej. Zastrany trawniczek, kilka drzewek i cztery rozwalające się ławeczki. Podobno w przyszłym roku mają to rewitalizować. Wszyscy się tego jednak boją. Jak zrobili rewitalizację w miasteczku obok, to zamiast trawnika i drzew jest tam teraz tona cholernego betonu i pośrodku fontanna, z taką wodą, która wytryskuje znienacka spomiędzy płyt chodnikowych i zawsze przez przypadek kogoś zmoczy. Zupełnie bez sensu. Na szczęście i tak nigdy nie działa. Ale o czym to ja mówiłam...?

– O kościele – przypomniała Róża, która o „cudownych” metamorfozach dokonywanych w polskich miastach miała dokładnie takie samo zdanie jak jej rozmówczyni.

– A, no tak... Więc do kościoła trzeba iść ulicą, która biegnie w dół od pomnika na rynku. Mniej więcej jakiś kilometr. Tam jest nowy gmach biblioteki, który nieco zasłania budynek świątyni.

– Widzieliśmy go – przypomniało się Róży. – Nawet zdążyłam ochrzcić mojego agenta, że nigdy nie załatwił mi tam spotkania autorskiego.

– W nowym budynku biblioteka działa dopiero od kilku tygodni, to pewnie dlatego – wyjaśniła Jola – a w starym strach było cokolwiek organizować. Kiedy przyjechała tam jedna, też jakaś tam znana autorka, to najpierw oderwał się ka-

wałek sufitu, wpadł jej do herbaty i zalał jej całą białą sukienkę. Potem zahaczyła obcasem o dziurę w podłodze i go złamała. A na koniec, gdy ruszyła samochodem z pobliskiego parkingu, to na wertepach tak nią nagle zatrzęsło, że złamała sobie górną piątkę. Podobno potem mówiła, że spotkania w naszej bibliotece powinny być zadawane na spowiedzi jako pokuta za napisanie złej książki.

– Bardzo nieuprzejme z jej strony – mruknęła Róża, która sama z siebie nigdy nie narzekała na warunki spotkań, nawet jeśli w niektórych miejscach były one dość spartańskie. – Mówi więc pani, że gdybyśmy doszli do nowej biblioteki...

– ...to zaraz za nią zobaczylibyście kościół, tak – potwierdziła Czubaj. – W sumie nie wiem, o co chodzi z tym miejscem. Niby je zamknęli i mieli remontować, ale tak naprawdę od postawienia budki dla ochrony nawet pies z kulawą nogą się tam nie pojawił. Zamknęli go na głucho i tylko dwóch grzybów znalazło zatrudnienie w roli ochroniarzy. Tak się do tej pracy nadają, że wcale się nie zdziwię, jeśli kiedyś ukradną ich samych razem z tą budką, w której siedzą. Zresztą, pilnują go tylko w nocy. W dzień działa jakiś niby monitoring, co nie ma żadnego sensu, bo w tym kościele nie ma nic do rąbnienia i wszyscy to wiedzą. Rzeczy, które mogłyby mieć jakąkolwiek wartość, książk Jan zabrał do remizy, znaczy się, do nowego kościoła, a tu zostały tylko jakieś bohomazy na ścianach. No i obraz w ołtarzu, ale on nie dość, że wielki i ciężki, to jeszcze jest kopia. Kto by to krał?

– Mimo to Kamil chciał zwrócić moją uwagę właśnie na to miejsce – przypomniała Róża.

– Kamil wiecznie szukał sensacji, nawet tam, gdzie jej nie było – westchnęła Jola. – Zaczęło się od podstawówki. Oskarżył panie kucharki, że podtruwiają dzieciaki na stołówce. Tylko dlatego, że na jednym z talerzy z zupą znalazł jakiś dziwnie wyglądający nalot. Jego zdaniem była to trucizna, a okazało się, że to resztki niedomytego jajka, gdyż akurat w tym talerzu w poprzedni piątek maczano w nim kostki mrożonej ryby przy panierowaniu i akurat od tego czasu naczynie to nie było jakoś używane. Afera wyszła z tego ogromna, bo się panie kucharki poobrażały i mama Kamila musiała latać do nich z wiechciami i bombonierami. Potem w liceum odpalili kolejną petardę, gdy doniósł żonie dyrektora, że jej mąż ma romans z panią od historii. Chciał to zrobić sprytnie, bo za pomocą anonimu z literami wyciętymi z tytułów w gazetach, ale zapomniał, że klei je na kartce z własnego zeszytu, w dodatku z odcisniętą lekko pierwszą stroną, na której zapisał swoje imię i nazwisko. Nie muszę chyba dodawać, że nie miał racji, a ta babka od historii w ogóle nie gustowała w mężczyznach. Jeśli wie pani, co chcę przez to powiedzieć... O mało co go wtedy nie wylali z budy! No i jego szczytowe osiągnięcie, czyli bębnienie na całe Morderczo, że wędrowny cyrk przyjechał do nas tylko po to, żeby ukraść komuś dziecko, co niby udało mu się podsłuchać

w istniejącej wówczas jeszcze spelunie Wąchowicza. Wszyscy wtedy pilnowali swoich bachorów jak w oka głowie, a Bruskowa zamknęła nawet swojego synka na stryżku na kilka dni i potem się moczył nocami. Takich historii można opowiadać o nim całe mnóstwo!

– No to faktycznie... – Róża poczuła się rozczarowana, w świetle słów gospodyni „Morderczej stancji” wiarygodność Raczyńskiego stawała się bowiem co najmniej wątpliwa.

– Choć... – Czubaj na chwilę się zadumała. – Jeśli tak wziąć nieco większą lupę i popatrzeć na te wszystkie sprawy bardziej szczegółowo, to trzeba przyznać, że w każdej z nich było ziarenko prawdy. Gdy przyjechał sanepid na kontrolę stołówki szkolnej, to się okazało, że kucharki używały kilku tak przeterminowanych artykułów, że tylko cudem nie wysłały wszystkich na tamten świat. Po kilku latach wyszło też na jaw, że dyrektor szkoły miał romans, tyle że nie z panią od historii, ale od geografii. Rozwiódł się nawet z żoną i teraz razem z tą geograficzką żyją na kocią łapę. No i cyrkowcy żadnego dziecka, co prawda, nie ukradli, ale już kilka kur i jednego świniaczka jak najbardziej. I jeszcze byli tak bezczelni, że tego ukradzionego świniaka upiekli sobie wieczorem na ruszcie na oczach całego miasteczka. A gdy właściciel przyleciał do nich z awanturą, to mu powiedział, że za późno już na sekcję zwłok i identyfikację DNA, więc żeby po prostu do nich dołączył. Dodali też z głupim rechem, że przecież zawsze to lepiej, że mieli chrapkę tylko na zwierzęta, a nie na dzieci.

– Tak, tak – potwierdziła skwapliwie Róża. – Dzieci z rusztu mogłyby smakować trochę gorzej...

Czubaj przez moment patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, po czym nagle wybuchnęła równie gromkim, co sztucznym śmiechem, a na koniec lekko uderzyła pisarkę w ramię.

– Z pani to jest jajcara! – wykrzyknęła, przechylając się w stronę Róży i nie przestając wydawać z siebie chichotów. – Niby gdy panią zobaczyłam, to pomyślałam: „Ot, mało było jednej, to przyjechała kolejna pańcia ze stolicy z kijem w dupie”, ale teraz widzę, że pani jest swoja baba!

– Dziękuję – Róża starała się wypowiedzieć to słowo tak, żeby nie zabrzmiało ironicznie, po czym nagle dotarła do niej treść wygłoszonego przez Czubaj komunikatu. – To ktoś tu był przede mną?

– Owszem, ta podrabiana Amerykanka, której ostatnio wszędzie pełno...

Krull nie miała wątpliwości, o kim mowa.

– A co ona tu robiła?! – zapytała ze zdumieniem. – I kiedy tu była?



– Kilka miesięcy temu. – Jola podumała przez chwilę. – Jakoś tak wiosną. Wtedy jeszcze nie wyskakiwała każdemu z łódówki tak jak teraz, ale i tak wszyscy ją tu zapamiętali, bo jednak w takim miasteczku jak nasze rzucała się w oczy z kilometra. Stara Błądziakowa przyszła do mnie od razu i powiedziała, że po Morderczym włóczy się ktoś, kto „wygląda, jak z karnawału w Ryjo”. Błądziakowa – jak ją wywłaszczyli pod autostradę, to wydała całą forszę na pielgrzymkę do Brazylii i od tej pory się tym chełpi, jakby było czym. Już nikt nie może słuchać tych jej zachwyków nad figurą Chrystusa. W Świebodzinie też taka stoi i to nawet większa, więc po co tak się chełpić z tego, że się widziało tę brazylijską.

– Naprawdę ta nasza jest większa? – zapytała mimowolnie Róża.

– Sama figura tak – poinformowała ją Czubaj. – Tylko ta brazylijska ma wyższy cokół. Wielkie mi tam mecyje. No, tak czy siak, Garnicky przyjechała tutaj i była przez, o ile dobrze pamiętam, trzy dni. Zatrzymała się u mojej... hmmm... konkurencji – to słowo wymówiła z wyraźnym przekąsem. – U Zalewskiej. W apartamencie z widokiem na pomnik na rynku. Mam nadzieję, że pogryzły ją tam w nocy pluskwy lub że dostała uczulenia na grzyb, na który Zalewska przykleiła tapety. Choć w sumie wcale nie musiała tego robić, bo był już tak dorodny, że sam wyglądał ja tapeta. Dziwię się, że ludzie, którzy tam nocują, następnego dnia nie łądują w szpitalu.

– Co Patti tu robiła? Przecież tu nie ma nic do... – Róża za późno ugryzła się w język, ale Jola bynajmniej nie wyglądała na rozgniewaną jej nietaktem.

– Oczywiście, że nie ma! – potwierdziła z wyraźnym niesmakiem. – Zwykła pidówka! Tyle razy prosiliśmy burmistrza, żeby pomyślał nad jakąś atrakcją, która mogłaby przyciągnąć do nas turystów. W końcu Toruń niedaleko i gdybyśmy tu mieli przykładowo jakiś park rozrywki, to na pewno ludzie by przyjeżdżali. I biznesy można byłoby od razu rozkręcić. Ale nasz burmistrz to zwykła dupa. Jedyne, co potrafi, to mówić, że „budżet jest za mały”. Jakim cudem ma być większy, jeśli w całości idzie co roku na malowanie ratusza?!

– Ratusza? – Róża nie przypomniała sobie ze spaceru żadnego budynku, który mógłby być ilustracją tego słowa.

– Takie barachło przy rynku – wyjaśniła z pogardą Czubaj. – Całe żółto-niebieskie.

Krull poszperała w pamięci.

– Myślałam, że to Castorama! – rzekła po chwili zdumiona. – To jest ratusz?!

– Yhm... – Jola na moment zasznurowała usta w grymasie potępienia. – Ratusz, urząd stanu cywilnego, inspektorat ZUS i filia paru innych instytucji. Burmistrza dwa lata temu poraził lekko prąd w czasie uroczystości odsłonięcia no-

wego masztu, bo zamiast wstęgi przez przypadek przeciął kabel zasilający urządzenie do wciągania flagi, i od tej pory ma problemy z kolorami. Jego gabinet wygląda tak, jakby ktoś go udekorował jajeczną zrobioną z jajek pochodzących od kur z chowu ekologicznego.

Róża poczuła, że zaczyna tracić kontrolę nad konwersacją. W szczególności nie umiała złapać związku między sposobem żywienia drobiu a barwą żółtka. Na szczęście, gdy przed oczyma zaczęła widzieć tęczę w różnych odcieniach żółtego i zastanawiać się mimowolnie, która mniejszość seksualna ma taką flagę, Jola sama uznała za stosowne wrócić do głównego wątku.

– Co więcej, ta cała Garnicky wyraźnie starała się ukryć, że interesuje ją nasz kościół – zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu. – Ciągle tam laziła przez te dni kilka razy. Próbowwała nawet wejść do środka. Proponowała podobno za to ochroniarzom łapówkę, ale na próżno. Zresztą ci, nawet gdyby chcieli wziąć w łapę, to i tak nie mogliby jej wpuścić do środka.

– Dlaczego?

– Bo nie mają klucza! Do kościoła są teoretycznie tylko dwa klucze. Jeden ma ksiądz Jan. Drugi kościelny, który na czas remontu zamieszkał u rodziny w Toruniu. Nawet ludzie z ministerstwa, gdy przyjeżdżali, zawsze musieli prosić księdza o wpuszczenie do świątyni. I prawie nikt nie wie, że istnieje jeszcze trzeci...

– A kto go ma?

Jola uśmiechnęła się triumfalnie.

– Ja, bo od lat dbałam o świeże kwiaty na ołtarzu, które przywoziłam zawsze prosto z giełdy i kościelnemu nigdy nie chciało się mnie tak wcześniej wpuszczać, więc mi za plecami księdza dorobił – wyjaśniła konfidencjonalnie, po czym pochyliła się w stronę pisarki i zapytała: – Ma pani ochotę na prywatne zwiedzanie?

## ROZDZIAŁ VII

### JAK NIE NOŻEM TO GRABIAMI

Komisarz Darski lubił przegadywać swoje sprawy z innymi. Kiedy mówił na głos, jakaś szczególna cecha jego umysłu sprawiała, że szybciej wylapywał błędy w swoim rozumowaniu lub porządkował to, co początkowo wydawało się niemożliwym do ogarnięcia chaosem. Często jako swoisty konfesonął służyła mu mama, ale ponieważ tym razem trop wiódł do Morderczego, ten wariant stanowczo odpadał. Z mamą i tak zamierzał porozmawiać, tyle że później i nieco bardziej służbowo. Jego narzeczona wyjechała na kilka dni i w sumie z osób, które zwykle wykorzystywał w celu omówienia sprawy, został mu tylko bliski współpracownik i zarazem przyjaciel, podkomisarz Jerzy Grzelak. Ten był przyzwyczajony do faktu, że Darskiemu trzeba dać się w takich momentach wygadać i wtrącać się w jego monologi tylko wtedy, kiedy jest to konieczne.

– Jest kilka spraw, których nie pojmuję. – Darski siedział przy swoim biurku i nerwowo przewracał leżące przed nim dokumenty. – Kamil Raczyński został dźgnięty nożem. Długim. Nie znaleźliśmy go na miejscu. Jakim cudem nikt nie zauważył zadania ciosu? Rozumiem, że wszyscy gapili się na Różę na estradzie, choć dalibóg nie wiem, co w niej jest takiego przykuwającego uwagę...

– Jest inteligentna, dowcipna, niebrzydka – zauważył nieśmiało Grzelak.

– Serio? – zdziwił się szczerze Darski. – Nie jesteś pierwszym, kto mi to mówi i za każdym razem, gdy to słyszę, zastanawiam się, czy mamy na myśli tę samą osobę. Uroda rzecz gustu, nie wnikiem, ale inteligencja? Dla mnie ona jest lekko-myślna, narwana i naiwna.

– Jednak przyznasz, że kilka razy okazała się skuteczna tam, gdzie my nie mieliśmy pomysłu, co zrobić...

– Bo my myślimy nad konsekwencjami naszych czynów, ona nie – westchnął Darski. – Poza tym my musimy działać w granicach prawa, a ona pozwala sobie swobodnie na dowolne kretynizmy i co najwyżej mogę próbować jej grozić za nie jedynie jakimiś tam karami, o których ona i tak dobrze wie, że to tylko strachy na Lachy. I że gdybym nawet wlepił jej jakiś mandat albo postawił przed sądem, a kilka razy na to solidnie zasłużyła, to zaraz zrobi z siebie w mediach cierpięt-

nicę wszech czasów, bez mała drugą Joannę d'Arc, i ona wyjdzie na uciemioną niewinność, a ja na raroga. Taka to z nią robota...

– No dobrze... – Grzelak na wszelki wypadek wołał nie rozwijać tematu Krull, bo doskonale wiedział, że rozpędzony Darski zaraz wpadnie w furję, jak zawsze przy takiej okazji. – Czego jeszcze nie rozumiesz w tej sprawie?

– Raczyński, zanim go zabito, chciał koniecznie powiedzieć coś Róży. Wspominał o kościele w Morderczym. Jedynym godnym tam większej uwagi eksponatem jest obraz „Śmierć zabierze płomień”. Tyle że akurat w Morderczym znajduje się jego kopia. Oryginał przechowywany jest w Muzeum Rzeczypospolitej. Skontaktowałem się z obecnym dyrektorem tej instytucji. Jak mu tam...? – Darski zerknął w papiery. – Grzegorz Nałęcki. Facet jest kosmitą. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, kim jest i co robi. Trzy razy pomylił ten obraz z innym, potem poinformował mnie, że czegoś takiego w ogóle w muzeum nie ma, ale ostatecznie po kilkunastu godzinach zadzwonił i przyznał, że owszem udało mu się go znaleźć, tyle że leżał nie w tym miejscu, w którym powinien, tylko tam, gdzie składa się najcenniejsze eksponaty i gdzie w związku z tym działa specjalny system ochrony. Dodał także, że przy „Śmierć zabierze płomień” znalazł notatkę służbową, że obraz został przeniesiony w to miejsce na specjalne polecenie poprzedniego dyrektora, Adama Staszica, który, zanim został dyrektorem, mieszkał... Zgadniesz gdzie?

– W Morderczym – Jerzy nie musiał zgadywać, bo wcześniej zerknął Darskiemu przez ramię.

– No właśnie. Poprosiłem Nałęckiego, żeby spróbował wy badać, dlaczego jego poprzednik podjął taką decyzję, i dowiedziałem się, że parę miesięcy wcześniej do muzeum były włamania i że ktoś, kto się tam dostał, próbował za każdym razem wykraść właśnie ten konkretny obraz. Nie wiadomo dlaczego, bo według rzeczoznawców nawet oryginał nie jest jakiś porażająco cenny. Oczywiście celem mogła być rama, bo akurat ona ze względu na to, że wysadzana jest rubinami, szmaragdami i licho wie czym jeszcze, ma swoją wymierną wartość. Tyle że, wyobraź sobie, ten Nałęcki tak się tym wszystkim przejął, że wezwał fachowca i właśnie godzinę temu zadzwonił znowu, tym razem z wiadomością, że te teoretycznie drogocenne kamienie to niewiele warte podróby. Wysokiej klasy, ale jednak podróby.

– Poczekaj... – poprosił Grzelak. – Tak sobie myślę... W kościele w Morderczym znajduje się kopia obrazu i, jak rozumiem, rami. A co jeśli...

– ...tam jest oryginał, a w muzeum kopia – dokończył komisarz. – Tego się dowiemy, bo za moment ruszamy do Morderczego. Czekam tylko na specjalistę,

którego wysłał do mnie Nałęcki. Ale to jeszcze nie wszystko! Otóż mniej więcej w tym samym okresie, kiedy Staszic kazał przenieść obraz do specjalnie chronionej strefy, Róża otrzymała dziwny list od Romualda Paciorka, kompozytora. W środku znajdował się tekst piosenki „Samba przez rozstaniem”, tylko z błędami. Jak się poprawi te błędy, to wychodził tytuł tego właśnie obrazu, „Śmierć zabierze płomień”. Dostałem ten list od Róży. Kazałem też wziąć próbkę pisma od wdowy po Paciorku...

– To on nie żyje?

– Tak, ale w jego śmierci nie ma akurat nic podejrzanego. Poza tym udało mi się też dostać próbkę pisma Raczyńskiego. Choć tekst w liście pisany był od linijki i wielkimi literami, to naszemu biegłemu wystarczył jeden rzut oka, żeby wydać werdykt. Otóż wyobraź sobie, że list do Róży pisany był przez Raczyńskiego. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nic nie rozumiem... – przyznał Grzelak.

– Ja też na razie niewiele – rzekł Darski, przerzucając kolejne dokumenty. – A jakby tego było mało...

W tym momencie zadzwonił stojący na jego biurku telefon.

– Tak? – Darski przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym na jego twarzy pojawił się taki wyraz, iż Grzelak przestraszył się nieco, że jego przełożonego za moment trafi apopleksja. – Możesz powtórzyć... Nie, tylko to ostatnie imię i nazwisko? Ja pierdołę... Tak, jasne. Informuj mnie na bieżąco – komisarz odłożył słuchawkę i przez chwilę ciężko oddychał, mamrocząc coś pod nosem.

– Co się stało? – zapytał zdębiały nieco Jerzy.

– ... cztery... trzy... dwa... jeden... – dobiegło go już nieco wyraźniej. – Nie! Ja ją jednak zabiję! A potem odtańczę poloneza na jej zwłokach! Z przytupem!

– Róża... – bezbłędnie zgadł podkomisarz. – Co znowu zrobiła?

Darski jeszcze przez moment dyszał.

– Właśnie dostałem wiadomość, że zamordowano księdza Jana – poinformował podwładnego, kiedy już odrobinę przyszedł do siebie. – To ksiądz z mojego rodzinnego miasteczka. Starszy, zacy facet. Zgadnij, kto odkrył zwłoki?

– Róża?

– Nie! – prychnął wściekle Darski. – Paweł Kwiatek! Jej agent!

– Może pojechał tam bez niej... – próbował go pocieszyć Grzelak, sam nie za bardzo wierząc w to, co mówi.

– Kpisz?! – Krzysztof popatrzył na niego z furią w oczach. – Jej waszmościanka zjechała do Morderczego z całą swoją świtą. Nie dość, że z Pawłem, to jeszcze

z Mario i Miłką.

Jerzy znał wszystkie wymienione osoby.

– Zabiję ich wszystkich! – oświadczył mściwie Darski. – Ile lat grozi mi za poczwórne morderstwo?

– Jak w afekcie, to wyjdiesz, zanim Ronaldo i Lewandowski przejdą na emeryturę – pocieszył go Grzelak. – W razie czego mogę zaświadczyć, że dostałeś ataku szału.

– Dzięki, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Darski wstał od biurka. – Jedziemy do Morderczego. Dojedziemy tam na noc, ale trudno. Niech ja się rozprawię z tą idiotką raz na zawsze...

– Moim zdaniem powinieneś rozprawić się najpierw z mordercą – mruknął Jerzy, ale napotkawszy gniewny wzrok swojego przełożonego, szybko dodał: – Dobra, dobra, rozumiem, że grunt to ustalić priorytety!

\* \* \*

Kiedy po wezwaniu policji Pepe usiłował obdzwonić wszystkich z wieścią, co właśnie go spotkało, Róża wraz z Jolą z wolna zbliżały się do kościoła. Gdy wyruszyły z „Morderczej stancji”, słońce właśnie zachodziło. Teraz powoli nad Morderczym zapadała ciemność. Miasteczko oświetlone było gorzej niż lichy i gdy wreszcie znalazły się pod kościelnym ogrodzeniem, świat przybrał dwie barwy: zachmurzone niebo przyprawiającej o dreszcze czerni, zaś reszta – kontrastującej z nią bieli śniegu pokrywającego grubą warstwą ziemię i wszystko, co z niej wystawało, z dachami budynków i gałęziami drzew na czele. Całość prezentowała się nad wyraz malowniczo, ale żadna z pań nie miała głowy do tego, aby podziwiać ów krajobraz.

– Możemy wejść od przodu albo od tyłu – poinformowała Różę szeptem Jola. – Tyle że jeśli wejdziemy bramą główną, to zaraz za nią natkniemy się na budkę ochrony i dalej nas nie puszczą. Tam na zmianę siedzą takie dwa dziadki, które boją się własnego cienia. Nie ma mowy, żeby którykolwiek z nich pozwolił nam wejść do kościoła.

– No to idźmy do drugiego wejścia!

– Tyle że będziemy musiały się przedzierać przez śnieg – ostrzegła Czubaj. – A sama pani widzi, ile napadało...

– Mam to w nosie. – Róża wzruszyła ramionami. – Jeśli mi się nasypie do butów, to potem na rozgrzewkę popiję grzańca i już. Poza tym przeziębienie to jeszcze nie koniec świata.

– Grzaniec jak grzaniec – zaśmiała się Jola, ruszając wzdłuż murku w prawą stronę – ale mam cudowne nalewki na spirytusie. Robi je moja ciotka. Cała jej rodzina leczy się na alkoholizm, więc nie ma komu tych nalewek upłynniać i przywozi je zawsze do mnie.

Róża ostatkiem sił powstrzymała się przed zadaniem pytania, czy Jola też chce dołączyć do zalkoholizowanej rodziny ciotki, a przy okazji też wciągnąć w uzależnienie ją samą. W zamian w milczeniu posłusznie ruszyła za swoją towarzyszką. Śniegu nawaliło w ciągu dnia tyle, że faktycznie już po kilkunastu krokach obie zaczęły się w niego zapadać. Mimo to dzielnie brnęły dalej. Mniej więcej minutę później nieco przemokłe od dołu dotarły do małej furtki w murze. Jola pchnęła ją i otworzyła na tyle, że obie zdołały się przez nią przecisnąć.

– Jeszcze trochę tego białego szajsu by spadło i miałybyśmy kłopoty – zauważyła z ulgą, kiedy już znalazły się po drugiej stronie muru. – Teraz ostrożnie, żeby nas ten dziad z budki nie wypatrzył.

– Musiałby mieć sokoli wzrok – mruknęła Róża. – Ciemno tu jak w wąpiach u karpia...

– Całe szczęście!

Ostrożnie przemierzyły teren dzielący tylną furtkę od wejścia do kościoła. Jola sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła sporych rozmiarów klucz. Przekręciła go w drzwiach, po czym uchyliła je i wykonała zapraszający gest w stronę Róży.

– Pani pierwsza – rzekła uprzejmie.

– A ja druga! – Głos, który zniemacka rozległ się za nimi, sprawił, że obie drgnęły nerwowo i tylko cudem nie wydały z siebie panicznego okrzyku.

Róża potrzebowała tylko ułamka sekundy, żeby zidentyfikować zakutaną w jakieś czarne płachty postać, stojącą tuż za nią.

– No tak – prychnęła gniewnie. – Mogłam się tego spodziewać!

– Oczywiście – potwierdziła radośnie Manuela. – Pierwsza zasada dziennikarstwa: pilnuj tego, kto może mieć najbardziej szalone pomysły i dostarczyć ci najwięcej sensacyjnego materiału. Idźcie zobaczyć „Śmierć zabierze płomień”, prawda? Liczycie, że coś odkryjecie w tym kościele?

– Jak pani śmie... – zaczęła gniewnie Czubaj, mierząc dziennikarkę złym wzrokiem, ale Róża machnęła tylko ręką.

– Mamy z Manuelą wspólną przeszłość – poinformowała Jolę. – Prowadziłyśmy już razem niejedno śledztwo. Na Podlasiu.

– Z całkiem niezłymi rezultatami – dopowiedziała Konopka, wyrzucając z pamięci wszystkie niebezpieczne momenty, które mogły się wtedy dla niej złe

skończyć. – Miejmy nadzieję, że i tu uda nam się dowiedzieć czegoś więcej i szybciej niż policji.

– Mimo wszystko uważam, że popisała się pani wyjątkową bezczelnością. – Gospodyni „Morderczej stancji” nie dawała się tak łatwo udobruchać. – Zamiast nas szpiegować, mogła pani po prostu podejść i powiedzieć, że chce pani dołączyć.

– Już widzę, jakbyście się na to zgodziły – prychnęła Manuela. – Wolne żarty! Teraz nie macie wyjścia. Jeśli nie wpuszczicie mnie do kościoła, to narobię rabanu i ściągnę tego stulatka z budki!

– Co to ma być?! – Jola aż się zachłysnęła z oburzenia. – Szantaż?!

– Tylko jeśli będzie skuteczny – odpowiedziała Manuela, rzucając jej ironiczne spojrzenie. – Jeśli zaś nie, to jedynie wypełnię mój obywatelski obowiązek. W końcu tu nie wolno wchodzić.

– Powiedział kto? – zapytała w nerwach dość niegramatycznie Jola.

– Napisy dokoła kościoła. Wiszą mniej więcej co sto metrów...

– Czyli pani też jest tu nielegalnie – zauważyła rozsądnie Czubaj.

– Oj, przestańcie! – poprosiła Róża. – Kotłujemy się tak bez sensu i w końcu faktycznie ten ochroniarz nas wypatrzy. No dobra, włącz...

– No i co było robić taki raban? – Manuela spojrzała wymownie na Jolę i jako pierwsza przekroczyła progi kościoła. Róża błyskawicznie poszła w jej ślady. Jako ostatnia do środka weszła Jola, zamykając za sobą drzwi.

Kościół w Morderczym jedynie na pierwszy rzut oka był skromną budowlą. Choć z zewnątrz jego bryła wydawała się nieco przysadzista, w środku miało się poczucie ogromnej przestrzeni. Opracowany na planie prostokąta z prosto zakończonym prezbiterium oraz kwadratową zakrystią i kruchtą, wybudowany został z cegły i kamieni, a w środku wykończony drewnem. Tynkowane okna zwieńczone zostały prostymi opaskami wokół ozdobionych witrażami okien. Ściany nie były na tyle wysokie, by potrzebować przypór. W ołtarzu bocznym, zaraz za drzwiami wejściowymi, na honorowym miejscu stał ogromny obraz papieża Polaka. Ściany pokryte były freskami z podobiznami świętych, których Cecylia nawet w panującym półmroku z pewnością rozpoznałaby już po samym wyrazie twarzy, a którzy dla Róży stanowili totalną enigmę. Kilka jaśniejszych miejsc wskazywało, że wiszące tam wcześniej obrazy gdzieś przeniesiono. Widać ołtarz papieski był zbyt duży, by go wynieść, albo po prostu nie przedstawiał realnej wartości, żeby ksiądz Jan się bał, że ktokolwiek będzie chciał go ukraść. Krull niespiesznym krokiem, chłonąc atmosferę, szła lewą stroną ku ołtarzowi. To właśnie tam miał wisieć cel ich wyprawy. Kopia dzieła nieznanego średniowiecz-



nego malarza wyglądała dokładnie tak samo jak wyświetlone na komórce zdjęcie oryginału Miłki, tyle że była o wiele większa, niż Róża przypuszczała. Obraz zawieszono w dodatku tak wysoko, że z dołu nie za bardzo dało się podziwiać jego detale. Pisarka z niezadowoleniem pokręciła głową, po czym rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegokolwiek, na co mogłaby wejść, żeby przyjrzeć się mu z bliska.

– Nie jesteście tu pierwsze. – Usłyszała za sobą głos Manueli.

– Co masz na myśli?

– Popatrz, ktoś najwyraźniej stawiał tu drabinę – Konopka wskazała na oświetlony księżycowym blaskiem kawałek podłogi, na którym widać było odcisnięte na kurzu i czymś białym cztery ślady.

– Ciekawe, skąd ją wytrzasnął – zastanowiła się Róża.

– A co? – Manuela popatrzyła na nią z ciekawością. – Też byś wlaźła?

Krull pokiwała głową.

– Przyjrzałabym się z bliska temu obrazowi...

– No to wespnij się po ambonie...

Choć początkowo Róża była pewna, że dziennikarka żartuje, to kiedy odwróciła się, zrozumiała, że w owym teoretycznie absurdalnym zdaniu kryje się genialny pomysł. Ambona umieszczona była bowiem na wysokim cokole i miała nad sobą dość solidnie wyglądający daszek, ozdobiony wystającymi z niego mурowanymi elementami roślinnymi, za które można by było się chwycić i podciągnąć prawie na wysokość obrazu. Daszek ambony okrywały, co prawda, dwie wiszące z sufitu materiałowe kotary, ale można je było łatwo odsunąć. Krull nie zastanawiała się długo. Weszła na ambonę, a następnie z lekką pomocą Manueli wdrapała się na jej obręcz, a potem chwyciła się jednego z owych elementów roślinnych, rozchyliła kotary i nawet dość zwinnie wspięła na daszek. Ten, jedynie delikatnie od góry zaokrąglony, stanowił dość wygodne podłoże i po chwili pisarka znalazła się vis-à-vis obrazu. Wyjęła z kieszeni telefon, przy okazji odnotowując, że jest wyciszony, tudzież, że ma na wyświetlaczu informację o siedmiu nieodebranych połączeniach od Pepe, dwóch od Miłki i jednego od Mario oraz, ku jej zaskoczeniu, trzech od Darskiego, po czym, zostawiając wszystkie je na potem, pacnęła palcem w ikonkę latarki. Cienki snop światła padł najpierw na przebijanego włócznią Świętego Polikarpa, a potem na zadającego mu śmiertelną ranę rzymskiego legionistę. Róża po kolei oświetlała kolejne partie obrazu. Na końcu doszła do ramy i tu lekko się zdziwiła. Kamienie w obramowaniu mallowidła prezentowały się tak idealnie, że aż trudno było uwierzyć, że są tylko szkiełkami albo tanimi odpowiednikami tych szlachetnych. Róża przez moment

dumała nad tym, jak sprawdzić, co ma przed oczami, po czym nagle przypomniało jej się, że posiada w smartfonie aplikację, która wykrywa, czy zeskanowany przez aparat kamień jest autentycznym czy też podróbką. Zainstalowała ją sobie, gdy Piotr obdarował ją pierścieniem zaręczynowym z tak wielkim oczkiem, że nie mogła uwierzyć, iż jest naprawdę szlachetne. Niecierpliwie przejechała palcem po ekranie i wyszukała odpowiednią ikonkę. Zeskanowała zdjęcie, ale aplikacja odmówiła sprawdzenia autentyczności kamienia, twierdząc, że skan jest zbyt niewyraźny. Róża spróbowała ponownie, jednak drugi raz otrzymała ten sam komunikat. Nieco już wkurzona wychyliła się na daszku, żeby światło latarki mocniej oświetliło jeden z kamieni i wyciągnęła rękę, aby przybliżyć do niego aparat. W tym samym momencie poczuła, że traci równowagę. Wydała z siebie okrzyk przestrawu, wypuściła z dłoni telefon i próbując w jakikolwiek sposób ratować się przed upadkiem, chwyciła za jedną z wiszących nad nią kotar. Po chwili poczuła, że ta się rozwija i ona sama leci na niej jak Tarzan. Po dość krótkim locie wpadła w jakiś ogromny kubeł, o ile nie w całą wannę, wypełnioną czymś w rodzaju miękkiego piasku. Przez chwilę leżała na nim, sprawdzając całość własnych kości. Gdy się w końcu podniosła, miała ten piasek wszędzie, w zębach, w nosie, we włosach... Myśląc niezbyt składnie, że głupio się z tego czegoś otrzępywać pośrodku świątyni i że lepiej będzie to zrobić na zewnątrz, kurcgalopkiem pobiegła w stronę wyjścia z kościoła, ciągnąc za sobą białą kotarę, która pod jej słodkim ciężarem oderwała się od sufitu...

Mający tej nocy dyżur, ochroniarz Waldemar Niegocin strzelił sobie króciutką drzemczkę. Ponieważ jego dzieci dostały na całą zimę fuchę w Toruniu, Waldemar za dnia opiekował się swoim wnusiem, czteroletnim Kajtkiem. Tego akurat dnia rodzice Kajtka musieli zostać dłużej w pracy i starszy pan nie tak dawno dopiero ululał wnuka do snu. Oczywiście przed oddaniem go Morfeuszowi, trzeba było opowiedzieć Kajtkowi bajkę. Doświadczony dziadek wiedział, że najmilej widziane są bajeczki nie z gatunku słodkopierdzących i lukrem ociekających, tylko te na pograniczu między horrorem a opowieścią grozy. Traf chciał, że na ten akurat wieczór przygotował mu historię Białej Damy, straszącej na zamku w Kórniku.

Otóż dawno, dawno temu przy Jeziorze Kórnickim ród Górków wybudował sobie zamek. Kiedy zmarł jego ostatni właściciel, budynek zaczął niszczeć. Nikt jednak nie śmiał go odnawiać, a i nawet przechodzić w jego okolicy było straszno. Okoliczni ludzie pobladłymi ustami przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie wstępną historię, że co prawda w podziemiach owego budynku kryją się skarby, jakich oko ludzkie nie widziało, ale lepiej ich nie tykać, bo ciąży na nich straszliwa klątwa o wielkiej sile. I że kilku śmiałków, którzy mieli ją

w nosie i próbowali owe bogactwo ukraść, zaginęło bez wieści albo też znajdowano ich w gęstwinie leśnej pozbawionych zmysłów i rozumu. Taki stan rzeczy trwał przez lat dziesiątki, aż wreszcie w pobliskiej bnińskiej parafii pojawił się ksiądz. Jak wiadomo, duchowieństwo zawsze czuło pociąg do bogactwa, więc i ten księżulko napalił się na schedę po Górkach niczym wegetarianin na schabowego z bocznika. „Skoro nie da się przemocą wydrzeć skarbów, to może by tak jakoś zdjąć klątwę?”, podumał chytrze ojczulek, a potem pogrzebał w księgach i znalazł tam wielce podnoszącą na duchu informację, że czary można rozproszyc, jeśli na miejsce, w którym działają, uda się procesja i mszę świętą się tam odprawi. Zwołał więc księżulko swoje owieczki, a te bez specjalnego entuzjazmu, tudzież wiary w powodzenie tej misji, podążyły za nim. Procesja dotarła na miejsce i ksiądz już miał zacząć odprawić mszę, gdy okazało się, że zapomniał stuły. Na to tylko czekały furie i siły nieczyste. To jednym kmiotem miotnęły w mury zamkowe, to wsiową babę niewidzialnymi szponami, wbitymi we włosy, zaciągnęły do lasu, a to jakiegoś innego nieszczęśnika niczym tornado podniosły ponad ziemię i cisnęły do pobliskiego jeziora. Jednym słowem – klapa na całego.

Duchowny po takiej porażce długo nie mógł dojść do siebie. Ponieważ jednak wizja złotych monet rozum mu mąciła, postanowił powalczyć z diabelskimi mocami raz jeszcze. Co prawda, za drugim razem procesja była znacznie mniej liczna, bo też i większość wiernych na samą myśl o tym, że znów ma się udać do tego przeklętego miejsca, robiła po gaciach, jednak kilku desperatów udało się wielebnemu zebrać. Niestety i tym razem wyprawa się nie udała, bo chciwy, ale wyraźnie też sklerotyczny duchowny zapomniał tym razem kropielnicy. Kilka miesięcy później nastąpiła ostatnia próba, w której wzięli udział już tylko chciwy ksiądz, wikary i organista. Do szczęścia z kolei zabrakło kropidła. Moc diabelska nie została zniszczona, za to skarby zapadły się jeszcze głębiej pod ziemię.

Jakiś czas później w Kórniku wybuchł pożar, który strawił prawie wszystkie budynki. Ponieważ miało to miejsce późną jesienią, ludzie zaczęli się bać, że pozbawieni dachów nad głowami, nie przeżyją do wiosny. Jediną nadzieję upatrywali we włościance i pani tych terenów, Teofili z Działyńskich. Ta, jako osoba racjonalna i wykształcona, nie wierzyła w żadne zabobony. Wezwała więc swoich budowniczych i nakazała im, by rozebrali ruiny zamku Górków, a pozyskany tym sposobem budulec przekazali nieodpłatnie mieszkańcom. Ci, co prawda, ostrzegali ją przed klątwą, ale Teofila jedynie popukała się w czoło. Rozbiórka zamczyńska poszła sprawnie. Co ciekawe, mitycznego skarbcza przy tym nie odnaleziono, ale miasteczko odnowiono. Czyżby klątwa przestała działać? A skądże! Teofilę spotkał okrutny los. Za zakłócenie spokoju demonów i zniszczenie ich siedziby skazano ją na wieczne cierpienie. Jej dusza została zaklęta w portret, z którego

każdej nocy wychodzi jako Biała Dama w powłóczystej sukni, aby udać się na spacer do parku, by bladym świtem powrócić do swojego malowanego więzienia. Każdy, kto ją spotka na swej drodze, może się spodziewać jakiegoś wielkiego nieszczęścia: choroby, rozwodu albo choćby wezwania do urzędu skarbowego. Spokój duszy Teofili może zapewnić tylko odnalezienie skarbcza Górków, co jest sprawą o tyle ciężką, że ponoć zapadł się on do czeluści samego piekła.

Tyle legenda. Waldemar, przekazując ją wnusiowi, nacisk położył przede wszystkim na postać Teofili. Ta według jego opowieści szczególnie miała sobie upodobać dzieci, które nie chcą iść spać, więc lepiej byłoby dla Kajtka, żeby jednak krwiożercza Biała Dama go nie dopadła. Lekko przestraszony wnuk grzecznie uderzył w kimono, jego rodzice wreszcie wrócili, a zmęczony Waldemar zaczął swój dyżur przykościelny od uskutecznienia krótkiej drzemki.

Przebudziwszy się i stwierdziwszy, że przysnął w niezbyt wygodnym fotelu, Waldemar poczuł, że zdrętwiały mu nogi, kręgosłup zaczął go łupać na całej długości, a do tego jakoś dziwnie skręciła mu się szyja. Postanowił więc czym prędzej rozprostować kości oraz wykonać małą gimnastykę. W tym celu wyszedł ze swojej budki i poczuł, jak ze zgrozy cały kamienieje.

Oto widziane przez niego jak na dłoni i idealnie oświetlone przez blask księżycy, drzwi kościoła nagle z impetem się otworzyły i stanęła w nich... Biała Dama. Jej ogromna biała szata falowała gwałtownie, czyniąc ze zjawy coś na kształt gigantycznego motyla. Do tego jeszcze piekielna upiorzyca mamrotała jakieś niezrozumiałe z tej odległości słowa, zapewne diabelskie zaklęcia, i machała we wszystkie strony rękoma, niewątpliwie rzucając czary na okolicę i jej mieszkańców.

Waldemar poddał się uczuciu paniki tylko na moment. Następnie zaś, kątem oka dojrzał leżące z boku budki od niepamiętnych czasów, a dokładniej rzecz ujmując od jesieni, grabie i szybko odzyskał rezon. Chwycił je w dłonie i wiedziony niejasną myślą, że najlepszą obroną jest atak, ruszył pędem w stronę zjawy z okrzykiem: „Giń, maro nieczysta!”.

Dokładnie na tę scenę naciął się szukający Róży od kilku minut po całym Morderczym Darski. Widząc szamoczącą się z jakimś wielkim obrusem, ewentualnie prześcieradłem, Krull, którą w blasku księżycy rozpoznał głównie po uczesaniu, oraz nacierającego na nią niczym byk na torreadora w czasie korridy zażywnego starszego pana i mając pewność, że za moment stanie się świadkiem tragedii, Darski tylko na ułamek sekundy dał się ponieść rozkoszy płynącej z myśli, że to ktoś inny, a nie on za chwilę usunie Różę z tego padolu. Następnie sięgnął do kabury po pistolet, skierował jego lufę ku górze i oddał strzał.

Pepe z miną, z której dokładnie można było wyczytać, co sądzi o swojej pracodawczyni, podał jej kubek z gorącą melisą.

– Myślałem, że przez ostatnie miesiące trochę zmadrzałaś – westchnął z rezygnacją – ale okazuje się, że jest wręcz odwrotnie. Idiociejesz z każdym dniem coraz bardziej...

Róża chciała zaprotestować, ale w świetle tego, co usłyszała nieco wcześniej od Darskiego, opinia jej agenta i tak była wyjątkowo stonowana, żeby nie powiedzieć pieszczotliwa.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdyby na miejscu Darskiego był jakikolwiek inny policjant, to już dawno wieźliby cię w radiowozie do aresztu? – dokończył Pepe.

– W sumie to nie zrobiłam nic, co podpadałoby pod jakikolwiek paragraf – zaproponowała nieśmiało Krull.

– Weszłaś na teren chroniony, a następnie włamałaś się do kościoła...

– Zaraz włamałaś! Po prostu otworzyliśmy drzwi. – Róża wzruszyła ramionami. – Miałśmy klucz. Legalny. Prawie.

– Ale na kościele też wisiała tabliczka, że osobom nieuprawnionym wstęp wzbroniony!

– Od kiedy to nie można u nas wejść do kościoła? Może chciałam się pomodlić...

– No, gratulacje! – spiorunował ją gniewnie Pepe. – Tak się pięknie pomodliłaś, że teraz pół budynku jest do remontu.

– Po pierwsze, to i tak go mieli remontować, a po drugie jakie pół? Ledwie ambona, ale tylko troszkę, bo jedynie wyrwał się hak z suftu podtrzymujący osłaniającą ją kotary i odłamał jeden kawałek dekoracji przy daszku. Wielkie mi tam mecyje!

– Nie mam do ciebie siły. – Pepe z rozpaczą potoczył wzrokiem po reszcie przyjaciół. – Weźcie i coś jej powiedzcie, bo ja zaraz wyjdę z siebie!

– Więc ten cały Majek kręci jak kataryniarz – rzekła Miłka, po czym wylapawszy pełne wyrzutu spojrzenie Kwiatka, szybko dodała: – No co? Kazałeś jej coś powiedzieć...

– Ale nie to! – jęknął Pepe. – Utwierdzajcie ją w szaleństwie, a zobaczycie, do kąd dojedziemy!

– Jak to kręci? – Róża machnęła na niego niecierpliwie ręką. – Uspokój się! Co ty się nagle na starość zrobiłaś taki przełęczony jak jakaś pensjonarka na pierw-

szym balu? Ochłoń! Miłka, co masz na myśli?

– Jestem przekonana, że on wie o tej sprawie o wiele więcej, niż twierdzi – wyjaśniła przyjaciółka. – I o obrazie, i o kościele, i może nawet o śmierci Kamila.

– Z kolei profesorowa uważa, że nasz młodociany denat miał skłonności do fantazjowania, bo mu się tu nudziło, czemu się akurat nie dziwię – westchnął Mario, na wszelki wypadek w ogóle nie patrząc w stronę Pepe. – Podobno głosił, że są tu jakieś tunele czy podziemia, a pod pomnikiem Pudziana jest bez mała bursztynowa komnata. Ja bym to sprawdził, tylko po to, żeby zburzyć to cholerstwo. Ile to już pokoleń straszy ta niby założycielka? A, i jeszcze profesorowa mówiła, że Kamil łąził na okrągło do tego całego waszego pasera, który notabene jest współczesnym Janosikiem. Tak jakby. Nie naszym zabiera, żeby dać naszym...

– To by się akurat zgadzało z tym, co sam o sobie mówił – wtrąciła Miłka.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekła z niezadowoleniem Róża. – Opowiedzcie to jakoś składniej i po kolei, bo na razie nie umiem tego poskładać do kupy...

Miłka i Mario zdali w miarę dokładne relacje ze swoich wizyt.

– Czyli teoretycznie Kamil nie był wiarygodny, ale z drugiej strony zauważacie, co mówiła nasza gospodyni...

– Czyli twoja partnerka w przestępstwach – mruknął Pepe.

– ...że w każdej jego konfabulacji – Róża zignorowała uwagę swojego agenta – kryło się ziarenko prawdy. Nie wiem, czemu akurat tym razem nie miałyby być podobnie.

– To znaczy wierzysz, że pod Morderczym biegną tajne tunele... – zaczął Mario, ale Pepe wszedł mu w słowo.

– Życzysz sobie trotyl czy od razu semtex? – zapytał z niewinną miną.

– Do czego? – zdziwiła się Krull.

– Do wyburzenia pomnika założycielki – wyjaśnił Pepe z gryzącą wręcz ironią. – Przecież nie spocznieś, póki nie narozrabiasz na odpowiednią skalę. Cóż to jest dla ciebie jeden zdewastowany kościółek, jeden doprowadzony do migotania przedsiódek staruszek, plus jeden komisarz policji w stanie przedzawałowym. Chyba nie chcesz, żeby znajomi pomyśleli, że schodzisz na psy...

– Tobie i tak nie dorównam. – Róża pokazała mu język. – Ludzie już się tak boją z tobą rozmawiać, że wolą zginąć, żeby się tylko z tobą nie spotkać!

Pepe popatrzył na nią potępiająco.

– No, to akurat nie był zbyt trafiony dowcip – zauważył z naganą.

– Przepraszam. – Krull uznała, że faktycznie trochę się zagolopowała.

– Swoją drogą, co komu zrobił ksiądz? – zastanowiła się Miłka. – Z tego, co mówiła mama komisarza, wynika, że to był bardzo miły człowiek...

– Ona mówiła, że inny niż wszyscy – sprostowała Krull. – Ale zdaje się, że z ogólnego jej tonu wynikało, że go lubiła, więc uznajmy, że faktycznie był miły.

– Ale widać, ktoś uznał, że przy okazji też dla niego niebezpieczny – zauważył Mario – albo niewygodny, albo mający zbyt dużą wiedzę.

– Najpewniej to ostatnie – zgodziła się Róża. – Czyli znowu wracamy do kościoła...

– Trzeba było zabrać Ceckę – westchnął Mario.

– Kogo? – zdumiała się Krull.

– Twoją gosposię – wytłumaczył Kosek. – Kościół to przecież jej domena. Wyjaśniłaby tę sprawę w trymiga. A wzięwszy pod uwagę, że drugą ofiarą jest ksiądz, to osobiście złapałaby mordercę, doprowadziła go na szafot i uruchomiła gilotynę.

– Przestań się wydurniać – poprosiła Róża, w duchu jednak przyznając mu odrobinę racji. – Lepiej pomyślmy, co robić dalej...

– To, co kazał ci Darski – rzekł stanowczo Pepe. – Spróbuję zacytować w miarę dokładnie: „Zapakować walizki oraz swoje cholerne dupsko w auto i wychrzaniać czym prędzej do Warszawy, a tam modlić się, żeby w poniedziałek rano nie wezwał cię prokurator”. Która część tej wypowiedzi wydała ci się niejasna?

– Oj, dobra, dobra. – Róża wzruszyła ramionami. – Uznajmy to za plan b. Poza tym do poniedziałku zostało jeszcze kilka dni. Lepiej zastanówmy się, jaki może być plan a!

## ROZDZIAŁ VIII

### PANIKA

Krystyn zapakował do walizki ostatnie eksponaty, ściągnięte z półek regału w swoim salonie, po czym skinął głową na ów pakunek.

– Jeśli ktoś cię z tym złapie, to mamy przesrane – zapowiedział złowieszczo. – Jest tutaj wszystko, o czym policja nigdy w życiu nie powinna się dowiedzieć.

– Ile jest to warte? – zaciekawił się Roman Rudniczak, próbując podnieść walizę. – Czy ty chcesz, żebym dostał ruptury?!

– Aż tak ciężkie? – Majek popatrzył na swojego towarzysza z lekkim niesmakiem. – Mówiłeś, że na siłce wyciskasz sto pięćdziesiąt! Tyle to wszystko na pewno nie waży!

– Wyciskam. Na ławce. A nie noszę w jednym ręku – zauważył zupełnie poważnie Roman. – Jak policja zacznie mnie ścigać, to nie ma szans, żebym jej z tym nawiał. Dobrze, że nie każesz mi przed nimi uciekać z tapczanem pod pachą! Na jedno by wyszło!

– Z tą różnicą, że żaden tapczan nie jest wart kilkadziesiąt milionów złotych – mruknął Krystyn.

– Aż tyle?! – Roman zrobił wielkie oczy. – Nie boisz się, że opuszczę twoje mieszkanie i słuch po mnie zaginie?

– Możesz być pewny, że beze mnie nigdzie tego nie upłynnisz...

– Są przecież inni pase... – Roman w porę ugryzł się w język, wiedząc, że jego kompan nie lubi tego określenia – pośrednicy!

– Owszem – zgodził się Krystyn – i wszyscy stanowimy jedną wielką, międzynarodową mafię. Jestem zupełnie spokojny, że jeśli chciałbyś sprzedać na boku choćby najmniejszą monetę, którą tu zapakowałem, to nie tylko, że natychmiast się o tym dowiem, ale jeszcze wsadzę ci ją w usta jako opłatę dla Cerbera za przewiezienie cię do Hadesu.

– Że co? – zdziwił się Rudniczak, przy okazji zdradzając, że niezbyt uważnie studiował w szkole „Mitologię grecką” Jana Parandowskiego.

– Doczytasz sobie w wolnej chwili. – Krystyn przewrócił oczami z wyraźną pogardą. – W każdym razie nie radzę ci nic kombinować. I tak masz ze mną jak



w raj. Nikt nie daje takiej prowizji. A poza tym, nie ma czasu na głupie przekomarzanki! Za chwilę wpadną tu nasi dzielni funkcjonariusze i będzie po ptokach. Leć!

Rudniczak z wyraźnym wysiłkiem dźwignął walizę. Był już przy drzwiach, kiedy nagle Krystynowi przypomniała się jeszcze jedna kwestia.

– Dałeś radę? – zapytał, otwierając Romanowi drzwi.

– Mówisz o... – zaczął Rudniczak, ale Majek nie pozwolił mu dokończyć.

– Tak!

– Prawie... – przyznał niechętnie złodziej, stawiając walizę na podłodze.

– Jak to prawie?

– Został ostatni...

– Kurwa!

– Niestety – rzekł z wyraźnym żalem Rudniczak. – Zrobił się jakiś hałas, ktoś wlaźł i musiałem się przyczołchać. A potem był już raban na całego, chyba nawet padł strzał, wystraszyłem się i nawiałem. Nawet klucza nie zabrałem.

– No to po wszystkim – westchnął Krystyn, błogosławiąc w duchu, że dorobił ich od razu kilka. – Szkoda. A tak było blisko.

– Bez tego jednego się nie da?

– Wydaje mi się, że nie, ale jeszcze sprawdzę. W końcu nasz zleceniodawca jest nieprzewidywalny... No już, leć! – Krystyn niecierpliwym gestem popędził towarzysza. – I nie daj się złapać.

Roman westchnął i podniósł багаż.

– Wisisz mi rehabilitację kręgosłupa – rzekł stanowczo.

– Wliczymy w koszty – obiecał mu Krystyn. – O ile oczywiście sfinalizujemy transakcję. W złą godzinę się na nią zgodziłem. Dwa trupy i rozgłos, którego zawsze unikałem. I końca tego wszystkiego nie widać. Szlag by to trafił!

\*\*\*

– Miało być *easy*! – Patti teatralnym gestem chwyciła się za czoło, a następnie niby to oszołomiona, osunęła się na fotel – a tymczasem mamy *disaster*! Prawdziwa *disaster*! A w ogóle, po co tu przyjechałeś?!

– Dopilnować biznesu. – Na Arkadiuszu Gozdyrze zachowanie celebrytki nie robiło najmniejszego wrażenia, bo znał ją z czasów, kiedy jeszcze nie miała fejkowego akcentu, nie przeplatała ojczystej mowy angielskimi słowami, ani też nie

wyglądała jak skrzyżowanie Barbie z transwestytą – ale w tej sytuacji chyba nie ma już czego pilnować...

– Siebie! – wykrzyknęła gniewnie Garnicky. – Ja tu siedzę *in silence*, żeby nikt się nie kapnął, że znowu przyjechałam, a ty wparadowujesz do mojego mieszkania jak jakiś *crazy man*! I nici z dyskrecji. Naprawdę chcesz, żeby wszystko się wydało?

– Ale co się ma wydać? – prychnął Arkadiusz. – Miałś dobry plan, mogło się udać i nawet w większej części się udało. Tyle że nie do końca. Trzeba się z tym pogodzić i tyle.

– Pogodzić?! – Patti wstała z fotela, podeszła do stolika, na którym stały butelki z wodą mineralną, otworzyła jedną, nalała sobie odrobinę do szklanki, spróbowała, po czym skrzywiła i popatrzyła na etykietę. – „Podpiwniczanka”. Dobrze sobie. Powinni to nazwać „Kałużanka”. Smakuje jak *horse piss*.

– To nie pij. – Arkadiusz wzruszył ramionami. – Dla mnie woda ma sens tylko, kiedy ją dodajesz do drinka. I nie rozumiem twoich lamentów. Udało nam się zgarnąć lwią część.

– Ale bez całości to nie ma najmniejszego znaczenia. – Patti z wyraźnym obrzydzeniem odstawiła szklankę. – Równie dobrze można było włamać się do *jewelry store*, a nie wymyślać całą tę *action*...

– Przypominam ci uprzejmie, że to nie ty ją wymyśliłaś.

– Ale ja ją sfinansowałam!

– Też nie. Przecież nie masz swoich pieniędzy...

– Jak śmiesz!

– Proszę cię. – Arkadiusz popatrzył na nią z wyraźnym politowaniem. – Możesz sobie robić w balona naszych naiwnych dziennikarzy, ale ja akurat wiem, jak wygląda stan twojego konta i to twoje bajeczne życie za oceanem. Wynajęta klitka na przedmieściu Los Angeles, wypożyczony samochód i to jeden z tych najtańszych, i do tego mąż-niemąż, którego starasz się usilnie przekonać, że ma u boku największą gwiazdę polskiego show-biznesu, prawda?

Patti zastanowiła się, czy nie powinna go oblać stęchłą „Podpiwniczanką”.

– Tyle że z tego, co udało mi tu i ówdzie się dowiedzieć – kontynuował Gozdyra, nieświadomy zagrożenia, jakie na niego dybie – to akurat twój niemąż ma w nosie celebrytów. Liczy się dla niego tylko kasa i jego hobby. Ktoś życzliwy wyszeptał mi na ucho, że zawarłście pewien, jakbyś to ładnie powiedziała, *deal*. Ty dostarczysz mu to, czego szuka, a on w zamian otworzy ci drogę do zagrania w jego osobistym kolejnym sezonie „Żon Hollywood”. To dlatego najpierw byłaś tak zdesperowana, a teraz rozżalona, prawda? Zdaje się, że będziesz musiała się

obejść smakiem i szukać kolejnej okazji. A wszystko przez jednego małego gnojka...

– Gnojek był *dangerous* – westchnęła Garnicky, nawet nie próbując się ustosunkować do tego, co przed chwilą powiedział jej rozmówca i zastanawiając się jedynie, kto z grona jej najbliższych przyjaciół jest kapusiem – ale nie aż tak dużym. Po prostu chodził i głądził. Ble ble ble... Jak zawsze. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Gorzej, kiedy pojechał na *meeting* z Krull. Wtedy zaczęło się robić *very dangerous*, bo z tego, co się zdążyłam zorientować, ona jest ten tego... *Lunatic!* A do tego jeszcze w tej sytuacji... Na szczęście chyba nie zdążył jej powiedzieć nic *important...*

– Zanim go zabiłaś? – rzekł spokojnie Arkadiusz.

– Słucham?! – Patti ze zdziwienia zastygła z otwartymi szeroko ustami.

– Przede mną możesz nie odgrywać tych tanich teatrzyków – westchnął Gozdyra – przecież wiem, że to twoja robota.

– Czyś ty już do reszty oszalała?! – jęknęła Garnicky. – Skąd ten pomysł, że to ja go zabiłam?! Jakżeś to wymyśliła?!

– Ja tego nie wymyśliłem, kochanie! – Arkadiusz patrzył jej prosto w oczy. – Ja to po prostu widziałem.

Patti nie zareagowała.

– I powiem ci więcej – dodał Gozdyra. – Bardzo nieroztropnie z twojej strony było zostawić na miejscu tego nieszczęśliwego wypadku – zrobił palcami w powietrzu znak cudzysłowu – narzędzie zbrodni. Nawet nie wiesz, ile potrafi współczesna kryminalistyka. Nie musisz się jednak niczego obawiać. Zająłem się tym.

– Jak...? Co...? – W przeciwieństwie do wiecznego udawania, tym razem Patti naprawdę nie umiała znaleźć odpowiednich słów w języku polskim, ani w żadnym innym.

– Tak. Zapiekowałem się nim. – Arkadiusz pokiwał głową z uśmiechem, który nagle wydał się Garnicky złowieszczy i diaboliczny. – Możesz spać spokojnie.

\*\*\*

Komisarz Darski patrzył na swoją mamę z takim wyrzutem, że aż Leokadii zrobiło się nieco głupio. Nie poczuła, co prawda, wyrzutów sumienia, kiedy jej syn wparował do rodzinnego domu z okrzykiem: „Jak mogłaś?!”, ani nawet, kiedy usiadł na kanapie i patrząc na nią rozpaczliwym wzrokiem, rzekł: „Z każdym innym, ale dlaczego akurat musiałaś rozmawiać z Różą?!”. Ale kiedy odmówił kon-

sumpcji jej domowego sernika, Leokadia zrozumiała, że tym razem podpadła nie na żarty.

– To jest bardzo sympatyczna dziewczyna – wyjaśniła usprawiedliwiająco – i nie powiedziałam jej nic wielkiego...

– Jasssssne... – westchnął Darski. – W takim razie Róża sama z siebie dostała ataku jasnowidzenia i posłała jednego przyjaciela do profesorowej Staszicowej, drugiego do księdza Jana, przyjaciółkę do Krystyna Majka, a sama zupełnie przypadkiem polazła z Jolką Czubaj do zamkniętego na głucho kościoła modlić się o rozum. Może w takim razie powinienem ją zatrudnić na etacie w komendzie. Co nam się trafi jakaś trudniejsza sprawa, to posadzi się Różę na trójnogu, żeby nam powiedziała, kto jest sprawcą i gdzie szukać na to niezbitych dowodów...

– No, może trochę rzeczy jej zdradziłam – przyznała Leokadia ekspiacynym tonem – ale wiesz, jak to jest w czasie pogaduszek. Słówko się wymsknie tu, słówko się wymsknie tam...

– Zdaje się, że wasza rozmowa to było jedno wielkie tu i tam – zauważył Krzysztof. – Biorąc pod uwagę, jak bardzo zainspirowałaś tę wariatkę...

– Zrozum, kochanie... – Leokadia z ulgą zauważyła, że jej syn jednak nakłada sobie kawałek sernika na talerzyk – nie, żeby nie wierzyła w instytucję, w której pracujesz, ale jednak czasem ludzie prędzej powiedzą coś w rozmowie prywatnej, niż kiedy mają świadomość, że każde ich słowo trafi do protokołu. Myślę, że Róża udowodniła to już kilka razy...

– I co w związku z tym?! – zapytał Darski nieco niewyraźnie, bo właśnie wpałował do ust pierwszy kęs matczynego ciasta.

– Może czasem warto byłoby skorzystać z jej pomocy – rzekła Leokadia – albo zaproponować jej współpracę jako konsultantce...

Darski chciał tak gwałtownie zaprotestować, że aż opluł okruszkami sernika siebie oraz stolik. Leokadia z westchnieniem sięgnęła po serwetki i doprowadziła do porządku tak mebel, jak i swoją progeniturę.

– Czyś ty, z całym szacunkiem, oszalała?! – Darski nie mógł opanować głosu, który z emocji przeszedł mu w jakiś dziwaczny dyszkant. – Róża jako konsultantka?! Żeby po miesiącu cała komenda przypominała szpital dla psychicznie chorych?! Co tam po miesiącu! Po kilku dniach! Przecież ona najpierw coś robi, potem dopiero myśli, a już konsekwencje tych czynów są dla niej zawsze najmniej istotną składową jej poczynań. Równie dobrze moglibyśmy zatrudnić na komendzie w roli konsultantki... No nie wiem...? Patti Garnicky!

– Która notabene jest teraz w Morderczym... – szepnęła Leokadia, nieco przestraszona stanem swojej pociechy.

– Słucham? – zdziwił się szczerze Krzysztof.

– No, jest, jest. Mieszka u Tośki Zalewskiej w jednym z jej apartamentów...

– A czego ta tu szuka?

– Tego nie wiem. Dziś rano ptaszki doniosły mi tylko, że przyjechała dwa dni temu w nocy i że odkąd tu jest, nie wyściubiła nosa poza apartament. Przynajmniej nikt jej nie widział w miasteczku. Musiała się faktycznie nieźle kamuflować, bo żadne plotki przez tyle godzin o jej pobycie tu się nie rozniosły przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Niesamowite! Tak zmylić lokalne superplotkary. Przecież, gdziekolwiek ona się pojawia, zaraz jest z tego wielka sensacja. Z nieznanych mi przyczyn ta osoba jest bardzo popularna. Co ona robi?

– Wrażenie – odpowiedział Krzysztof.

– Pytam serio. Jest aktorką, piosenkarką, prezenterką telewizyjną?

– Wszystkim naraz i nikim do końca, bo gdy pogrzebaliśmy w jej życiorysie, to poza ukończoną szkołą policealną na kierunku florystyka, nie znaleźliśmy niczego, czym mogłaby się pochwalić. Zagrała kilka... hmm... nawet nie epizodów, tylko... Jak ty to zawsze określasz? No wiesz, takie osoby w sztukach teatralnych, które nic nie znaczą...

– Halabardnik numer dziewięć – przypomniała uprzejmie Leokadia, ciesząc się w duchu, że ich konwersacja oddala się od denerwującego jej pociechę tematu Róży.

– No właśnie, więc ona nie zagrała nawet halabardniczki numer dwanaście, tylko osobę, stojącą za halabardnikiem numer dwanaście – wyjaśnił Darski. – W mediach jednak opowiada o tym w taki sposób, że ma się wrażenie, iż nawet Meryl Streep i Nicole Kidman z zazdrości siedzą w swoich posiadłościach i obgryzają pazury po kłatach, że nie są takimi bożyszczami Hollywood.

– Naprawdę? – zdziwiła się Leokadia, łapiąc się na tym, że choć wie, jak wygląda Patti, to nigdy nie słyszała żadnego wywiadu z nią, a kiedy raz miała okazję, to po minucie uznała, że lepiej spożytkuje czas, przygotowując sobie herbatę przed kolejnym punktem programu w śniadaniówce. – Mnie wydała się wyjątkowo nieciekawą osobą.

– Tobie tak, bo masz rozum – Krzysztof pokiwał głową, myśląc w duchu, że jest to jednak rozum, który jego matkę opuszcza w obecności Róży – ale dla tych, którzy żyją iluzjami rodem z Instagrama i TikToka, gdzie wszyscy są zadowoleni, szczupli, zdrowi i piękni, robią kariery i mają życie szczęśliwe jak w bajce Disneya, ktoś taki jak Garnicky jest guru. Sama zobacz, dziewczyna znikąd jedzie do Hollywood, zostaje gwiazdą, spotyka milionera, wraca tutaj w kreacjach od znanych projektantów mody i biżuterii od Cartiera, opowiada o tym, jak balo-

wała na jachtach z najbardziej znanymi hollywoodzkimi bogami seksu, a do tego jeszcze chce wspomagać nasz kraj, zakładając tutaj galerię sztuki.

– A cokolwiek z tego wszystkiego jest w ogóle prawdą? – zapytała Leokadia. – Czy to tylko, jak mówisz, iluzja z Instagrama?

– Bajdurzenia jest w tym od groma – odpowiedział jej syn. – W Stanach Patti mieszka w tak zwanych slumsach. Utrzymuje się z jakichś sesji fotograficznych dla mało znanych magazynów mody i jeszcze mniej znanych portali. Samochód wypożyczyła. O tego milionera zapytaliśmy naszych amerykańskich kolegów, ale tylko jedno jest pewne: wbrew temu, co opowiada, nie wyszła za niego za mąż. W dokumentach nie ma po tym ani śladu. A, i jeszcze zdaniem jednej z moich przyjaciółek, te wszystkie rzeczy od Dolce & Gabbana, które Patti obnosiła do tej pory po naszych salonach, to takie bardziej Srolcze i Kubana. Podobno da się to jakoś odróżnić, choć tylko po detalach. Komisarz Majewska spędziła cały dzień z lupą nad zdjęciami Patti i doszła do wniosku, że to fejk. Taki jak cała Garnicky.

– Zadziwiające, że dziennikarzom to nie przeszkadza – zauważyła Leokadia z lekkim niesmakiem.

– Dziennikarze robią to, co każą im wydawcy – tłumaczył matce cierpliwie Darski, który jako spec od spraw kryminalnych związanych z show-biznesem, miał już te kwestie obcykane – albo naczelne gazet. A tych interesuje tylko klikalność albo sprzedaż. Po co mają się wysilać i pisać o czymś mądrzejszym, jak teatr czy literatura, publikować wywiady z ludźmi, którzy faktycznie mają coś do powiedzenia, skoro można lecieć po linii najmniejszego oporu i robić gwiazdy z osób, które plotą trzy po trzy, jakby zamiast mózgu miały kanał przestrzenny, ale przy okazji zapewniają cytowalność i są memogenne.

– Jakie?!

– Memogenne – westchnął Krzysztof. – To znaczy potem można sobie z nich robić jaja w internetowych żartach obrazkowych.

– Wiem, co to są memy – zapewnia go Leokadia. – Jeszcze za tym nadążam. Poza tym, ciotka Adela zwariowała i przysyła mi ich codziennie tak mniej więcej ze dwie setki. Mam nadzieję, że w końcu ktoś ją zablokuje, bo już mi zaspamowała całego Messengera.

– No właśnie, – Syn uznał za stosowne nie zdradzić jej, że sam zablokował Adelę już miesiąc temu, po tym gdy przysłała mu prawie tysiąc memów o policjantach, z czego najbardziej kulturalny był ten z tekstem: „Dlaczego policjanci chodzą zawsze we dwóch? / Bo z psem zawsze bezpieczniej”. – Więc rozumiesz, że taka Garnicky ze swoimi opowieściami, że milioner jej się oświadczył, gdy razem skoczyli ze spadochronami z jego prywatnego samolotu, albo o tym, że musi

sobie chirurgicznie dorobić jeszcze dwa sutki, żeby ukochany miał więcej przyjemności w łóżku...

– Słucham? – Tym razem to Leokadia zachłysnęła się herbatą ze zdziwienia.

– Przepraszam. – Krzysztof zbyt późno uświadomił sobie, komu relacjonuje brednie celebrytki.

– Nie, nie, jestem nowoczesna – uspokoiła go matka, starając się opanować odruchy w przełyku. – Tylko... Ona tak na serio?

– Tego nie wie nikt. W każdym razie, kiedy to mówi, ma poważną minę. Z drugiej strony, gdy żartuje, też ma poważną minę. Tę samą. Myślę, że botoks unieвозмоżliwia jej zrobienie jakiegokolwiek innej...

Przez chwilę oboje milczeli. Leokadia przetrawiała newsy o Garnicky, a komisarz konsumował sernik.

– Szkoda księdza Jana – westchnęła w końcu mama Darskiego. – Co komu zrobił ten biedak?

– Musiał coś wiedzieć. Coś, co zagrażało mordercy...

– A może ktoś chciał coś ukraść i Jan go na tym przyłapał?

– Ukraść z tej remizy? – zdziwił się Krzysztof. – Tam jest cokolwiek cennego?

– Była kiedyś taka rozmowa... – Leokadia sięgnęła pamięcią do jednego ze swoich ostatnich spotkań z duchownym. – Zapytałam Jana, czy naprawdę trzeba tę remizę zamykać w chwili, kiedy nikt jej nie pilnuje. W końcu kościoły na zachodzie Europy są otwarte przez całe dni i jakoś nie słyszałam, żeby ktoś je rabował. Na co Jan się uśmiechnął i powiedział, że u nas jest inna mentalność. I że skoro można bić żonę, a potem uważać, że spowiedź i odpuszczenie grzechów wystarczą, żeby mieć czyste sumienie, to stąd już tylko mały kroczek do kradzieży ze świątyni. Zauważyłam wtedy, że raczej nasze miasteczko nie jest wylęgarnią przestępców, a Jan odparł, że jakbym uważnie się rozejrzała dokoła, tobym się zdziwiła. Potem jeszcze dodał, że to, co cenne, lubi mieć na oku. I że...

Jej wypowiedź przerwał dzwonek komórki Darskiego.

– Przepraszam – Krzysztof zerknął na ekranik smartfona – muszę odebrać, to służbowy. Tak, Jurku? Jestem u mamy, ale mów – przez chwilę przysłuchiwał się wieściom przekazywanym przez podwładnego. – Jest pewny? Aha, bez żadnych wątpliwości. Rozumiem. To znaczy, nie rozumiem, ale w porządku. Na kiedy dokładne badania? O, to szybko, świetnie. A ta druga sprawa? Ciągłe się zgłosił... Dziwne... Jak to? Serio?! W takim razie trzeba stworzyć portret pamięciowy. Kto go widział...? Hmm... Obie są w Morderczym. Tak, ta druga też. Nie wiem dlaczego, ale spróbuję się lada moment dowiedzieć. W porządku, melduj mi

wszystko na bieżąco – rozłączył się i przez moment milczał, porządkując uzyskane wiadomości.

– Coś złego? – zapytała Leokadia.

– Jesteś jedną z ostatnich osób na świecie, z którymi powinienem rozmawiać o aktualnym śledztwie – westchnął komisarz. – Zwłaszcza po twoich pogaduszkach z tą wariatką... Ale... Już ci powiem, bo sam muszę to jakoś przyswoić. Otóż okazało się, że oryginał obrazu, którego kopia znajduje się tutaj w starym kościele...

– „Śmierć zabierze płomień” – odpowiedziała szybko Leokadia.

– Dokładnie! – Darski skinął głową. – Więc wstępna analiza stwierdza, że ten oryginał ma lipne kamienie. Pamiętasz, wysadzana jest nimi rama.

– Oczywiście, że pamiętam. Zawsze uważałam, że o ile sam obraz jest dziełem sztuki, to ta rama wygląda jak odpustowy dziwołąg...

– Tak czy siak, nie było w niej szmaragdów czy rubinów, tylko nic niewarte podróbki. Mieliśmy teorię, że po włamaniach, bo ktoś dwukrotnie usiłował ukraść ten obraz z Muzeum Rzeczypospolitej, być może w tajemnicy przeniesiono go tutaj, ale właśnie dostałem potwierdzenie, że i ten tutejszy ma fałszywe kamienie.

– Jak to?! Ten też jest kopią? To gdzie jest oryginał?!

– Ano właśnie... Zarówno rama tego w muzeum, jak i tego w kościele jest falsyfikatem. Co więcej, rzeczoznawca twierdzi, że obraz z muzeum to też podróbka. Zabraliśmy go do laboratorium. I obraz, i ramę wykonano mniej więcej jakies czterysta lat temu, co oznacza, że jest to kopia, którą rozkazał wykonać król Zygmunt August. To z kolei sugerowałoby, że profesor Staszic, który w czasie włamań jeszcze żył i zawiadywał muzeum, przeniósł po cichu oryginał do Morderczego, zaś z kościoła przywiózł do muzeum tutejszą kopię. Potem kazał zamknąć kościół i zatrudnił tam ochronę, opłacaną zresztą z funduszy muzeum.

– To wiem – wtrąciła Leokadia, a widząc zdziwiony wzrok swojej pociechy, natychmiast wyjaśniła: – Znam jednego z ochroniarzy... Tego, którego o mało co nie przyprawiłeś o zawał, strzelając do niego z pistoletu. Swoją drogą, nie miałam pojęcia, że z ciebie taki porucznik Kojak.

– Kojak był łysy – zauważył Krzysztof, odruchowo poprawiając swoją nieco niesforną grzywkę. – Ja mogę być co najwyżej jak Borewicz. Choć on się kojarzy z PRL-em, więc też źle... I to nie moja wina, że ten twój znajomy chwycił za grabie i chciał przebić nimi Różę. Choć nadal uważam, że powinienem był zaniechać interwencji i pozwolić mu to zrobić.

– Proszę cię. – Mama popatrzyła na niego karcąco. – Chyba nie mówisz serio.



– Jeśli chodzi o Różę, to już sam nie wiem, co jest serio, a co nie – westchnął komisarz. – A wracając do tematu, kamienie z ramy w Morderczym też są fałszywe. Ale co ciekawe, przy ramie z muzeum nikt nie grzebał, a przy tej tak. Wygląda to, jakby ktoś całkiem niedawno podmienił te wszystkie szmaragdy i rubiny...

– Sądzisz, że tak było? Czyli, że to jest oryginał?

– Nie wiem i nie powiem ci, dopóki biegły nie oceni płótna. Właśnie zabraliśmy je do Torunia do uniwersyteckiej pracowni historii sztuki, oni są najlepsi. Ale analiza trochę potrwa. Jednak nawet jeśli się okaże, że obraz jest oryginałem, to i tak nie rozumiem, po jakiego grzyba wydłubywano z niego kamienie. To przecież kompletnie nie ma sensu. Załóżmy, że faktycznie przeniesiono oryginał obrazu z muzeum do kościoła i ktoś się o tym dowiedział. Dlaczego od razu nie rąbnął całości, tylko bawił się w wyjmowanie kamieni z ramy? Przecież przy tych dwóch, z całym szacunkiem dla twojego znajomego, leśnych dziadkach wyniesienie nawet tak wielkiego obrazu byłoby dziecinnie prostą robotą i dużo szybszą. Nie mówiąc o tym, że tańszą, bo tak to musieli najpierw wyprodukować fałszywki. Nie potrafię tego rozgryźć...

– A druga kwestia? – nieśmiało zapytała Leokadia.

– Jaka druga? – zdziwił się jej syn.

– Mówiłeś przez telefon coś o portrecie pamięciowym? – przypomniała.

– Aaaaa... Tak, tak... Otóż wezwaliśmy na komendę wszystkich świadków zabójstwa Raczyńskiego. Nigdy nie wiadomo, co ktoś mógł zauważyć, a diabeł, jak wiadomo, zawsze tkwi w szczegółach. Zgłosili się już prawie wszyscy. Z jednym wyjątkiem. Nie przyszedł dziennikarz z portalu Puchacz Post, niejaki Michał Kielczyk. Poszperaliśmy trochę i okazało się, że nikt o takim nazwisku nie był akredytowany na imprezę, na której zamordowano Raczyńskiego. Mało tego, szefowa tego portalu twierdzi, że nigdy nikt taki u nich nie pracował. Z tego, co udało nam się ustalić, Kielczyk przeprowadził wywiad z Patti Garnicky. Świadkowie twierdzą, że w pobliżu znajdowała się wtedy też Róża Krull. Będę musiał zapytać o niego i jedną, i drugą. Najpierw Patti, bo na widok Róży z miejsca przychodzą mi do głowy same czyny karalne.

– Rozumiem... – Leokadia przesiadła się bliżej swojej pociechy, po czym pogłaskała go po ramieniu. – Synku, czy kiedykolwiek wyszedłeś źle na moich radach?

– Nie – przyznał zgodnie z prawdą komisarz. – Mam bezgraniczne zaufanie do twojego życiowego doświadczenia i mądrości. Czemu o to pytasz?

– Bo chciałabym ci udzielić kolejnej – rzekła miękkiem głosem Leokadia. – Pogódź się z Różą i spróbuj mi uwierzyć, kiedy mówię ci, że jakakolwiek by była,

ona ma zawsze dobre intencje i chce ci pomóc. Warto to docenić.

– Mamo! – odparł Krzysztof równie delikatnie, co stanowczo. – Od każdej reguły są jakieś wyjątki. Od tej, dotyczącej twoich rad też. A dobrymi chęciami to wybrukowane jest piekło. W którym – dodał, patrząc Leokadii prosto w oczy – Róża wylądaje, kiedy już doszczętnie zniszczy mi życie i karierę. I tego jestem jakoś dziwnie pewny!

# ROZDZIAŁ IX

## WSPOMNIENIA

Przez ostatnie cztery miesiące Róża rzadko kiedy pozwalała sobie myśleć o swoim narzeczonym. Czytała książki, oglądała telewizję, godzinami szperała w czeluściach Internetu, byleby tylko nie otwierać w głowie skrytki, do której schowała wszystkie wspomnienia dotyczące Piotra Kryńskiego.

Teraz jednak postanowiła z całą świadomością do niej zajrzeć. Nie bez przyczyny. Było bowiem coś, co nie dawało jej spokoju, odkąd wczoraj oświetliła smartfonową komórką ramę obrazu „Śmierć zabierze płomień”. Żeby jednak sprawdzić słuszność swojego przeczucia, Krull musiała odświeżyć sobie to, o czym przez ostatnich ponad sto dwadzieścia dni próbowała zapomnieć.

Kolejne etapy jej znajomości z Piotrem Kryńskim, patologiem pracującym często na potrzeby warszawskiej policji, następowały po sobie w mgnieniu oka. Poznali się na przyjęciu zorganizowanym, zresztą z zamiarem zrobienia z nich pary, przez jej ówczesną agentkę, Betty, narzeczoną komisarza Darskiego, kolegującego się z lekarzem także poza godzinami służbowymi.

Przystojny, szarmancki, dowcipny doktor Piotr Kryński skradł jej serce jeszcze przed podaniem przystawek. W okolicach zupy Róża już w myślach zmieniała scenerie, w których wypowiada słowa: „Oczywiście, że się zgadzam!”, ostatecznie rezygnując z żalem ze szczytu wieży Eiffla oraz zachodzącego słońca na Akropolu, a decydując na księżycowy blask, oświetlający romantycznie wodospad Niagara. Musiała przy tym w zarodku zdusić w sobie obawę, że nie usłyszałyby tam oświadczyn, mimo że przypomniwała jej się ciotka, która twierdziła, że „woda leci tam tak ogłuszająco głośno, że jeszcze dwa miesiące po powrocie do kraju wiecznie wydawało jej się, że leje się z rezerwuaru i dwa razy bez sensu wezwała hydraulika”.

Przy daniu głównym Krull zaczęła wybierać Piotrowi garnitur ślubny, a przy deserze zastanawiała się, jakie imię dać pierwszemu dziecku. Po obiedzie dała się odwieźć do domu i zaprosić następnego dnia na spacer po najbardziej romantycznym miejscu w stolicy, czyli Łazienkach Królewskich. Przy czym trzeba dodać, że gdyby doktor zaprosił ją na obchód po praskich melinach, byłaby równie zachwycona. Wieczorem po powrocie ze spaceru zgodnie ze swoim zwyczajem

jem wzięła się do sporządzania listy zalet i wad swojego nowego znajomego, przy czym w tej drugiej rubryce wpisała tylko jedną rzecz, a mianowicie: „jest kumplem Darskiego”. Ostatecznie, mogła to jakoś przecierpieć...

Po mniej więcej dwóch tygodniach od pierwszego spotkania oraz tydzień po weekendzie spędzonym w całości w łóżku, Róża i Piotr zdecydowali się na pierwszy wspólny wyjazd. Wybrali jej ukochane SPA na Wzgórzach Dylewskich, gdzie przez trzy dni taplali się w luksusie i upajali jedynymi w swoim rodzaju mazurskimi krajobrazami. Przy okazji też zaczęli kreślić pierwsze wspólne plany. Ostatniego dnia pobytu Piotr zaprosił ją na dłuższe wakacje. Dopiero na lotnisku Róża dowiedziała się, że lecą do Jordanii. I to właśnie tam, w samym środku nocy, w oświetlonym blaskiem tysięcy świec, jednym z najpiękniejszych miejsc naszej planety, czyli w magicznej Petrze, Kryński poprosił Różę o rękę. Pisarka powiedziała: „tak!”, a następnego dnia nie było osoby, która nie zapytałaby jej, gdzie kupiła swój nowy, piękny pierścionek. Po powrocie do kraju oboje z Piotrem zaczęli przygotowania do ślubu...

Róża z trudem schowała do skrytki w głowie slajd z Petrą i wróciła do dnia poprzedzającego katastrofę, która wydarzyła się w miejsce uroczystości ślubnej i weselnych hulanków. Umówili się, że noc przed ślubem spędzą osobno, dając sobie ostatnie chwile wytchnienia przed planowanym zaraz potem wspólnym zamieszaniem. Co prawda, pomieszkowali już u siebie, ale teraz mieli to zrobić, nazwijmy to, pełnoetatowo. Był wieczór, kiedy porządkująca swoje biurko i dochodząca powoli do wniosku, że ma więcej papierów niż muzeum kartografii, Róża odebrała telefon od swojego, wtedy wciąż jeszcze narzeczonego.

– Mam dzisiaj dzień kompletnie do luzu – powiadomił ją Piotr, kiedy już wymienili wstępne serdeczności. – Teoretycznie powinienem mieć już wolne, a praktycznie spędzę jeszcze najbliższe godziny z truposzami.

– Oni chyba nie są zbyt absorbujący. – Róża się zaśmiała.

– Niby nie, ale jakoś ich dzisiaj wyjątkowo wielu – westchnął Piotr. – Jednego przywieźli niedawno w takim stanie, że szkoda gadać. Jechał na lotnisko, widać spóźniony, bo gazował tak, że jak wpadł na autobus, to nawet nie było co zbierać. Bez sensu. Właśnie próbuję go poskładać.

– Chcesz powiedzieć, że rozmawiasz ze mną i grzebiesz w nieboszczyku? – Róża nie pierwszy raz poczuła, że jej przysły mąż zawód ma taki trochę bardziej upiorny.

– Tak jakby – odpowiedział Piotr. – Obiecałem prokuratorowi, że to zrobię jeszcze przed podróżą poślubną – nawet w telefonie było słychać, że się uśmiechnął do tej myśli. – Właśnie wyskoczył po kawę, więc korzystam i dzwonię do cie-

bie. Poczekaj, muszę mu schować bebechy, bo kierownica mu się wbiła w jamę brzuszną tak głęboko, że zrobiła jedną wielką dziurę, z której, jak go wycięli z auta, wszystko się wylało.

– Nie, żeby nie zrobiło mi się teraz niedobrze – powiadomiła go Róża.

– To przypadkiem nie ty mówiłaś, że aby się swobodnie i spokojnie zmieścić w suknię ślubną, powinnaś od tygodnia brać środki wymiotne? – zapytał tonem niewinnego zaciekawienia Kryński. – Ja ci tylko ułatwiam osiągnięcie celu i to bez niebezpieczeństwa zrujnowania sobie wątroby i żołądka.

– Wielkie dzięki – mruknęła Krull.

– A przy okazji żołądka, powiem ci, że odkryłem u tego nieboszczyka coś dziwnego. – Piotr zniżył głos. – Zdaje się, że próbował coś... – w tym momencie połączenie zakłóciły jakieś trzaski.

– Piotr, nie rozumiem, co mówisz! – krzyknęła. – Możesz powtórzyć?

– ... ielony... z takim nieb... – Patolog najwyraźniej ani jej nie usłyszał, ani nie był świadomy, że jego słowa trudno zrozumieć – w kształcie muchy... albo jakiegos... Nigdy nie widzi... i jeszcze czerwona obwód... połkn... ludzie... głup... sły...

Róża usiłowała przedrzeć się przez charkoty wydawane przez głośnik telefonu, ale zdała sobie sprawę, że połączenie jest już jednostronne i Piotr nie słyszy tego, co usiłuje mu przekazać. Z rezygnacją dotknęła palcem czerwonej ikonki przerwania rozmowy, po czym spróbowała od razu wybrać ponownie numer do ukochanego. Bezskutecznie. „Abonent, do którego dzwonisz, jest w tym momencie niedostępny”, powiadomił ją żeńskim głosem automat. Krull odczekała moment, po czym ponowiła próbę skomunikowania się z narzeczonym. I znów bez żadnego efektu. „Abonent, do którego dzwonisz, jest w tym momencie niedostępny”. Szlag by to!

Róża była w sumie przyzwyczajona do takiego stanu rzeczy i wiedziała, że zasięg w prosektorium na Oczki jest symboliczny. Wróciła spokojnie do porządkowania biurka, licząc na to, że gdy najcudowniejszy na świecie patolog skończy pracę, to do niej oddzwoni. Potem przyszły do niej Miłka, Betty i jeszcze trzy inne przyjaciółki, trochę nadużyły trunków wysokokowych i w sumie rozmowa z Piotrem, tudzież on sam poszli w zapomnienie. Obudziwszy się rano z kacem gigantem i uświadomiwszy, że jest już wszędzie spóźniona, Róża nie zadzwoniła nawet do niego, a jedynie wysłała mu wiadomość na Messengerze o dość dramatycznej treści: „Fryzjer mnie, kurwa, zabije!”, dochodząc do wniosku, że i tak spotka ukochanego za trzy godziny w urzędzie stanu cywilnego. Jak się okazało, nic takiego nie nastąpiło, a Kryński zapadł się pod ziemię.

Róża rzecz jasna powtórzyła Darskiemu cztery miesiące temu treść nocnej rozmowy z Piotrem. Komisarz zapewnił ją jednak, że nie miała ona nic wspólnego z jego zaginięciem. Sekcja zwłok owego nieszczęśnika pędzącego audi na lotnisko została przez Piotra dokończona, wstępny protokół spisany, a zwłoki grzecznie schowane do lodówki. Wstępne sprawozdanie Kryńskiego nie zawierało żadnych krew w żyłach mrozących wiadomości, nie było też tam ani słowa o tym, o czym starał się powiedzieć Róży. Wszystko to potwierdził prokurator, który, co prawda, przyznał się Darskiemu poza protokołem, że ze względu na późną godzinę, wyszedł z sekcji w jej połowie, bo i tak nic ciekawego nie mogło z niej wynikać. Ot, typowy wypadek kierowcy z tendencjami do samobójczej jazdy. Ten trop prowadził dokładnie donikąd. Krull wierzyła w to jeszcze do wczoraj.

Teraz jednak przestała.

Siedziała na fotelu i wpatrywała się jak zahipnotyzowana w leżący przed nią niewielki kamień. Poprzedniej nocy oświetliła go swoją komórką, a przed chwilą wypadł jej z kieszeni, kiedy wkładała do walizki spodnie, które miała na sobie, kiedy wchodziła, pardon, wlatywała się do kościoła. Nie miała pojęcia, jakim sposobem się tam znalazł. Najpewniej, kiedy traciła równowagę, musiała uderzyć komórką w ramę i przypadkiem wyłamać go z niej. To, że kamień wpadł do jej kieszeni i że tego w ogóle nie poczuła, należało z kolei zaliczyć do kategorii cudów. Tym bardziej, wzięwszy pod uwagę, jak ów skarb wyglądał.

Klejnot, najpewniej szmaragd, bo tylko one mają tak intensywnie zieloną, głęboką i nieco chłodną barwę, pośrodku miał dziwną niebieską plamę w kształcie kojarzącym się z muchą. Jakby tego było mało, po jego owalu dokoła biegła niczym cienka wstążka czerwonawa obwódka.

Róża doskonale wiedziała, że powinna ostrożnie i najlepiej w rękawiczkach zapakować ów szmaragd w torebkę foliową, a następnie zanieść go prosto do Darskiego. W głębi duszy jednak czuła, że nie bez powodu wpadł on właśnie do jej kieszeni. Z jednej strony, starając się być racjonalistką, Krull wierzyła, że są kwestie, które nie dają się objąć rozumem, a jeśli już się zdarzają, to trzeba wtedy kierować się sercem i intuicją. Ta zaś mówiła jej, że oto dostała znak od losu, aby sama zajęła się wyjaśnieniem tajemnicy szmaragdu. O ile rzecz jasna w ogóle był to właśnie ten klejnot.

Krull sięgnęła po komórkę i użyła swojej aplikacji identyfikującej kamienie. Ta poinformowała ją uprzejmie, że ma przed sobą zwykle szkło z dodatkiem plastiku. Róża zeskanowała kamień raz jeszcze, ale komunikat się nie zmienił. Dziwne...

– I czemu wpatrujesz się w to szkiełko jak kura w kreskę przed dziobem? – Głos Miłki sprawił, że serce Róży nagle znalazło się w okolicach przełyku.

– Co straszysz ludzi? – zapytała z wyrzutem, po czym popatrzyła na przyjaciółkę podejrzliwie. – Skąd wiesz, że to szkiełko?

– Bo stoję za tobą od minuty, głucha pejo i widziałam, co ci się wyświetliło na ekranie – przyznała bez cienia skruchy Wężowska. – Liczyłaś na to, że to szmaragd? Skąd w ogóle to masz?

O ile Darskiemu na to pytanie by pewnie nie odpowiedziała, przynajmniej na razie, o tyle przed wyjawieniem prawdy Miłce Róża nie miała żadnych oporów. Przyjaźniły się od lat, przeżyły razem kilka mrozących krew w żyłach przygód i tyle razy udowodniły sobie wzajemną lojalność, że i teraz Krull nie musiała się o nic lękać. W kilku zdaniach streściła pisarce tok swojego myślenia od chwili, kiedy kamień wypadł z kieszeni jej spodni.

– Naprawdę myślisz, że to ten sam? – Wężowska podeszła do stolika, pochyliła się i przez moment sprawiała takie wrażenie, jakby chciała obwąchać lipny szmaragd. – Ten, o którym mówił...

– ...Piotr – dokończyła spokojnie Róża, po czym, patrząc na zdziwioną twarz przyjaciółki, dodała: – Wystarczy już tego traktowania mnie jak psychicznie nie-zrównoważonej. Kiedy teraz wróciłam pamięcią do tamtych chwil, uświadomiłam sobie coś... Coś straszego...

Po kilkudziesięciu sekundach ciszy Miłka nie wytrzymała.

– Zamierzasz jeszcze coś dodać? – zapytała, wydawszy z siebie przedtem jakieś dziwne pufnięcie. – Bo usiłowałam wstrzymać oddech i byłabym się udusiła.

– Nie wiem, jak mam to powiedzieć – przyznała Róża. – Tak pomyślałam... Cztery miesiące przeżywałam żalobę po tym, co trwało połowę tego czasu. To przecież totalnie popieprzone. Przecież myśmy się nawet za dobrze nie poznali. Byliśmy na dwóch wyjazdach, jedliśmy razem posiłki, nocowaliśmy czasem u siebie, uprawialiśmy seks... Bardzo udany seks... Nawet bardzo, bardzo udany seks...

– Skup się! – rozkazała Miłka. – Bo nadal nie wiem, do czego zmierzasz...

– Tak naprawdę nie wiem, czy to była miłość – wyznała cicho Róża. – Na pewno byliśmy sobą zauroczeni, ale miłość to chyba coś więcej. Nie tylko motyle w brzuchu. To umiejętność przeżywania razem porażek, przechodzenia przez ciężkie sytuacje, spędzania dni, które niekoniecznie muszą być jak święta. A wszystkie nasze właśnie takie były. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby dopadła nas tak zwana szara codzienność...

– W twoim przypadku ona nigdy nie jest szara – osądziła z pełnym przekonaniem Miłka. – Nie znam nikogo, kto miałby większy dar jej kolorowania...

– Ale ostatnio była nawet nie szara, tylko czarna – westchnęła Krull. – I niby w imię czego? Czegoś, co mogło się udać, ale wcale nie musiało? Co takiego się stało, że nagle uznałam, że to był jeden jedyny dobry dla mnie scenariusz i innego już nie ma? Przecież to nigdy nie był mój tok myślenia.

– Nieśmiało tylko zaznaczę, że wszyscy się nad tym zastanawialiśmy – przyznała Miłka. – Oczywiście, szanowaliśmy twój smutek, ale też uważaliśmy, że trochę przesadzasz. I wydaje nam się... To znaczy, nie chcę go wkopywać, ale to teoria Pepe, że gdyby nie fakt, że Piotr zaginął i nie wiadomo, co się z nim dzieje, nie wpadłabyś w taki stan. To znaczy, gdyby na przykład nie przyszedł na ślub i wysłał ci SMS-a, że się rozmyślił.

– Wtedy bym go po prostu zabiła – oświadczyła z głębokim przekonaniem Róża. – Ale w sumie wiem, o co Pepe chodzi...

– Tak ogólnie to nam – poprawiła Miłka – bo my się z tą jego teorią zgadzamy. I jeszcze jedno... Pepe powiedział, że jeśli nawet Piotr jakimś cudem się odnajdzie, to wcale nie wiadomo, czy będziecie parą. W sumie z tym też się zgadzam...

Choć mówiąc te słowa, Miłka spodziewała się protestu Róży, ta, ku jej zaskoczeniu, przez długi moment milczała.

– Najważniejsze, żeby się odnalazł – rzekła w końcu. – A co będzie potem, to się okaże.

– Jasne – zgodziła się jej przyjaciółka. – To co robisz z tym trefnym szmaragdem? Idziesz do Darskiego?

– Powinnam, prawda? – zapytała Krull, krzywiąc się kwaśno.

– Owszem, powinnaś – zaśmiała się Wężowska – ale przecież obie wiemy, że tego nie zrobisz. Pytanie tylko, co planujesz?

– Jak to co? – zdziwiła się Róża. – Wrócić do kościoła. Intuicja mówi mi, że kryje on jeszcze jakąś tajemnicę.

– Ale jak chcesz tam wrócić? Przecież zamknęli go na głucho i zabrali klucz.

Twarz Krull rozjaśnił uśmiech.

– Owszem, ten do głównych drzwi – oznajmiła triumfalnie. – Ale tam jest jeszcze jedno, małe, boczne wejście. Kiedy zwiedzałyśmy kościół, zobaczyłam, że w zamku do znajdujących się tam drzwi od środka tkwi kluczyk. Pomyślałam, że a nuż się przyda i... – sięgnęła do torebki – ...voilà! Możemy tam wejść, kiedy tylko będziemy chcieli.

– My... – mruknęła Miłka – to zobaczysz, skończymy kiedyś w jednej celi.



– Oby tylko...

– Zaraz! Nie dałaś mi dokończyć. W jednej celi... albo w jednym grobie – rzekła Miłka – po tym, jak Darski w końcu nas obie zabije...

\*\*\*

Podkomisarz Dariusz Romanek z nieskrywanym zachwytem przywitał się z Darskim. Kiedy pięć lat wcześniej prowadzili wspólnie śledztwo w sprawie trupa znalezionej w Morderczym w jednym z domów pod choinką, zakumplowali się i przez ten cały czas, gdy tylko Krzysztof odwiedzał rodzinne strony, albo też Dariusz miał coś do załatwienia w stolicy, wyskakiwali razem na piwo. Przy czym Romanek zawsze miał wrażenie, że spotyka swojego największego idola.

– Znowu zima, znowu morderstwo – rzekł na powitanie z takim entuzjazmem, jakby sam je popełnił, żeby tylko sprawić Darskiemu przyjemność. – I znowu przyjdzie nam zjednoczyć siły!

– Dobrze, że po drodze trafiło się kilka lat spokoju – mruknął Krzysztof, bynajmniej nie dzielając radości swojego kumpla.

– Wiedziałem od twoich ludzi, że przyjedziesz tu w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa Raczyńskiego i nigdy bym nie przypuszczał, że zanim się tu pojawisz, wydarzy się druga zbrodnia – westchnął Romanek. – Paskudna.

– Jakieś pierwsze ustalenia?

– Ksiądz Jan został zaatakowany od tyłu. Nożem. Zdaniem specja z Torunia, napastnik musiał być dość silny. Wynika to z położenia i głębokości rany. Ksiądz nie miał szans. Prawdopodobnie umarł w ciągu kilkudziesięciu sekund.

– Opowiesz mi coś o nim...

– A co? – zdziwił się Romanek. – Nie pamiętasz go z młodości?

– Kiedy tutaj mieszkałem, wszystkim trząsał stary proboszcz – przypominał Darski – a Jan dopiero się wdrażał, żeby przejąć po nim parafię.

– No tak – zgodził się Dariusz. – Ciągle zapominam, że jest między nami pewna różnica wieku. Ksiądz Jan był bardzo przyzwoitym facetem. Nie mieszał się do polityki, nigdy w czasie kazań nie nawiązywał do żadnych bieżących awantur. Nie czytał też wiernym listów biskupich, mówił tylko, że znowu jakiś napisali i jeśli ktoś chce poczytać, to on chętnie udostępni. Nawet nie potępił bab, które od nas pojechały do Warszawy na demonstrację z czerwonymi błyskawicami. A jak od dzieciaków dostał na dzień nauczyciela tęczowe skarpetki, to je nosił przez cały czerwiec i podkreślał wszystkim, którzy o to pytali, że jest z tego dumny. Wszyscy go tu lubili. Dużo osób miało mu coś do zawdzięczenia. Starego

Wojdaka posłał na odwyk, córce Klecińskiej ułatwił zdobycie stypendium we Włoszech, a Czubajowej podżyrował kredyt na remont tej jej „Morderczej stacji”. A, i jeszcze młodego Raczyńskiego zaprowadził do Stasziców, którzy potem traktowali go jak drugiego syna, jeśli nie lepiej.

– Czyli w sumie do rany przyłóż? – upewnił się Darski. – Żadnych wrogów?

– Nie – odpowiedział Romanek. – A przynajmniej ja nie umiałbym takich wskazać.

– Ale jednak ktoś pozbawił go życia...

– Przyjąłbym teorię, że przez przypadek, ale księdza trudno pomylić z kimś innym. Rozmyślałem jeszcze nad tym, czy Jan nie przyłapał kogoś na przykład na próbie kradzieży, ale w tej remizie, to znaczy w nowym kościele, trudno znaleźć coś wartego wyniesienia. Wiszące tam obrazy są ładne, ale to podobno nic szczególnego i w dodatku nieznanego autora.

– Co w takim razie wydaje ci się najlepszym motywem?

– Chyba powiązanie tych dwóch morderstw. Może Raczyńskiego zamordował ktoś stąd, kto poszedł się wypowiedać do księdza, a potem wpadł w panikę, że ten doniesie jednak na policję i pozbawił go życia.

– Naciągane – skrzywił się Darski. – Przecież powszechnie wiadomo, że żaden szanujący się ksiądz nie zaryzykuje takiego grzechu. A w świetle tego, co o nim opowiadasz, to już na pewno nie nasza ofiara.

– No to już sam nie wiem... – przyznał Romanek nieco bezradnie. – Świadców zero. Nikt w tym czasie nie przechodził obok kościoła. Ten, który znalazł zwłoki... – zajrzał do papierów, ale Darski go ubiegł.

– Paweł Kwiatek – odpowiedział z kwaśną miną – agent Róży Krull...

– No tak – potaknął Romanek. – Więc ten Kwiatek najpierw szukał księdza Jana w jego mieszkaniu. Dostał tam informację od gospodyni, że ktoś wcześniej zadzwonił i chciał się z wielbnym spotkać w kościele. Sprawdziliśmy to już. Owszem, było połączenie. Numer należący do nikogo.

– Słucham? – zdumiał się Darski. – Jak to do nikogo? Haker?

– Niestety – westchnął Romanek. – Nie wiem, jak to w ogóle możliwe, ale numer zarejestrowany jest jako zagraniczny, z Republiki Południowej Afryki w dodatku, a jak próbujesz go wybrać, to słyszysz informację, że w ogóle nie istnieje.

– Niech to szlag... Czyli morderca jest nie w ciemni bity...

– Zdecydowanie nie. I chciałem ci jeszcze...

Romanek nie dokończył, bo gdzieś niezbyt daleko rozległ się gniewny okrzyk. Najpierw jeden, a następnie cała ich seria. Zanim którykolwiek z policjantów

zdażył zareagować, do gabinetu Romanka weszła bez pukania, nieco zziębiona i mocno czerwona na twarzy posturkowała Malina Kubiak.

– Szefie – wydyszała. – Jest tu jedna pani z Warszawy. Powiedziała jej, że szef ma teraz naradę i nie może jej przyjąć, na co ona zapytała, czy nie wiem, kim jest. A gdy odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, to dostała ataku furii i zaczęła mnie straszyć swoimi znajomościami. Tyle że ja nic z tego nie rozumiem. Kto to, do jasnej Anielki, jest Julia Wieniawa?

– Aktorka – odpowiedział Darski, zanim zdołał się pohamować. – Młoda. Popularna.

– Tych młodych to ja już kompletnie nie rozpoznaję – przyznała Malina. – W każdym razie ta pani chce się koniecznie zobaczyć z szefem. To co? Mogę...

– Zejdź mi z drogi, witch! – rozległo się tuż za nią. – Muszę się koniecznie teraz zobaczyć z detektywem!

– Szefie? – Widać było, że w razie rozkazu Romanka, Kubiak gotowa jest bronić jego spokoju każdym możliwym sposobem, łącznie z użyciem pałki i gazu łzawiącego.

– Niech wejdzie – mruknął z rezygnacją Dariusz. – Kimkolwiek by była.

Malina odsunęła się od drzwi, wpuszczając tym samym do pokoju Patti Garnicky.

– Który z panów jest tu more *important*? – celebrytka popatrzyła najpierw na Romanka, a potem na Darskiego, na którego widok wydała pełen ekscytacji okrzyk: – O, wow! Czy ktoś już panu mówił, że wygląda pan, jak ten *famous Hollywood star*? Zapomniałam, jak się nazywa. Ten, co jest *gay*, ma *old husband* i *three kids*?

– Matt Bomer – odpowiedział Darski, przyzwyczajony do porównań z gwiazdorem serialu „Biały kołnierzyk”, bo też i faktycznie wyglądali, jakby byli bliźniętami.

– Dokładnie! – ucieszyła się Garnicky. – Pan też jest *gay*?

Darski przelotnie zastanowił się, czy owo pytanie dałoby się podciągnąć pod obrazę funkcjonariusza w czasie pełnienia obowiązków służbowych, a następnie, zawstydzony się tej myśli, szybko odpowiedział.

– Nie, nie jestem. Choć nie mam nic przeciwko gejom.

– Jasne, jasne. – Patti skwapliwie pokiwała głową. – Zapytałam, bo prawie wszyscy *cute men* są *gays*. A poza tym, *I love gays*! Uwielbiam chodzić z nimi na *shopping*. Jak raz poszłam z moim *husband*, to doradził mi się ubrać w coś, co potem okazało się *work suit dla transsexual prostitutes*! Tylko prawdziwy *gay* potrafi

odpowiednio doradzić kobiecie i co do ubioru, i co do fryzury, o *make-up* nie wspominając.

Darski kompletnie nie widział, jak zareagować na tę wypowiedź, ale Patti na szczęście nie spodziewała się żadnego komentarza.

– Przyszłam tu, żeby złożyć *statement* – rzekła, wracając spojrzeniem do Romanka – że nie zabiłam tego *boya* w stolicy.

– A ktoś mówi, że pani zabiła?! – zdumiał się niepomiernie podkomisarz.

– Owszem, ten *asshole!* – Garnicky znów zaczęła tracić panowanie nad sobą, choć nie na tyle, by wyjść z roli amerykańskiej zranionej na opinii gwiazdki. – Gozdyra! Szantażuje mnie, że ma *knife or dagger*, którym przebiłam tego *boya*. To wszystko *bullshit!* Nie dam mu się szantażować! Nigdy!

– Chwila, spokojnie – poprosił Darski. – Niech pani usiądzie i może zacznie to opowiadać jakoś od początku...

– Trudno mi się uspokoić – oświadczyła Patti dramatycznym tonem, ale zgodnie z prośbą komisarza usiadła na wskazanym przez niego krześle. – Razem z moim *husband* chcieliśmy założyć *big gallery* w Polsce, żeby było czym się chwalić przed *tourists*.

– Bardzo przepraszam – przerwał jej Romanek. – Wiem, że wyjechała pani z kraju cztery lata temu i jakby się pani teraz nie starała, nie uwierzę, że przestała pani aż tak bardzo znać rodzimą mowę, żeby wtrącać co i rusz jakieś angielskie słowo. W końcu najpierw spędziła pani w Polsce dwadzieścia dziewięć lat...

– Jak pan śmie! – Patti zerwała się z krzesła. – Sugeruje pan, że mam trzydzieści trzy lata?! To jest potwarz!

– A ile pani ma? – zdziwił się Romanek, który na widok furii na twarzy celebrytki stracił odrobinę pewność, że w podstawówce dobrze nauczonego go dodawać.

– Dwadzie... – zaczęła Garnicky, ale uświadomiwszy sobie, że być może zaraz zostanie wylegitymowana, szybko się poprawiła: – Trzydzieści dwa i osiem miesięcy!

– I te cztery miesiące robią pani taką różnicę? – Na twarzy Darskiego pojawił się ironiczny uśmiešek.

– Ogromną! Jak każdej kobiecie! – Patti wygłosiła to wciąż jeszcze podniesionym tonem, ale z powrotem usiadła na krześle. – A co do polskiego, ma pan rację. Nic nie zapomniałam. Ale ludzie oczekują ode mnie takich dziwactw. Muszę być charakterystyczna, żeby zostać przez nich zapamiętana.

– Teraz jednak nie udziela pani wywiadu Sensatkowi, tylko składa zeznania – przypomniał jej Romanek. – Mam nadzieję, że rozumie pani różnicę.

– Oczywiście – westchnęła Patti.

– Więc proszę jeszcze raz od początku i po polsku – bardziej rozkazał niż poprosił podkomisarz, dumny, że udało mu się popisać stanowczością przed Darskim.

– Ja i mój mąż... To znaczy ciągle jeszcze formalnie narzeczony, ale już się przyzwyczaiłam tytułować go mężem, a nawet wymyśliłam nasz ślub. Oczywiście lipny – Garnicky postanowiła wygłosić tylko tyle kłamstw, ile potrzeba, i najlepiej takich, których nie można było szybko sprawdzić. Kwestię jej zamążpójścia szło zweryfikować błyskawicznie. – Otóż połączył nas pewien... Jakby to nazwać? Układ biznesowy?

– Jaki? – zaciekawiał się Darski.

– Widzi pan... – Patti przez moment zastanawiała się, jak zeznawać, aby jak najwięcej zwalić na tego gnoma, który kilkadziesiąt minut wcześniej na wieść, że nie dostanie swojego upragnionego skarbu, oświadczył, że z nią zrywa i że jak dla niego może ona „wrócić do tego samego burdelu, z którego ją wyciągnął”. – Rodzina mojego męża pochodzi z Polski. Konkretnie jego dziadkowie. Mieszkali w Toruniu. W czasie wojny otrzymali od swoich krakowskich przyjaciół, wcześniej pracowników Wawelu, którzy na wieść o jej wybuchu zajęli się ratowaniem przed rabunkiem dzieł sztuki znajdujących się w tym muzeum, obraz o tytule „Śmierć zabierze płomień”. Sami bali się go ukryć, bo byli Żydami. W efekcie końcowym okazało się, że mieli rację, bo zginęli na Majdanku, a dziadkowie mojego narzeczonego spokojnie przechowali obraz przez całą wojnę w swojej toruńskiej kamienicy.

Wbrew staraniom obu policjantom nie udało się ukryć emocji.

– Widzę, że dzieło to jest panom znane – zauważyła Garnicky. – Po wojnie dziadkowie wyemigrowali do Stanów. Nic dziwnego, bo byli pochodzenia szlacheckiego. Jednak zanim wyjechali, oddali obraz do Muzeum Narodowego. Mój narzeczony uważał, że zrobili błąd i że powinni byli go zabrać ze sobą. Miał na punkcie tego obrazu prawdziwą obsesję. Przez lata próbował go odzyskać legalnie. No, może nie do końca legalnie... Sfałszował dokumenty. Z tych lipnych wynikało, że przed wojną jego dziadkowie dostali owo dzieło nie na przechowanie, ale na własność, jako darowiznę. Podrobił też testament swojego dziadka i dodał tam punkt, że „Śmierć zabierze płomień” powinna trafić w jego ręce jako spadek. Pisał w tej sprawie przez kilkanaście lat do wszystkich tutejszych oficjeli, ale ci za

każdym razem go lekceważyli. Zrozumiał, że taką drogą nic nie wskóra, i postanowił obraz po prostu ukraść. Tyle że nie mógł tego zrobić sam...

– Czemu? – zdziwił się Romanek.

– On jest bardzo przesądny – tłumaczyła Patti cierpliwie – a na łożu śmierci jego babcia powiedziała, że przeklina każdego członka ich rodziny, którego stopa postanie w Polsce, kraju, któremu tyle poświęciła, a który w zamian zmusił ją, aby przeniosła się do Ameryki, której nie znosi.

– Aha, czyli pani narzeczony wierzy w działanie klątwy, ale nie boi się podrabiać testamentów swoich przodków – zauważył z ironią Darski. – Bardzo ciekawe podejście do życia...

– Mój narzeczony w ogóle jest dość ciekawym charakterologicznie typem – zgodziła się Patti. – Kiedy mnie poznał, doszedł do wniosku, że mogę mu pomóc. Zawarliśmy układ. On obiecał się ze mną ożenić, a ja w zamian miałam zdobyć dla niego, i to wszelkimi sposobami, upragniony obraz. Kiedy jednak przyjechałam na miejsce, zorientowałam się, że panuje tu ogromne zamieszanie, wynikające z tego, że już wcześniej mój narzeczony próbował za pośrednictwem innej osoby wykraść ten obraz z muzeum. Tam zrobiono jakiś szacher-macher i nikt już w sumie nie wiedział, gdzie znajduje się oryginał, a gdzie jego kopia. Musiałam przede wszystkim ustalić właśnie to...

– I jak się pani do tego zabrała? – zapytał Darski.

– Najpierw... – zaczęła Patti, ale w tym momencie w budynku komendy rozległ się dźwięk syreny alarmowej, zagłuszając dalsze słowa, wygłaszane przez celebrytkę.

– Co do licha...? – zdziwił się Romanek.

– Szefie – do pokoju zajrzała Malina – chyba mamy pożar...

– Gdzie?

– Wydaje mi się, że w archiwum...

– Chwila... – Wstał i skierował się w kierunku wyjścia. – Wybaczcie mi. Sprawdź, co tam się dzieje, i wróć tak szybko, jak się da...

Darski odprowadził go wzrokiem, a następnie spojrzął na Patti. Celebrytka miała dziwnie wystraszony wyraz twarzy i wpatrywała się z wyraźnym napięciem w jakiś punkt za plecami komisarza. Krzysztof odwrócił się i zrozumiał, że Garnicky wpatruje się w okno. Tyle że sam nie dostrzegł za nim nic, co mogłoby wywołać uczucie strachu. Ot, kilka ośnieżonych drzew, jedna ławka, dwa zaparkowane przed komendą policyjne wozy i jego własne auto. Nic groźnego.

Alarm przestał wyc. Po chwili do gabinetu wrócił Romanek.

– Fałszywy alarm – poinformował, siadając na swoim miejscu. – Jarało się w koszu na śmieci przy archiwum. Niedopałek papierosa. Widocznie posterunkowy Głaziak znowu nie zgasił peta. Trzeba go będzie zdyscyplinować kolejną rozmową oraz wręczyć mu plastry antynikotynowe. Wróćmy do pani opowieści. Na czym pani skończyła?

Patti nie kwapiła się z odpowiedzią.

– Na tym, że musiała pani ustalić, gdzie znajduje się oryginał obrazu, który chciał dostać pani narzeczonego – podpowiedział uprzejmie Darski.

– Słucham? – Jeszcze kilka minut temu pewna siebie Patti, teraz zdawała się dość rozkojarzona. – A tak, oryginał... No cóż... Tak, to było trudne...

– Widzę, że zgubiła pani wątek... – zauważył Darski, siłąc się, by w jego głosie zabrzmiała życzliwość, a nie podejrzliwość. – Coś się stało?

– Nie... Ja... – Patti nie patrzyła w oczy ani jemu, ani Romankowi. – No cóż... Złożyłam, że oryginał znajduje się tutaj i postanowiłam go ukraść. Nie wiedziałam jednak, że mój narzeczonego zatrudnił mi anioła stróża. Dowiedziałam się tego dopiero jakiś czas temu.

– Rozumiem, że tym aniołem stróżem był pan Gozdyra – rzekł Darski.

– Tak – potwierdziła Patti już nieco bardziej pewnym głosem. – Spotkali się na jakiejś imprezie polonijnej, zanim jeszcze mój narzeczonego poznał mnie. Po którymś tam piwie zaczęli rozmawiać o kradzieży obrazu, ale Arek był zbyt dużym cykorem. Pomagać, owszem, mógł, ale żeby samemu wykonać to od a do zet, o, co to, to nie! Kiedy jednak przyleciałam do Polski, skontaktował się ze mną i powiedział, że mój narzeczonego poprosił go, aby służył mi każdą pomocą.

– Czegóż znowu nie rozumiem – rzekł z niezadowoleniem Romanek. – Skoro przyjechała pani tutaj, żeby, jak rozumiem po cichu, ukraść dzieło sztuki, to po jakiego diabła była pani ta cała medialna szopka? Te wszystkie wywiady? Pozowania na ściankach?

– Nigdy tak do końca nie zakładałam, że ta kradzież może się udać – wyjaśniła Patti – a dzięki mojej kreatywności, znajomościom medialnym Arka i naiwności polskich dziennikarzy piszących o show-biznesie mogłam powoli zacząć sobie tworzyć i realizować plan alternatywny. Jak widać, słusznie. Właśnie dostałam zaproszenie do Tańca z Gwiazdami. Wystarczyło tylko nazmyślać kilka hollywoodzkich historyjek, dorobić sobie sztuczny akcent, używać anglicyzmów, pleść non stop androny i wypożyczyć parę kreacji. A już kiedy zaczęłam głosić, że razem z mężem chcemy zainwestować w galerię sztuki w Polsce i to taką ogromną, coś à la muzeum d'Orsay w Paryżu, to żurnaliści po prostu zaczęli jeść mi z ręki. Nawet ci z wydawałoby się poważnych mediów. Mały koszt, spektakularny efekt.

– No dobrze... – Darski pomyślał, że rodzimy show-biznes w pełni zasługuje na takie Garnicky'e i to w ilościach hurtowych. – Przyszła pani jednak na komisariat, żeby powiedzieć, że nie zabiła Kamila Raczyńskiego, o co niby oskarża panią pan Gozdyra...

– Nie wiem, skąd ubzdurał mu się taki idiotyzm – prychnęła wściekle Patti, wracając do zasadniczego tematu. – Oczywiście, ten chłopak widział mnie, kiedy przejechałam tu poprzednim razem na rekonesans. Śledził każdy mój krok. Wiedział, że interesuję się kościołem, ale z tego, co zdążyłam się zorientować, był zupełnie niegroźny. Wszyscy uważali go za fantastę. Mówili, że zmyśla równie często, co mówi prawdę. Nikt by mu nie uwierzył...

– Jednak dla kogoś był na tyle groźny, że pozbawił go życia – zauważył Darski.

– Ale nie dla mnie! – Patti podniosła głos. – Po co miałabym zabijać kogoś, kogo wszyscy dokoła uważali za żart?! Bo powiedziała by komuś, że postanowiłam ukraść obraz z jakiegoś małomiasteczkowego kościółka?! Przecież to niedorzeczne. Arkadiusz twierdzi, że ma nóż, którym niby zasztyletowałam tego Kamila. Żądam, żeby natychmiast mu go skonfiskować i oddać do ekspertyzy. Jestem pewna, że nie ma na nim moich odcisków palców. A poza tym...

– Moment – Darski przerwał jej wypowiedzianą coraz bardziej głośnie i nerwowym tonem przemowę. – Czy pamięta pani wywiad, którego udzieliła pani tuż przed zabójstwem Kamila?

Patti zmarszczyła brwi.

– Jak przez mgłę – odpowiedziała ostrożnie. – Czemu pan pyta?

– Czy umiałaby pani opisać dziennikarza, który go przeprowadzał?

– Chwila... – Garnicky zamknęła na moment oczy. – Mniej więcej mojego wzrostu. Szatyn. Choć nie... Raczej coś na pograniczu ciemnego blondyna a szatyna. Wąskie usta. Taki trochę skrzywiony w prawą stronę nos.

– Coś bardziej charakterystycznego? – poprosił Darski. – Rzecz jasna, później usiądzie pani z naszym technikiem do sporządzenia portretu pamięciowego, ale na razie byłbym wdzięczy, gdyby jeszcze poszperała pani w pamięci...

– Seplenił odrobinę – przypomniała sobie Patti. – Aaaa, wiem! Miał szramę na brodzie. Zauważyłam ją i zapamiętałam, bo mój przyjaciel z dzieciństwa miał podobną po wypadku na rowerze.

– No, to już coś... – mruknął Darski. – Rozumiem, że w razie co rozpoznalaby go pani?

– Po tej szramie na pewno – przytaknęła Garnicky. – To co? Czy mogę liczyć na to, że odwiedzicie tego oślizgłego szczura i przekonacie go, że nie jestem mordczynią?



– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby udowodnić pani niewinność – zapewnił Darski z dwuznacznym uśmiechem. – O ile, rzecz jasna, naprawdę jest pani niewinna!

# ROZDZIAŁ X

## TAJEMNICA KOŚCIOŁA

Przedzierająca się przez kolejną zaspę Róża odwróciła się i popatrzyła na idącą za nią Miłkę z wyraźnym wyrzutem.

– Naprawdę musiałś brać ze sobą wałowę? – zapytała gniewnie, wskazując wymownie na wypchaną torbę na ramieniu przyjaciółki. – Przecież nie spędzimy tam całej nocy.

– Z tobą to nigdy nie wiadomo – mruknęła Wężowska. – Zaraz się okaże, że tam na miejscu policja zastawiła jakąś pułapkę i wpadniemy w nią my zamiast złoczyńców. Darski nas zamknie i wtedy sama mi podziękujesz, że zabrałam ze sobą coś do przekąszenia.

– Nie ja, tylko wszyscy policjanci na komendzie, którzy się tym pożywią, bo bądź pewna, że jeśli nas złapią, to ci te bochny, smalce, pasztety i ogóry od razu radośnie odbiorą i sami zjedzą na kolację. A tak ogólnie, to zdajesz sobie sprawę, że teraz już się ludzi nie zamyka o chlebie i wodzie? – zapytała złośliwie Róża, wracając do pokonywania zasy. – Czemu ten śnieg tak kotłuje?

– Bo jest grudzień! – zauważyła trzeźwo Miłka. – Nie zachowuj się jak ci spece od odśnieżania. Kiedykolwiek by coś spadło, nieważne, czy to początek grudnia, czy koniec lutego, to oni zawsze są zaskoczeni. Niebotycznie!

– Niebotycznie to będzie zaraz, jak się okaże, że zasypało furtkę – zapowiedziała złowieszczu Krull – albo że ktoś ją zamknął. Choć z tego, co mówiła Jola, klucz do niej zaginał jeszcze pewnie za czasów założycielki miasta.

– Przez Mario sama zaczęłam nazywać ją w myślach Pudzianem – westchnęła Miłka. – Swoją drogą, masz rację. Ile tego jest? Dwadzieścia centymetrów? Trzydzieści? Nasypało mi się do śniegowców.

– Mnie też – przyznała Róża – ale mam to już w nosie.

– Ja również. Dosłownie – zauważyła Miłka, próbując wydmuchać wzmiankowaną część twarzy. – Wisisz mi wakacje w Egipcie. Potrzebuję słońca i drinków z palmką, a nie śniegu i narażania się na niebezpieczeństwo.

– Jakie znowu niebezpieczeństwo? – zdziwiła się obłudnie Krull.

– Ty chyba jednak naprawdę nie jesteś normalna – skomentowała z potępieniem Wężowska. – Przypominam ci, że zabito już dwie osoby, w tym jedną mniej więcej jakieś trzy kilometry od nas. Naprawdę uważasz, że nic nam nie grozi...

– Co się martwisz, morderca jest jeden, a nas jest dwie...

– ...za to on ma piłę mechaniczną i zaraz nas może być cztery – mruknęła Miłka.

– Co ty znowu bredzisz? – zdumiała się Róża.

– Nie bredzę, tylko cytuję Woody’ego Allena – wytłumaczyła Wężowska. – „Tajemnica morderstwa na Manhattanie”. Klasyk. A tak serio, nie boisz się?

– Mordercy? Jakoś niespecjalnie. – Róża zatrzymała się przy furcie, po czym położyła dłoń na klamce. – Ryzyk-fizyk...

Ku jej uldze furka ustąpiła i dała się otworzyć bez specjalnego trudu.

– Dziwne – mruknęła Krull, po czym włączyła latarkę w swojej komórce. – Ty, popatrz. Jaki numer! Ktoś tędy szedł przed nami. I to całkiem niedawno...

– No to teraz już naprawdę mam ochotę wrócić do pensjonatu – wzdrygnęła się Miłka – albo zadzwonić do Darskiego.

– A ty co? Masochistka?

– Czemu masochistka?

– Lubisz, gdy ktoś na ciebie wrzeszczy? Przecież Darski nie dopuści cię nawet do głosu. Chodź, sprawdzimy, kto to? Obiecuję, że zrobimy to ostrożnie. Poza tym, najpewniej to policja.

– Oby! Naprawdę, marzę, żeby to wszystko już się wyjaśniło. Choć z drugiej strony... – Miłka zamilkła, uświadamiając sobie, że nietaktem byłoby wypowiedzieć na głos to, co przyszło jej do głowy. To znaczy, że w sumie dobrze, iż litościwy los zesłał tę sprawę, bo przynajmniej pozwoliła wrócić Róży do jakiejś takiej równowagi psychicznej. A raczej do jej braku, co akurat w przypadku pisarki stanowiło cechę charakterystyczną i jak najbardziej normalną.

– Co tam znowu mamrociesz? – zacięła się Krull.

– Nic, nic – zapewniła szybko Miłka. – Dokąd teraz?

– Wychodzi na to, że śladami osoby, która była tutaj przed nami. – Róża nadal oświetlała śnieg, na którym widać było w miarę świeże, wciąż jeszcze niezasypane ślady. – Wydaje mi się, że to mężczyzna...

– Czemu ci się tak wydaje? – zdziwiła się Miłka, przyglądając się odciskom butów. – Że niby takie duże? Przypominam ci, że ślady śniegowców zawsze są ogromne. Męska czterdziestka szóstka wygląda na śniegu jak odcisk dinozaura.

– Może i masz rację... – Róża skierowała światło latarki na dalszą drogę przebytą przez właściciela albo właścicielkę owego tajemniczego obuwia, którego śladami podążały. – O, cholera...!

– Co znowu?!

– Ten ktoś wszedł do kościoła dokładnie tym samym sposobem, którym ja miałam zamiar – wyjaśniła Róża.

– I co teraz?

– Oczywiście, że wejdziemy za nim – rzekła Krull stanowczo. – Skoro intuicja mnie nie zawiodła i koło tego kościoła faktycznie dzieje się coś podejrzanego, to chcę się wreszcie dowiedzieć co!

Tak szybko, jak tylko się dało, przebyła dystans między furtką a bocznym wejściem, prawie niewidocznym w późnopopołudniowym, lichawym świetle. Miłka z lekką zadyszka podążyła za nią.

– Nie potrzebuję nawet klucza – westchnęła Róża, pchając małe drzwiczki.

Najwyraźniej ktoś, kto przestąpił progi kościoła przed nimi, nie dbał o to, aby je za sobą dokładnie zamknąć. Przyjaciółki weszły do środka, starając się zrobić to tak cicho, jak tylko się dało, i dziękując w duchu Opatrzności, że wykonana z gumy podeszwa śniegowców pozwala im się przemieszczać po budynku bez hałasu.

– I co? – szepnęła Miłka, kiedy obeszły kościół. – Wydaje mi się, że nikogo tu nie ma...

– Ślady biegnęły tylko w jedną stronę – zauważyła trzeźwo, też półgłosem, Róża – a to oznacza, że ktoś, kto wszedł, przebywa tu dalej. Tylko drań wytarł od razu buty i nie wiadomo, dokąd pojął.

– Tu nie za bardzo jest się gdzie schować – zauważyła Miłka, rozglądając się dokoła. – Co najwyżej może siedzieć w konfesjonale.

– Zajrzałam do każdego w czasie naszego obchodu – poinformowała ją Róża.

– Serio? Kiedy?

– Gdy żarłaś ogóra! Swoją drogą, naprawdę uważasz, że kościół to dobre miejsce na konsumowanie kiszoniców?

– Sama wiesz, że emocje wyzwalają we mnie wilczy głód – zaczęła tłumaczyć się przeproszającym tonem Wężowska. – Poza tym to był tylko jeden mały ogóreczek. Jestem pewna, że Stwórca się za to nie obrazi.

– Lepiej pomyśl, gdzie mógł zniknąć ten, który tu wszedł przed nami – poprosiła Róża. – Skoro nie ma go w konfesjonalach, ani na zakrystii, ani pod ławkami...

– Co miałyby niby robić pod ławkami?

– Leżeć trupem?

– Naprawdę myślisz, że ktoś przelazł przez te zaspy tylko po to, żeby położyć się pod ławką i wyzionąć ducha? Chociaż... Może padł ze zmęczenia?

– Nie wiem. Po prostu kombinuję...

– No to kombinuj dalej. Podobno piszesz kryminały, więc powinnaś coś wymyślić... – szepnęła Miłka ze zniecierpliwieniem. – Skoro już ktoś tu wszedł, to musi gdzieś być! Przecież nie zapadł się pod ziemię!

Róża popatrzyła na nią w nagłym olśnieniu.

– Boszzzz... – jęknęła. – Jakie my jesteśmy głupie! A właściwie nie głupie, tylko zeszkleroziałe!

– Mów za siebie – oburzyła się Miłka.

– Za siebie? – Róża popatrzyła na nią ironicznie. – To przecież ty czytałaś nam notkę o obrazie z Wikipedii czy tam innej francy.

– No i...? – Miłka popatrzyła na nią jak na wariatkę.

– Czyli jednak masz demencję – westchnęła Krull. – Tam było napisane, że kiedy królowa Jadwiga wsadziła obraz w złotą ramę i ozdobiła ją tymi wszystkimi kamulcami, to z obawy przed kradzieżą najpierw umieszczono go za kratami, a następnie przeniesiono do podziemnej krypty kościoła.

– Racja – przyznała Wężowska, w duchu postanawiając, że po powrocie do domu zacznie zażywać „Ginkgo biloba”, po chwili jednak nieco zmarkotniała. – Ale przecież tu nie ma żadnej krypty. To znaczy nie widziałam żadnego zejścia do podziemi.

– Ja też nie – zgodziła się Róża. – Co nie oznacza, że go nie ma. Teraz, jak wiemy, czego szukamy, to może znajdziemy...

Jej optymizm przygasł po mniej więcej dziesięciu minutach, kiedy po bez mała obwąchaniu każdego centymetra kościelnej posadzki, nie natrafiły na nic przypominającego wejście do kościelnych podziemi.

– Może w tym przypadku ciocia Wikipedia się pomyliła? – zastanowiła się Miłka. – W sumie to nie jest jakieś wybitnie wiarygodne źródło.

– Serio? A znasz lepsze?

– Zapytała osoba, która sama sobie tam zmodyfikowała datę urodzenia – Wężowska popatrzyła na nią z politowaniem. – Gdyby wierzyć Wikipedii, to skończyłam Uniwersytet Curie-Skłodowskiej i byłam pięć razy nominowana do Nagrody Polskiej Literatury Grozy imienia Stefana Grabińskiego. A smutna prawda jest taka, że studia rzuciłam po trzech latach, a nominacji mam tylko dwie. Nie

wiem, skąd oni biorą te wiadomości. Żadnej krypty tu pewnie też nie ma. To nie bazylika Świętej Brygidy w Gdańsku...

– A co tam znaleźli? – zaciekała się Krull.

– No właśnie kryptę. Jakies siedem lat temu. Podczas konserwacji czy tam remontu, już nie pamiętam. Wejście było ukryte pod średniowiecznym baptysterium. Było o tym bardzo głośno. Kiedy komuniści dali zgodę na odbudowę bazyliki, gdańszczanie zaczęli ją odgruzowywać, bo Armia Czerwona i pożary zrobiły z niej ruinę. Wtedy pierwszy raz odkryto kryptę pod kościelną basztą. Tyle że nie wiadomo było, jak się do niej dostać. Widać ją było tylko przez otwór w podłodze. Ją i ludzkie kości. Bazylikę odbudowano i dopiero jakies trzynaście lat temu zaczęto szukać odpowiedzi, gdzie jest wejście do krypty. Jeden pracownik parafii zaparł się, że odpowie na to pytanie. Ponoć przez kilka miesięcy samodzielnie wynosił piasek i gruz z baszty, aż wreszcie udało mu dotrzeć do ceglanego muru, a tam poluzować cegłę, która odsłoniła wejście do otworu wentylacyjnego. Wpuszczono tamtędy kamerę, która pokazała stropy krypty oraz stopy kości i czaszek. Tyle że nadal nie wiadomo było, jak się tam dostać, bo przecież zniszczenie baszty nie wchodziło w rachubę. I dopiero tych kilka lat temu odkryto, że wejście prowadzi z wnętrza samego kościoła. Znajdowały się tam średniowieczne schody. Zaczynały się właśnie kilkadziesiąt centymetrów pod baptysterium.

– I to wszystko jakoś dziwnym trafem zapamiętałaś...

– Śledziłam całą tę akcję, bo zastanawiałam się, czy nie powinnam umieścić w bazylice akcji mojego nowego horroru – przyznała Miłka. – Taka przez lata niedostępna krypta, pełna ludzkich kości, to dopiero jest dobry wstęp do opowieści o wampirach albo zombie. Ale ostatecznie dałam sobie spokój, bo przecież ledwo co bym napisała „bazylika Świętej Brygidy”, a już stałabym przed sądem i tłumaczyła się z obrazy uczuć religijnych. Sama wiesz, jak to u nas jest...

– No wiem. – Róża pokiwała smutnie głową. – Daruj mi moją ignorancję, a właściwie zaćmienie umysłowe. Oczywiście, wiem, co to jest baptysterium, tyle że w tym momencie coś mi się odkliknęło we łbie i nijak nie umiem sobie przypomnieć.

– Chrzcielnica – wyjaśniła Miłka, po czym zmarszczyła brwi. – Dziwne...

– Co jest dziwne...?

– Przeszliśmy przez cały kościół, a nigdzie jej nie widziałam...

– Chrzcielniczy? – upewniła się Róża. – A powinna być w każdym kościele?

– Czasami był to osobny budynek – Miłka ruszyła znów w obchód po kościele – ale tutaj nic poza kościołem nie stoi. A odpowiadając na twoje pytanie, jeśli ko-

ściół w Morderczym został zbudowany w średniowieczu, to tak, na pewno miał baptysterium. Tylko gdzie... – Zatrzymała się przy ołtarzu, po czym przyjrzała mu się uważnie. – Nie, to nie może być aż tak proste... – Podeszła bliżej do stołu ofiarnego, przyjrzała się przykrywającemu go niegdyś zapewne białemu, a obecnie szarawemu obrusowi, dziwacznie po jednej stronie zgruchmonionemu, a następnie gwałtownym ruchem zerwała go oraz znajdującą się pod nim zieloną sięgającą podłogi ciężką serwetę. Następnie popatrzyła na Różę z triumfem wypisanym na twarzy. – Proszę bardzo! Masz swoje zejście do krypty!

Krull, nie dowierzając trochę własnym oczom i mając wrażenie, że gra w „Indianie Jonesie”, zrobiła kilka kroków i aż cicho gwizdnęła z wrażenia. Ołtarz nie tylko miał po lewej stronie wgłębienie, poprzednio zakamuflowane pod dwiema warstwami tkanin, ale też ukryte we wnęce pod blatem schodki, na których końcu znajdowały się małe drzwiczki.

– Zdaję sobie sprawę, że będziesz chciała tam wejść – westchnęła Miłka, patrząc smętnie na te ostatnie. – I chętnie bym ci towarzyszyła. Obawiam się jednak, że się zaklinuję.

– Podobno, jak ci przejdzie głowa, to i cała reszta też – pocieszyła ją Krull. – A głowę przecież wciśniesz tam bez problemu.

– Z której strony przypominam ci kota? – zdziwiła się Wężowska.

– Czemu kota?

– Bo jestem prawie pewna, że zasada, o której mówisz, dotyczy właśnie ich...

– Tak czy siak, choć spróbuj – poprosiła Róża, schodząc na pierwszy schodek. – Jeśli nie dasz rady, to trudno. – Zeszła do końca i szarpnęła za klamkę drzwiczek. Te otworzyły się, wbrew jej oczekiwaniom nie odsłaniając żadnego pomieszczenia, ale klaustrofobicznie wąski korytarz. Róża zrobiła kolejny krok i weszła do niego, czując, jak chłodne powietrze zamienia się w lodowate. W tym samym momencie jej smartfon piknął i wyłączył najpierw latarkę, a następnie sam siebie.

– Miłka! Komórka mi padła. Właż tu natychmiast i mi poświeć albo daj mi swoją! – teatralnym szeptem zażądała Krull.

Miłka bez specjalnego przekonania podążyła za przyjaciółką. I, niestety, zgodnie ze swoimi wcześniejszymi przewidywaniami, zaklinowała się dokładnie wtedy, kiedy korpusem była już w korytarzu, a za przeproszeniem czterema literami ciągle na ostatnim schodku. Chciała zmienić pozycję i w związku z tym zaczęła się wycofywać, kiedy nagle poczuła na swojej pupie czyjś dotyk. Nie wydała z siebie panicznego okrzyku tylko dlatego, że z przerażenia uwiązał on jej w ści-

śniętej krtani. Zanim zdążyła przełknąć ślinę, do jej uszu dobiegły gniewne słowa:

– Trzeba było jeść jeszcze więcej smalcu! Toż to, jakbym przepychał masę plastychną!

– Co ty tu robisz?! – zapytała kilkanaście sekund później, patrząc na Mario, który jakimś nieludzkim wysiłkiem zdołał ją przepchnąć dalej, po czym, a odnotowawszy kątem oka wchodzącego za nim do korytarzyka Pepe, szybko się poprawiła: – Robicie?!

– Nie pozwalamy wam samym narażać się na idiotyczne niebezpieczeństwo – wyjaśnił uprzejmie Pepe. – Skoro Darski dostał zaćmienia umysłowego i nie przydzielił wam żadnego ogona, postanowiliśmy go wyręczyć i sami was przypilnować.

– Dzięki wielkie – rzekła z przekąsem Róża – ale jak widać, dajemy sobie radę znakomicie!

– Jasne – mruknął Mario. – Jedna w zaciemnieniu, a druga uwięziona w za wąskich drzwiach. Po prostu detektywistyczny duet stulecia!

– Nie ma co deliberować. – Róża wzruszyła ramionami. – Skoro już tutaj jesteście, to chodźcie z nami. A jeśli nie chcecie, to przynajmniej nam nie przeszkadzajcie!

– Mogłabyś mi powiedzieć, czego szukasz w tych kazamatach? – zaciekawił się Pepe.

– Biorąc pod uwagę, że odkryłyśmy je parę minut temu, to jeszcze nie wiem – przyznała niechętnie Krull. – Pomyślałam jednak, że skoro w słowach Kamila zawsze kryła się jakaś cząstka prawdy, a opowiadał mi głównie o tym kościele, to musi tutaj być coś, co go zafrapowało. Albo inaczej. Coś, co podpowiadała mu intuicja. Coś tu było dla niego nie tak... Mówił, że podejrzwał coś w kościele, a potem coś o głosach. Tak żałuję, że go nie słuchałam dokładniej. Z drugiej strony, jak mogłam przewidzieć, co go spotka? W każdym razie teraz chcę to wszystko wyjaśnić. Uznaj to za mój hołd dla tego chłopaka.

– W porządku. – Pepe kiwnął głową i przecisnął się przed pisarkę. – Pozwolisz, że pójde pierwszy?

– Żeby mnie w razie czego ochronić? – Choć w półmroku Kwiatek mógł tego nie dostrzec, to Róża spojrzała na niego z niekłamaną wdzięcznością.

– Jasne – mruknął Pepe, darując sobie wyjaśnienie, że wizja kolejnych lat ich współpracy odebrała mu chęć do życia tak skutecznie, że ewentualna śmierć z ręki mordercy wydaje mu się całkiem atrakcyjną alternatywą. – No to idźmy na spotkanie z nieznanym... – Ruszył do przodu. Reszta podążyła za nim. Korytarz



po kilkunastu metrach zaczął wieść w dół, na szczęście na tyle łagodnie, że nawet Miłka nie czuła, aby jego pokonanie kosztowało ją zbyt dużo wysiłku.

– Chyba schodzimy do piekła – rzekła tylko, starając się na wszelki wypadek przytrzymywać ściany.

– Obyś miała rację, bo przynajmniej zrobi się cieplej – mruknął Mario, który w czasie pakowania się do Morderczego przeżył chwilę rozterki, zastanawiając się, czy dorzucić do bagażu zakupiony rok wcześniej w Zakopanem kożuszek, i po namyśle schował go z powrotem do szafy, dochodząc do wniosku, że jak upchnie go do walizki, to nic więcej mu się tam nie zmieści. Teraz przyszło mu pożałować tej decyzji, bo kożuszek ogrzałby go na pewno lepiej niż to, co miał na sobie, czyli kurtka z pierza ze sztucznej kaczki, sprzedawana notabene za tak koszarne pieniądze, jakby w celu jej produkcji oskubano tę złotą, baśniową, mającą pomnik na Mariensztacie. – Za chwilę zacznę szczerkać zębami, a pani doktor kazała mi tego unikać, bo i tak mam już starte guzki.

– Guzka to ja sobie zaraz tu o coś nabiję – jęknęła Miłka, czując pod stopami, że korytarz robi się coraz bardziej wyboisty. – Moim zdaniem doszliśmy już co najmniej do rynku, o ile nie do Torunia. Ile jest tego korytarza? Może powinniśmy zawrócić?! Nie chcę obejść całej planety dookoła!

– Csiiii... – syknął Pepe – Przymknijcie się trochę i posłuchajcie!

Miłka i Mario zamilkli. Przez moment panowała cisza, w której nagle usłyszeli znajome dźwięki.

– Ktoś rozmawia? – szepnęła Miłka.

– Yhm – potaknął Pepe. – Słyszę to już od jakiegoś czasu, ale wszystko zagłuszaście. A ja mam przed sobą rozwidlenie i chcę sprawdzić, z której strony to dobiega.

– Z lewej – poinformowała go Róża. – Zdecydowanie.

– Też tak mi się wydaje. – Kwiatek pokiwał głową. – Teraz naprawdę musimy się skradać na paluszkach. Nie wiadomo, kto tam jest i co robi. Najchętniej zadzwoniłbym do Darskiego...

– Nie możesz, bo tu nie ma zasięgu – przerwała mu Miłka. – Chwilę temu zerknęłam na komórkę i nie ma ani jednej kreski.

– A co? – zaciekawiał się Mario. – Chciałaś zadzwonić do McDonalda?

– McDonalda to ona wzięła ze sobą – westchnęła Róża. – Cały zestaw drwała.

– Jeszcze mi za to podziękujecie, jak tu zaraz zabłądzimy – mruknęła Miłka.

Pepe, a za nim Róża i pozostała dwójka wolno ruszyli lewym rozwidleniem korytarza. Po kilkunastu metrach przeżyli kolejny dylemat, znów widząc przed

sobą dwie drogi do wyboru. Tym razem jednak ich wątpliwość została rozstrzygnięta w sekundzie, kiedy z lewego korytarza dobiegł ich stłumiony okrzyk.

– Nie mamy ze sobą żadnej broni – szepnęła Róża.

– Owszem, mamy – mruknął Pepe niechętnie. – I to nawet całkiem niezłą. Sięgnij do mojego plecaka. Jest na samym wierzchu.

Zdziwiona Krull rozsznurowała wiązany od góry i bardziej przypominający worek ogromny plecak swojego agenta, po czym od razu natknęła się na plastikowe opakowanie. Wyciągnęła je na wierzch i kiedy dotarło do niej, co ma przed sobą, aż lekko gwizdnęła.

– U lala.. – szepnęła z podziwem. – Cudo! Nosisz to na wszelki wypadek zawsze przy sobie?

– Jasne – odszepnął Pepe z politowaniem. – Zwariowałaś?! Kupiłem go w Toruniu i zapomniałem wyciągnąć. Rozpakuj go. Miał mi służyć do krojenia mięsa, ale w razie czego użyjemy go do czegoś innego.

– Czego użyjemy? – zapytała z niezadowoleniem Miłka, która stojąc za ich plecami, nie miała pojęcia, o czym mówią. – Co on tam ma?

– Halabardę – odpowiedziała Róża.

– Co?! – zdumiała się Miłka.

– No dobrze, pół halabardy...

– Sama jesteś halabarda! – prychnął Pepe. – Gdy się na moment rozdzieliliśmy w Toruniu, kupiłem sobie nóż szefa kuchni, bo akurat był na przecenie, a mój stary jest już do luzu.

– To jest nóż?! – zdziwiła się Róża. – Co chcesz nim kroić? Wieloryba?!

– Bez przesady – szepnął urażony Pepe. – Ma zaledwie pięćdziesiąt centymetrów. A samo ostrze ledwo dwadzieścia osiem.

– Faktycznie, drobiazg – zgodziła się Krull. – Możesz tym zaszlachtować wołu!

– Sama chciałaś broni – przypomniał Pepe. – To teraz nie narzekaj, tylko to rozpakuj.

– Czy wy czasem nie przesadzacie? – rzekł Mario, czując, że powoli zamarzają mu wargi. – Zaraz się okaże, że te korytarze to zwykła kanalizacja wodna, a wy wylecicie z jakimś mieczem grunwaldzkim na Bogu ducha winnych hydraulików. I tym razem Darski zamknie nas wszystkich na amen za napaść z bronią w rękę.

– Możemy schować nóż za plecami – zaproponowała Róża.

– Jasne, potkniesz się i wbijesz mi go prosto w serce – prychnął Mario, który szedł bezpośrednio za Różą. – Znakomity pomysł. Żaden bandyta ci nie prze-

szkodzi w zrobieniu mi krzywdy!

– Aż taką pokraką nie jestem! – zaprotestowała Róża, starając się wymazać sobie sprzed oczu scenę sprzed kilku miesięcy, kiedy to w czasie wieszania prania w loggi najpierw o mało co nie wyleciała przez balkon, następnie zerwała jeden ze sznurków i, chcąc go z powrotem przywiązać do ściany, zleciała z krzesła prosto na torby, w których trzymała starą zastawę szklaną. Jak to potem skomentowała Cecylia, wyrzucając skorupy będące pozostałością kryształowego kompletu obiadowego: „Lepiej niech już się pani zajmie tylko pisaniem, zanim znów trzeba będzie robić remont całego mieszkania”.

– To co? – Pepe postanowił zdyscyplinować swoich kompanów. – Idziemy?

– Tak – zdecydowała Róża, rozpakowując jego nabytek. – Z takim czymś w dłoni od razu czuję się bezpieczniej...

– Ty tak – westchnął Mario. – Gorzej z nami. Może jednak oddaj go Pepe.

– Czemu? – W głosie Krull pojawił się odcień protestu.

– Po pierwsze, on jest obeznany z nożami – odpowiedział Kosek. – A po drugie jest z nas wszystkich najsilniejszy. No i pierwszy wyjdzie na ewentualnych zbrodniarzy.

– Co fakt, to fakt – poparła go Miłka.

– No dobrze. – Róża z niechęcią oddała nóż swojemu agentowi. – Niech wam będzie...

Ponownie zaczęli powolną wędrówkę w głąb korytarza. Po kilku metrach głosy, dotąd na tyle stłumione, że nie dawało się odgadnąć wypowiedzianych słów, zaczęły się robić coraz wyraźniejsze, aż wreszcie, kiedy przyjaciele przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków, dotarło do nich pierwsze rozpoznawalne zdanie. A właściwie jego część, brzmiąca:

– (...) wreszcie wypuścicie?

I to bynajmniej nie treść tego komunikatu sprawiła, że Róży nagle zrobiło się słabo.

– Czy ja mam omamy słuchowe? – szepnęła do Pepe. – Czy...??

– Tak. – Jej agent był równie zszokowany co pisarka. – Słyszę dokładnie to samo.

– Ja też – wyszeptała z tyłu podobnie zdumiona Miłka.

Mario jedynie kiwnął głową, bo mniej więcej pięć metrów wcześniej zamarzył mu struny głosowe. A przynajmniej takie miał wrażenie.

– Ale jak...? – Krull z wrażenia lekko ochrypła, co było słuchać nawet w jej szepcie. – Jakim cudem...?

– Nie wiem – rzekł równie cicho Pepe – ale nie mam dobrych przeczuć... Cholera z tym telefonem. Teraz chyba potrzebujemy Darskiego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej...

– Ale go nie mamy – skwitowała stanowczo Róża, starając się go ominąć. – Idę! Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej!

– Poczekaj – poprosił Pepe. – Naprawdę uważasz, że to rozsądne?

– Mam w dupie rozsądek. – Róża bardzo starała się nie krzyczeć. – On tam jest! Rozumiesz?! Muszę tam iść!

Kwiatek wiedział, że jej nie powstrzyma. Jedyne, co mógł zrobić w tym momencie, to po prostu jej nie opuścić.

– No to chodźmy! – rozkazał.

Po kolejnych kilku metrach korytarz zrobił się o wiele jaśniejszy.

– To już nie potrawa długo. – Przyjaciele usłyszeli kolejny głos. – Zwijamy interes i po nas. I tak nic z tego nie wyszło.

– Cztery miesiące. – Tym razem nie mogło być już żadnych wątpliwości. Te słowa wypowiedział Piotr Kryński. – To już cztery miesiące!

– Trochę nam się to rozciągnęło w czasie. – Ten głos należał do kogoś jeszcze innego. – Kto mógł to przewidzieć?!

– O cholera... – Miłka aż zachłysnęła się z wrażenia. – Wiem, kto tam jest!

– Kto? – wyszeptała Róża, odwracając się do niej.

– Ten paser, do którego mnie wysłałaś – odpowiedziała Wężowska. – Krystyn... jakiś tam. Zapomniałam nazwiska.

– Majek – wyjaśniła odruchowo Róża. – Co on tam robi?! O co w tym wszystkim chodzi?! Muszę to wiedzieć!

– Wiem, że musisz – westchnął bezradnie Pepe. – W takim razie... za mną!

Znowu ruszyli do przodu. Korytarz kończył się drzwiami, podobnymi do tych, którymi weszli do niego w kościele. Były otwarte, a pomieszczenie za nimi na tyle dobrze oświetlone, że przez moment cała czwórka zapomniała, że gdzieś tam nad nimi, na zewnątrz panuje zapewne już ciemność.

– Jeszcze tylko pozbędziemy się... – mówił właśnie Krystyn, kiedy nagle jego wzrok wyłapał ich cienie na posadzce. – Kto tu jest?!

Pepe przekroczył próg.

– Paweł?! – krzyknął Piotr, siedzący w jakichś dziwnym piernatach na czymś, co Kwiatkowi skojarzyło się z pryczą. Po chwili jego głos podniósł się jeszcze bardziej. – Róża?! Co wy...? Co wy tu robicie?! Jakim cudem?!

Krull chciała od razu dopaść do ukochanego, ale na jej drodze stanął trzeci z przebywających w pomieszczeniu mężczyzn. Co prawda, Roman Rudniczak nigdy jeszcze nie uległ presji fizycznej, ale też jak dotąd nie stanął na drodze prawdziwej kobiecej furii. W tym momencie Róża dałaby sobie radę nawet z Mickem Tysonem i to w szczytowej fazie jego kariery. Odepchnąwszy Rudniczaka tak, że ten potoczył się kilka kroków i zmuszony był oprzeć się o ścianę, żeby nie stracić równowagi, Róża podbiegła do Piotra.

– Jesteś cały? – upewniła się, chwytając go za ręce. – Nic ci nie jest?

Oszołomiony Kryński, nie mogąc wydusić już ani słowa, pokręcił jedynie głową, a następnie przytulił Różę.

Roman wyciągnął zza pazuchy pistolet, ale Majek kiwnął ręką, każąc mu go schować.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – poprosił Kwiatek, na wszelki wypadek trzymając przed sobą nóż, choć miał wrażenie, że nieco się tym błążni, bo przecież rezultat starcia między nożem a pistoletem był banalnie prosty do odgadnięcia. – Co się tu zdarzyło?!

Roman spod ściany rzucił pytające spojrzenia Krystynowi. Ten wzruszył ramionami.

– I tak już nic nie poradzimy... – rzekł spokojnie. – Trudno. Ryzyko zawodowe. Przecież nas za to nie powieszają!

– Chcesz iść kiblować? – zdziwił się Roman. – Bo ja nie!

– Ale co poradzisz, jak nic nie poradzisz? – Krystyn przesunął wymownym wzrokiem po ściskającej narzeczonego Róży, zagniewanym Pepe z nożem w dłoni, osłupiałej Miłce oraz próbującym rozgrzać usta dłonią Mario. – Przecież ich wszystkich nie wykończysz. Poza tym, morderstwa to nie nasza bajka. Prędzej można byłoby się raczej z nimi dogadać...

– Jestem za – szepnęła Miłka, przerażona wizją tego, że za moment na jej oczach rozegra się jakaś krwawa jatka, w której w dodatku będzie zmuszona wziąć czynny udział. I skończy po paru sekundach jako zwłoki.

– Powtórzę raz jeszcze – rzekł stanowczo Pepe. – Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje? Piotr? Skąd się tu wzięłeś?!

– Z prosektorium. – Kryński z trudem oderwał się od Róży. – Robiłem sekcję zwłok faceta, który miał wypadek, jadąc na lotnisko. I odkryłem w nim coś dziwnego...

– W nim? – zdziwił się Pepe.

– Konkretnie w jego żołądku – wyjaśnił Piotr. – Kamień... Pamiętam, że wyciągnąłem go, kiedy rozmawiałem przez telefon z tobą – popatrzył na Różę. – Chciałem mu się przyjrzeć, ale w tym samym momencie usłyszałem za sobą kroki, poczułem ból i przestałem mieć kontakt ze światem. Ocknąłem się tutaj.

– Rozumiem, że to wy go tutaj przetransportowaliście. – Pepe spojrzął na Krystyna. – I że chodzi o ten nieszczęsny obraz z kościoła.

– Dostaliśmy na ten obraz zlecenie – wyjaśnił paser z rezygnacją. – Nawet tak naprawdę nie wiem od kogo. Facet nie dość, że obiecał nam za niego jakąś kosmiczną kwotę, to jeszcze pomógł w zdobyciu kilku cennych okazów, które opuściły nasz kraj w czasie drugiej wojny... Pani wie...

– Owszem. – Miłka, do której się zwrócił, pokiwała głową. – Pan Krystyn zajmuje się obrotem dzieł sztuki w obie strony. Dzięki niemu wraca do nas to, co nasze...

– „Śmierć zabierze płomień” też nasze – zauważył Pepe.

– Tyle że ten obraz nie ma jakiejś wielkiej wartości – westchnął Krystyn. – Nawet się dziwiłem, dlaczego mu tak na nim zależy. Jasne, jest tam rama, są kamienie szlachetne, ale przecież je można dostać na całym świecie. Wydawało mi się, że rachunek zysków i strat jest w tym wypadku prosty. Tu jeden mało istotny obraz, tam kilka cennych zabytków. Plus moja prowizja. Nie było się nad czym zastanawiać.

– I dlaczego nie rąbnęliście obrazu w całości? – zapytał Pepe, czując, że zamiast coraz więcej, rozumie z tego wszystkiego coraz mniej.

– Dostawałem od tego człowieka jasne instrukcje – wyjaśnił Krystyn. – Mieliśmy podmieniać kolejne elementy obrazu. Najpierw kamienie, potem ramę, na koniec sam obraz. Kamienie miały być przemycane przez ludzi wskazanych przez mojego zleceniodawcę. O ile się zorientowałem, początkowo przewoził je jeden człowiek...

– Przewoził... w sobie? – zapytała nieco osłupiała Miłka. – Przecież to niebezpieczne!

– Nawet mniej niż przemycanie narkotyków. A mimo to ludzie idą na takie ryzyko, choć wiele razy zdarzało się, że tracili przy tym życie. – Krystyn wzruszył ramionami. – Tutaj było o tyle prościej, że kamienie nie mogły pęknąć i dostawcy zatruć. Ryzyko dużo mniejsze. One nawet nie były ostre. Tyle że ten człowiek, z natury narwany ryzykant, tak pędził na lotnisko, że się zabił. I wtedy...

– Jakim cudem udało wam się wejść wieczorem do prosektorium?! – Róża zrobiła wielkie oczy. – I jeszcze wyjść stamtąd z kimś trzecim?

– Tego nie wiemy, bo to nie my – wyjaśnił Roman. – Przywieziono go tutaj w nocy. Dostaliśmy polecenie, żeby się nim zaopiekować tak, aby nikt go nie zobaczył. O tym miejscu nikt nie wiedział poza Krystynem.

– A co to właściwie jest?! – zapytała Miłka, rozglądając się po pomieszczeniu sprawiającym, za sprawą kilku okuć i łańcuchów, wrażenie lochu.

– Tajne przejście między posiadłością założycielki miasta a kościołem – wyjaśnił Krystyn. – Wedle historii miasta, spisanej w księdze, którą udało mi się odzyskać, kobieta ta kilka lat po przybyciu do Morderczego zachorowała na jakąś paskudną chorobę. Prawdopodobnie trąd, a przynajmniej tak mi wyszło z opisu. Miała obsesję na punkcie tego, aby ludzie nie widzieli, jak bardzo jest szpetna, więc kazała zrobić podziemne przejście między swoim domem a świątynią, do której często chadzała modlić się o cud uzdrowienia. Modły okazały się nad wyraz skuteczne. Gdy kilka lat po wyzdrowieniu owdowiała, rozpoczęła nawet romans ze swoim sąsiadem. Problem w tym, że sąsiad miał żonę. Założycielka kazała więc w tajemnicy doprowadzić korytarz także do jego posiadłości. Sekretne wejście znajdowało się obok altanki w ogrodzie, zakamuflowane krzakami. Potem posiadłości obróciły się w ruinę, a wejścia do korytarza zabetonowano, budując nowe budynki. Ostatnie, jak sami widzieliście, nie za bardzo rzucające się w oczy, ostało się w kościele. Nikogo nie interesowało, zamknięte było na głucho. Wszedłem tam podczas pierwszego remontu kościoła. Załatwiłem z jednym z robotników, żeby je rozwalił, a następnie zamontował tam nowe drzwi z zamkiem, do którego tylko ja miałem klucze. Pomyślałem, że w odpowiednim czasie zrobi się tam może jakąś wystawę albo coś w tym rodzaju. Tymczasem przydało się do czegoś innego...

– Ale czemu trzymacie tutaj Piotra przez cały ten czas?! – Miłka, podobnie jak Pepe, złapała się na tym, że nie za bardzo rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. – Przecież rozebranie tego obrazu na części to powinna była być kwestia godzin! No, co najwyżej dni, ale nie czterech miesięcy!

– Niekoniecznie. Instrukcje były jasne. Podmieniamy kolejny kamień wtedy, kiedy jest osoba, która od razu może go przemycić. Więc najpierw trzeba było znaleźć zastępstwo za nieboszczyka. Poza tym produkcja fałszywych kamieni też nie trwa sekundę... – westchnął Krystyn. – Zresztą naprawdę nie wiem, czemu zleceniodawca wymyślił taki skomplikowany i czasochłonny sposób. Rozkaz był prosty: nie wypuszczać go do czasu, aż przemycimy cały obraz. Staraliśmy się traktować pana Piotra tak cywilizowanie, jak tylko się da... – Machnął ręką w stronę kąta za pryczą, gdzie na niewielkim stoliczku stały talerze z kanapkami oraz kilka książek, głównie kryminalnych, w tym kilka Róży, ze dwie Rogozińskiego, a nawet jeden horror Miłki. – Dla nas to też nie była komfortowa sytuacja.

Mieliśmy tylko rozmontować obraz, a tymczasem nagle dostał nam się pod opiekę człowiek i to tak, by nikt się nie kapnął. Trzeba go było jakoś wykarmić. Zapewnić mu możliwość mycia się, załatwiania swoich potrzeb...

Mario mimo woli rozejrzał się wokół pryczy.

– Kubel za drugimi drzwiami w korytarzu – wyjaśnił Piotr. – A mycie się... Nawet nie pytaj. Nie mogę się doczekać momentu, kiedy stanę pod prysznicem. Myślę, że to będzie najdłuższy prysznic, jaki wezmę w życiu.

– Dzięki za docenienie – mruknął Roman. – Niełatwo było tachać tutaj kubły z ciepłą wodą i to po nocy.

– Ciepłą? – Piotr spojrział na niego z wyrzutem. – Cud, że nie dostałem zapalenia płuc i nie wykitowałem.

– Ejże! – oburzył się wyraźnie Krystyn. – Spałeś po pierzyną mojej świętej pa-mięci babci! Ładna wdzięczność. I chciej tu człowieku dobrze...

Przez chwilę panowała cisza, w czasie której czwórka przyjaciół usiłowała uporządkować sobie w głowie dopiero co pozyskaną wiedzę.

– Czy ja dobrze rozumiem, że tak naprawdę to nie wiecie, kim jest wasz zleceniodawca? – zapytała wreszcie Miłka.

– Dobrze – potwierdził niechętnie Krystyn. – Ale akurat w tej branży to nie jest jakoś specjalnie dziwne. Wielu kolekcjonerów gotowych jest wydać ogromne pieniądze, żeby pozostać anonimowymi. Dzwonił z zastrzeżonego numeru. Przelewy wpływały z jego rachunku numerycznego w Kajmanach na moje konto na Cyprze. Jedyne raz dostałem wiadomości za pośrednictwem komunikatora, kiedy wydarzyła się ta sytuacja z panem Piotrem. Ale po odczytaniu od razu zniknęły, a numer, spod którego je wysyłano, od samego początku był niedostępny.

– Zniknęły? – zdziwiła się Miłka.

– Masz teraz takie możliwości – wyjaśnił Mario, zanim Krystyn zdążył się odezwać. – Możesz wysyłać zdjęcia, które otwierasz raz, i tyle. Nie ma możliwości nawet zrobienia z nich screenshota. Podobnie z wiadomościami. Takie jednorazówki. Nie do odzyskania.

– A morderstwo? – zapytała Róża, która, poczuwszy, że nogi robią jej się jak z waty, klapnęła na pierzynę babci Majka. – Co o nim wiecie?

– Absolutnie nic! – widać było, że Krystyn opanował się w ostatniej chwili, żeby nie walnąć się dłonią w serce dla potwierdzenia prawdziwości swoich słów. – Skomplikowało nam tylko robotę. A właściwie spieprzyło ją na całego. Kamil... To był miły chłopak, ale ze zbyt wybujałą fantazją.



– Zgódźmy się jednak, że miał rację, kiedy mówił, że w waszym kościele dzieje się coś niecodziennego – zauważyła Róża. – Być może miał też rację, kiedy opowiadał o innych rzeczach...

– Być może... – Krystyn popatrzył na zegarek. – To co robimy? Dogadamy się?

– Niby jak? – Pepe popatrzył na niego pytająco.

– Ja zostanę z wami, ale mój kolega stąd wyjdzie – zaproponował Majek. – Odczekamy pół godziny i wszyscy pozostali razem udamy się na policję.

– Pan także? – zdziwiła się Róża.

– Oczywiście. – Krystyn uśmiechnął się szeroko. – Nie boję się polskiego wymiaru sprawiedliwości. Zbyt dużo mam znanych klientów, żeby ktokolwiek odważył się wsadzić mnie za kratki. A jakieś tam grzywny i inne kary pieniężne... No cóż... Nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. I nawet pan Piotr zaświadczy, że choć go przetrzymywałem wbrew jego woli, to traktowany był lepiej niż niejeden kuracjusz w sanatorium.

– Aż tak bym nie szarżował – westchnął Kryński. – Aczkolwiek jedzenie faktycznie miałem tu prima sort.

– Też mojej babci, oczywiście tej drugiej, żyjącej – wyjaśnił pośpiesznie Krystyn, widząc minę Miłki, która już zdążyła sobie wyobrazić dania z za grobu. – To co? Wysłuchacie mojej prośby? Czy też kolega ma sięgnąć po bardziej przekonujący argument?

– A myślałam, że nie jesteście mordercami? – przypomniała Miłka, wróciwszy myślami z kulinarnych zaświatów.

– Nie jesteśmy, owszem – przytaknął Krystyn – ale to tylko dlatego, że zawsze udaje nam się wszystko załatwić polubownie. Ufam, że tak będzie i tym razem...

– Jeśli pan chce iść z nami na policję, to dlaczego kolega też nie? – Pepe nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Kolega jest dla mnie zbyt cenny, by go narażać na kontakt z jakimikolwiek funkcjonariuszami. – Krystyn uśmiechnął się niewinnie, zupełnie nie wiadomo dlaczego, wywołując tym ciarki na plecach Romana. – Ale nie bójcie się, nawet jeśli on nas opuści, to już nic więcej w kościele w Morderczym nie zginie...

# ROZDZIAŁ XI

## MORDERCA

Komisarz Darski wiedział już prawie wszystko. Niestety, jak wiadomo, „prawie” czasem czyni ogromną różnicę i tak też było tym razem.

Oszołomiony odnalezieniem Kryńskiego, Darski machnął ręką na kolejną nie-subordynację Krull, tudzież w duchu zwymyślał się od najgorszych, że nie wpadło mu wcześniej do głowy, aby jej pilnować. Inna sprawa, że tym razem sam był pod wrażeniem jej intuicji i w myślach – bo głośno nie zrobiłby tego nawet łamany kołem i obdzierany ze skóry – trochę zazdrościł jej tak spektakularnego sukcesu, jakim było odnalezienie narzeczonego. Teraz, żeby przebić to osiągnięcie, powinien z kolei znaleźć mordercę. A z tym już było gorzej...

Uporządkował już pewne fakty. W Muzeum Rzeczypospolitej wisiała kopia obrazu „Śmierć zabierze płomień”. Trafiła tam wprost z kościoła w Morderczym, przeniesiona na polecenie Jerzego Staszica. Logicznie więc w poprzednim miejscu powinien wisieć oryginał. I wisiał, tyle tylko, że miał podmienione kamienie. Wszystkie oprócz jednego, a może dwóch, bo jednego brakowało. Do kradzieży tych kamieni i zamiaru rąbnięcia całego obrazu z kościoła przyznał się Krystyn Majek, zapewniając, że działał sam i usprawiedliwiając ją chęcią zamiany tego obrazu na inne, o wiele cenniejsze trofea, które jak się zarzekał, pragnął darmo przekazać polskim muzeom po potwierdzeniu ich autentyczności. Mało tego! Dwa z nich nawet zaprezentował od razu komisarzowi, który oddał je już w ręce rzeczoznawców i bynajmniej nie spodziewał się, aby ich wartość okazała się mała. Krystyn jednak nie mógł działać sam. Mimo to uparcie milczał, tak jeśli chodzi o swojego zleceniodawcę, jak i producenta fałszywych klejnotów. No, może nie milczał, ale zaklinał się, że nie zna danych tych osób. Wyjaśnił jedynie, że fałszywki otrzymywał na paczkomat InPostu, w przesyłkach nadanych na nieistniejące dane. Na te same dane przesyłał również InPostem kolejne wydłubane z ramy klejnoty. Do czasu sierpniowego wypadku nie miał pojęcia, co działo się z nimi dalej, ani tym bardziej, kto organizował kurierów. Jedynym tropem było tylko to, że paczkomat, na który wysyłał klejnoty, znajdował się w Morderczym. Czyli ktoś, kto je odbierał, prawdopodobnie mieszkał właśnie tutaj. Kto? Pod paczkomatem nie było monitoringu, a kody odbioru wysyłane były zawsze na ten

sam tajemniczy południowoafrykański numer telefonu. Co prawda, do zamiaru kradzieży obrazu przyznała się też Patti, a Arkadiusz Gozdyra zeznał, że współpracował z jej mężem, ale żadnego z nich nie dało się połączyć ani z Krystynem, ani z przekazywanymi przez niego klejnotami. Oboje zaklinali się, że nie wiedzieli nic o jego działalności i że w ogóle jeszcze nie weszli w fazę nawet przygotowania do kradzieży obrazu. Gozdyra dodatkowo przekazał też policji nóż, którym jego zdaniem Garnicky zabiła Raczyńskiego. Wywnioskował to po tym, że znalazł go pod krzesłem, na którym siedział nieboszczyk, w ogólnym zamieszaniu kopnął pod baner, a potem podniósł i schował. Problem w tym, że fakt, iż to Patti jest morderczynią, Gozdyra wysnuł tylko na podstawie tego, że przechodziła obok Raczyńskiego. Na nożu, którym faktycznie zabito Kamila i co do tego nie było najmniejszych wątpliwości, nie znajdowały się żadne odciski palców. Nie było się tu czego chwycić. Niewiele do sprawy wniosły także zeznania Kryńskiego. Nie potrafił on w ogóle opisać osób, które go zaatakowały w prosektorium. Wiedział jedynie, że to byli dwaj mężczyźni i że zabrali wydobyty przez niego z brzucha sekcjonowanego denata kamień. Na dobrą sprawę nie było wiadomo nic. Podobnie w przypadku księdza Jana. Jego śmierć wydawała się jeszcze bardziej zagadkowa. Nie ustalono, kto do niego dzwonił, ani czego chciał. Nie znaleziono nawet narzędzia zbrodni, o żadnych innych śladach nawet nie wspominając. Było wiadomo tylko jedno, to była ta sama osoba, która kontaktowała się z Krystynem, bo połączenie nadeszło z tego samego numeru telefonu.

Komisarz wertował dokumenty wte i wewte przez kilka godzin. I dokładnie w tym momencie, kiedy wreszcie postanowił sobie zrobić przerwę, otrzymał informację o wyłowieniu z Wisły zwłok młodego człowieka ze szramą na brodzie. Darski pogratulował sobie w duchu tego, że wszystko na bieżąco przegaduje z Grzelakiem, bo to właśnie ów został wezwany na miejsce i szybko skojarzył, że wyłowiony młodzieniec może być tym, który pojawił się w zeznaniach Patti. Wezwana na komisariat celebrytka szybko to potwierdziła.

– To na pewno on – stwierdziła, rzuciwszy okiem na zdjęcie. – Straszne. Taki młody chłopak. Szkoda.

Skoro już miał ją przed sobą, komisarz spróbował wyjaśnić jeszcze jedną kwestię, która go gnębiła od czasu ich poprzedniego spotkania.

– Słucham? – zdziwiła się Patti, słysząc jego pytanie. – Że niby coś ukryłam?

– Takie mam wrażenie – przyznał Darski.

– Nie, na pewno nie. – Choć w głosie Garnicky słychać było niepewność, to jednak dla komisarza jasne było, że nie wyciągnie z niej prawdy. Z siebie tylko znanych przyczyn celebrytka postanowiła coś przed nim zataić. Dziwaczne, wziąw-

szy pod uwagę fakt, że miała świadomość, że znajduje się na samym szczycie listy podejrzanych.

Darski chciał też wezwać na komendę Różę, jako drugą po Patti, która mogła zidentyfikować nieboszczyka o nieznanym na razie tożsamości. Pisarka jednak poszła, nie wiadomo po co, z wizytą do Walerii Staszic i odpisała mu, że dokona identyfikacji później, a jeśli Darskiemu zależy na czasie, to może jej wysłać zdjęcie truposza przez telefon. Kiedy, niezbyt szczęśliwy z takiego rozwiązania, komisarz spełnił jej prośbę, Róża szybko oddzwoniła.

– Tak – poinformowała ściszym głosem. – To on. Patti ma rację.

– Nie znasz go? – zapytał Darski, dziwiąc się w duchu, dlaczego pisarka szepcze, zamiast mówić normalnie. – W sensie, nie spotkałaś go nigdy na swojej drodze, poza tym jednym razem? Bo ustaliliśmy już, że nie pracował tam, gdzie podawał, ale być może faktycznie był dziennikarzem.

– Nie – odpowiedziała Róża. – Ja w ogóle nie znam tych wszystkich młodych ludzi. Co kilka miesięcy cały zespół w tych portalach wymieniają i nie potrafię za tym nadążyć. Nie znałam tego z Tele-Polu, któremu udzielałam wywiadu, ani tego ze zdjęcia, ani tego, który stał za nim...

– Kto stał za nim? – zaciekawiał się odruchowo komisarz.

– Też jakiś taki młody. Poczekaj... – Krull wyteńczyła pamięć. – Wiem! Z Radia NovaNova.

– Jak to...? – zdziwił się Darski. – Na pewno?

– Tak. – Róża nie miała wątpliwości. – Wpadło mi w oczy logo, bo było pisane fontem, który pasowałby do mojego nazwiska na okładce książek. Dlatego zapamiętałam. A co?

– Radio NovaNova zostało zamknięte dwa lata temu – poinformował ją komisarz. – Wiem, bo bardzo je lubiłem i było mi cholernie przykro z tego powodu. Poza tym na liście akredytowanych dziennikarzy nie mamy nikogo z tej stacji.

– Może miał tylko bluzę z nazwą stacji... – Róża przeniosła się na chwilę pamięcią do Arkad. – Nie! Trzymał w ręku mikrofon z kostką, na której było jej logo. Jestem tego stuprocentowo pewna.

– Dzięki.

– Myślisz, że to ważne?

– Jeszcze nie wiem, ale na wszelki wypadek spróbuję to sprawdzić. Umiałabyś go opisać?

– Wydaje mi się, że spod kaptura wystawały mu jasne włosy. Był mniej więcej twojego wzrostu. Ładny. Pociągła twarz... Kruczę, widziałam go tylko przez parę

sekund. Teraz kiedy o tym myślę, to wydaje mi się, że starał się, żeby nikomu nie wpaść w oczy.

– A jednak tobie wpadł?

– Bo tam się wydarzyła jedna głupia sytuacja... – Róża opowiedziała mu szybko o wypadce z Prado. – I tak jakoś odruchowo wtedy na mnie popatrzył.

– Jasne. Rozumiem. Kończ spotkanie z panią Walerią i w drodze powrotnej pokaż się na chwilę na komisariacie, siedzę w pokoju Romanka.

Darski odłożył słuchawkę, po czym przez chwilę pogłównkował, a następnie poprosił SMS-em Grzelaka o przesłanie mu, jak tylko wróci znad Wisły na komendę, zapisu monitoringu z imprezy „Książki pod Arkadami” ze wszystkich zainstalowanych tam kamer. Na jego szczęście, podkomisarz już skończył oględziny, więc potraktował prośbę przełożonego priorytetowo i w ciągu niecałej pół godziny zapchał mu skrzynkę mailową plikami filmowymi. Krzysztof zaklął pod nosem i zabrał się do ich przeglądania w przyspieszonym czterokrotnie tempie. Nawet niedługo trwało poszukiwanie ujęcia ukazującego moment, kiedy Patti Garnicky udzielała wywiadu fałszywemu dziennikarzowi portalu Puchacz Post. Krzysztof zwolnił nagranie do normalnego jego biegu i przyglądał się uważnie, jak w ich pobliżu znalazła się Róża. Faktycznie, był tam jeszcze ktoś czwarty. Początkowo Darskiemu wydawało się, że nie będzie w stanie zidentyfikować tej osoby, bo też zgodnie z tym, co powiedziała Krull, ów ktoś robił wszystko, aby nie pokazać swojej twarzy. Komisarz przeglądał jednak wszystko klatka po klatce, aż wreszcie trafił na opisywaną przez pisarkę scenę. Przez ułamek sekundy widać było tam zarys twarzy tajemniczego młodzieńca. Policjant zatrzymał nagranie.

– Co to? – wpatrzony w ekran i powiększony na nim kadr monitoringu, odruchowo drgnął, uświadamiając sobie błyskawicznie, że ma za plecami Romanka.

– Monitoring z imprezy „Książki pod Arkadami” – wyjaśnił Darski – i być może morderca...

– Nie żartuj! – Romanek się zaśmiał. – On?!

– Znasz go? – zdumiał się Darski.

– Oczywiście, że tak. – Podkomisarz popatrzył na niego z uśmiechem. – To jest przecież...

Na dźwięk imienia i nazwiska chłopaka z kadru Krzysztof na moment zamarł, a następnie chwycił za telefon i wybrał numer do Róży. „Abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem”, poinformował go komunikat w aparacie. Po drugiej nieudanej próbie połączenia komisarz zerwał się z krzesła i runął w stronę drzwi.

– Szybciej! – pogonił kolegę. – Nie mamy chwili do stracenia!

– A więc to ty jesteś to cholerne bożyszczko Kamilka? – Marek Staszic patrzył na spętaną i zakneblowaną Różę zwężonymi, złymi oczami. – Ta bogini kryminału? Nieustraszona mistrzyni rozwiązywania nierozwiązywalnych zagadek. Zobaczmy, czy teraz też będziesz taka odważna.

Krull usiłowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobywał się tylko bełkot. Ostatnie obrazy wirowały w jej głowie jak szalone: moment kiedy opuściła dom Stasziców, usłyszane za plecami chrząknięcie, widok twarzy, którą zapamiętała z imprezy „Książki pod Arkadami”, ukłucie w ramię i wreszcie wir, w jaki wpadła sekundę potem.

– Spokojnie – polecił Marek. – To nie potrwa długo. Zresztą mogę ci wyjąć ten knebel, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczała. Tutaj i tak cię nikt nie usłyszy. To jak? Będziesz cicho?

Róża kiwnęła głową. Staszic jednym, szybkim gestem wyciągnął z jej ust szmatę, którą wepchał jej tam kilkanaście minut wcześniej.

– Dlaczego? – zapytała Róża, odzyskawszy zdolność wypowiedzania słów.

– Sprecyzuj, które dlaczego? – zaproponował Marek.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Uroczonego Kamilka? – Chłopak roześmiał się głośno. – Nie wiem. Może jestem psychopata? Może czerpię rozkosz z zabijania? – Odczekał chwilę, w ciągu której wpatrująca się w niego Krull dostrzegła coś, co sprawiło, że na moment wszystko w niej skamieniało. Jej porywacz miał niewielki, ale jednak zauważalny pionowy zez. Jak ktoś, kto cztery miesiące wcześniej dostarczył kartkę z żądaniem okupu. – A może dlatego, że nienawidziłem go, odkąd tylko pojawił się w naszym domu? Pierdolony ideał! Myślisz, że to fajne wysłuchiwać od rana do wieczora: „a Kamilek się tak dobrze uczy”, „a Kamilek jest tak dobrze wychowany”, „a Kamilek to po sobie zmywa”, „a Kamilek to nigdy by tego nie zrobił”, i tak w kółko do obsrania? Kamilek to, Kamilek tamto, Kamilek sramto... Nasz dom składał się tylko z tej jebanej znajdy, której nie lubiła własna matka, ale za to pokochała moja. A wiesz dlaczego? Bo nie był mną. Nieposłusznym, źle się uczącym, chamskim, pyskującym, złym do szpiku kości mną. Wiesz, że kiedy non stop słyszysz o sobie takie rzeczy, to masz ochotę właśnie taki być? Ogromną ochotę. Czasem trudno jej nie ulec. Poza tym, Kamil stał na drodze do realizacji moich planów.

– Planów...? – Róża patrzyła na niego uważnie, jednocześnie próbując znaleźć jakikolwiek sposób na uwolnienie się z więzów. – „Śmierć zabierze płomień”, tak?

– Co wy wszyscy macie z tym bohomasem?! – prychnął pogardliwie Staszic. – Bezwartościowy kicz, którego chce tylko jeden pajac z Ameryki. Dostał na jego punkcie obsesji! Próbował przekupić mojego ojca, żeby mu go sprzedał. Równie dobrze mógł poprosić paulinów, żeby mu sprzedali obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jak mu to nie wyszło, to próbował go ukraść z muzeum i to dwukrotnie, ale zatrudnił takich ciamajdów, że nigdy do niczego nie doszło. Ojciec nie był w ciemną bity, szybko się domyślił, co było celem włamań, więc natychmiast zamienił miejscami oba obrazy.

– Skąd to wiesz? – zdziwiła się Krull.

– Śledziłem każdy krok starego – odpowiedział triumfująco Marek. – Nigdy nie wiadomo, co można później wykorzystać. Na przykład tu. Nie trzeba było zdolności Sherlocka Holmesa, żeby te włamanie i podmiankę obrazu połączyć z kimś, kto starał się go ze wszystkich sił odkupić, a nawet dać łapówkę za to, żeby wejść w jego posiadanie. I to mi się przydało. Od razu po śmierci ojca skontaktowałem się z tym wariatem. I to nie jest przenośnia. Facet jest naprawdę maniakiem. I przy okazji idiotą, bo sposób, w jaki chciał przemycić to wielkie dzieło sztuki do Stanów, był co najmniej kretyński. Dzielić obraz na kawałki! Idiotyzm! Szkoda czasu i pieniędzy, ale mnie w to było graj. Dawało mi czas. Więc się zgodziłem mu to załatwić dokładnie tak, jak chciał. Zatrudniłem do tego Krystyna i tego drugiego tłuka, Rudniczaka. Ustaliłem też, że jeszcze zanim się ze mną dogadał, wysłał tu tę kretynkę, niby swoją żonkę. Gdy przyjechała do Morderczego, spotkałem się z nią jako dziennikarz i namówiłem, żeby zaczęła strugać wielką celebrytkę. Tak ją owinąłem sobie wokół palca, że była przekonana, że to ona wymyśliła podział obrazu na części i zatrudnienie Krystyna oraz paczkomaty, kurierów i pozostałe bzdety. Ona chodziła do fałszerza po podróbki, ona odbierała paczki i ona przekazywała kamienie kurierom. W razie wpadki z przemyceniem byłoby na nich, bo mnie w tym wszystkim w ogóle nie było, ot, takie cuda nowoczesnych technologii i alibi w zupełnie innym miejscu. Wszystko szło znakomicie, nawet mimo wpadki z truposem, który przemyczał jeden z kamieni. Tam było przez moment ostro i mogło się posypać. Na szczęście mam zawsze nastawione radio na kanał policyjny i wiem o każdej nawet drobnej stłuczce, więc o tym kretynie dowiedziałem się natychmiast. To było proste. Leniwy prokurator, któremu się nie chciało siedzieć na dupie do końca sekcji, po prostu pozwolił wejść na teren ZMS dwóm grabarzom. Nawet się idiota nie zdziwił, że o tej porze ktoś przyjeżdża po zwłoki...

– Z kim tam byłeś?

– To już nieważne. Kolega się trochę przestraszył po śmierci dzieciaka i już bawi się z rybkami.

– A po co było żądanie okupu?

– Okupu? – zdziwił się Marek.

– W dniu mojego ślubu...

– Aaaaa, wtedy! Skoro trafiła się szansa na kilka złocisz, to czemu jej nie wykorzystać? Ale i tak nie zapłaciłaś. – Marek popatrzył na nią z ciekawością. – Właściwie dlaczego? Nie kochasz swojego męża? Sorry, prawie męża...

– Nie twój biznes. – Róża się zezłościła, starając się wyrzucić z pamięci potworną awanturę z Darskim, który krzyczał na całą komendę, że nie pozwoli jej dać tego okupu, bo dla zasady policja nie układa się ze zbrodniarzami i że to się zawsze źle kończy. To był pierwszy raz, gdy mu uległa i nic nie zrobiła. Pierwszy i ostatni, obiecała sobie solennie, że jeśli przeżyje dzisiejszy dzień, nigdy więcej tego błędu nie popełni.

– Jasne, w sumie nic mnie to nie obchodzi. Wtedy jeszcze nie miałem zamiaru nikogo zabić i tylko dlatego twój doktorek żyje. Wszystko było tak pięknie zaplanowane i tak dobrze się toczyło. Amerykaniec płacił, cizia mi jąda z ręki, chłopaki grzecznie łuskali po kamyku i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten cholerny jełop. Węszyl i węszyl...

– Kamil? – upewniła się Róża.

– A kto inny? Łaził, zaglądał wszędzie, sprawdzał, wypytywał księdza. Przestraszyłem się, że jeszcze coś skopie i postanowiłem się go pozbyć. Raz a dobrze. Ta impreza to było niezłe miejsce, tłumy nieznanających się zaaferowanych osób, magiczna plakietka dziennikarska i na wszelki wypadek pod ręką Patti, która w razie co dałaby mi wszelkie alibi. I w sumie wyszłoby niezłe, gdyby nie fakt, że zdążył cię spotkać i zainteresować tym, co się tu dzieje.

– Próbował już wcześniej – westchnęła Róża, teraz zaczynając składać wszystko do kupy. – Wysłał do mnie list. Z tajną wiadomością. Nawet wpadł na pomysł, co zrobić, żebym go osobiście przeczytała. – Nie była w stanie ukryć podziwu dla sprytu Kamila, który był tak dużym jej fanem, że wiedział, iż korespondencję od wielbicieli czyta tylko jej agent, więc wpisał jako nadawcę osobę jej znaną i to taką, z którą niedawno miała kontakt, a więc mogła mieć jakieś bieżące pilne sprawy do załatwienia. Udało mu się, sama otworzyła ten list i to natychmiast po jego wyjęciu ze skrzynki, zamiast jak zwykle rzucić go na stos dla Pepe.

– Debil. – Marek zaśmiał się pogardliwie. – Cały on! Szyfry, tajemnice, kody... Za dużo naczytał się kryminalów. W sumie nieważne. Gorzej, że przez swoją upierdliwość mógł mi zepsuć najważniejszy plan.

– Czyli...?



– Widzisz... Ojciec miał fioła na punkcie wszystkich rzeczy, które pochodziły z Morderczego. Dlatego wiedziałem, że jest tu coś wartej prawdziwą fortunę. Ojciec odkrył to tuż przed śmiercią. Miał świetną pamięć wzrokową, zapamiętywał między innymi podpisy na obrazach. Kiedy został dyrektorem muzeum, dostał propozycję czasowej wymiany różnych obrazów i rzeźb z kilku innych placówek, między innymi z Włoch. Wtedy w oko wpadł mu ten podpis. Zaproponowałem mu, żeby zachował to odkrycie dla siebie, że zarobimy na tym ogromny szmal, ale nie chciał słuchać. Zlecił ekspertyzy, dostał potwierdzenie i już miał to ogłosić, ale szczęśliwie dostał zawału i kopnął w kalendarz. No, może przyczynił się do tego przypadkiem stres, gdy uświadomił sobie, jaki szwindel proponuje mu wyrodny synalek. – Marek nie był w stanie powstrzymać chichotu.

– O czym ty mówisz?! – zapytała oszołomiona Róża.

– Jak to o czym? – zdziwił się. – O obrazach Męki Pańskiej, które wiszą w remizie. To znaczy, pardon, w nowym kościele. Nikt nigdy nie zwracał na nie uwagi. Tymczasem są to dzieła Giovanniego Belliniego, czyli Giambellina. I to w dodatku nieznane, a więc o wiele więcej warte. Są na nich takie same podpisy, jak na obrazach wypożyczonych przez ojca z Włoch dla Muzeum Rzeczypospolitej. Ekspertyzy potwierdzają ich autentyczność. Udało mi się je ukraść z biurka ojca, zanim matka się kapnęła, że w ogóle kazał takie wykonać.

– Więc ta cała awantura o „Śmierć zabierze płomień”...

– Tak – powiedział Marek triumfująco. – Była tylko zasłoną dymną i sposobem na zdobycie pieniędzy, które potrzebowałem na załatwienie kopii tych obrazów oraz przy okazji pograżenie tego cholernego Krystyna. Kolejny opiekun Kamilka. Chciałem zostać jego pomagierem, ale wołał tę niedorobioną ciotę. Potem na mojej liście został już tylko ksiądz. Nie dość, że to on, cholerny dobry samarytanin, przyprowadził tego niedoroba do naszego domu, to jeszcze znał realną wartość tych obrazów. Tyle że księżulo po śmierci ojca miał dylemat, co zrobić. Zaczął jedynie zamykać remizę na klucz i pilnować go jak oka w głowie. Gdy w końcu po kilku miesiącach miałem czym podmienić oryginały, musiałem się tam dostać. Jedno zdanie przez telefon, że obrazy zostały skradzione, wystarczyło, że natychmiast tam poleciał. Miałem go tylko ogłuszyć, ale zerwał mi kaptur z głowy. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby mnie wydał. Wsadzić mu kosę w bok to była prawdziwa przyjemność. Ale nie mogłem wtedy ryzykować i z trupem na podłodze podmieniać obrazów. Musiały jeszcze chwilę poczekać, ale dzisiaj to wszystko zakończę i zniknę stąd. Na zawsze. Zanim jednak to zrobię, to pora – wyciągnął ze swojej torby nóż – dokończyć to, co zacząłem.

– Ale dlaczego ja? – Róża poczuła, że choć powinna być teraz przerażona, to paradoksalnie jedyne, co czuła, to nienawiść do tego zdegenerowanego ban-

dziora.

– Bo Kamilek cię uwielbiał. Od kiedy zaczął pomieszkiwać w naszym domu, wszędzie leżały twoje książki. Mówił, że dzięki nim chce mu się żyć. Idiotyzm! – Marek patrzył na nią z wściekłością. – Ile razy udało mi się go skrzywdzić, obrazić, uderzyć, tyle razy zamykał się w pokoju z twoją książką, a potem wychodził jakby nigdy nic, zadowolony, jakby żył w innym świecie.

– Ale to nie moja wina...

– No cóż. – Staszic wzruszył ramionami. – Masz pecha. Poza tym jesteś jedyną osobą, która widziała mnie na tej durnej imprezie książkowej. Mało tego, byłeś świadkiem morderstwa.

– Ja? – Róża najpierw się zdumiała, a potem nagle uświadomiła sobie, że Marek mówi prawdę. Opowiadała Manueli o pomyśle na kryminał „Śmierć przyjdzie o świcie”, kiedy kątem oka rzuciła na widownię i... Tak! Nad Kamilem stała tam postać w czarnym kapturze z logiem „Radio NovaNova”. Jak mogła o tym zapomnieć?!

– Ha! Sama widzisz... – Marek zbliżył do niej nóż. – Obiecuję, że zrobię to tak szybko, jak tylko umiem. A wiesz, że mam już w tym niezłą wprawę.

Jedyne, co w tym momencie przyszło Róży do głowy, to pocieszająca myśl, że skoro już zaczęła dostawać pierwszych objawów choroby Alzheimera, ewentualnie demencji, to może i lepiej, że zakończy swój żywot teraz, kiedy jeszcze nie rozwinęły się one zbyt mocno.

Nóż w rękę Marka zaczął przesuwając się powoli po jej ciele. Krull zamknęła oczy. I w tym samym momencie usłyszała, jak coś śwista w powietrzu, po czym rozległ się cichy jęk. Czym prędzej otworzyła oczy, aby zobaczyć przed sobą Leokadię, trzymającą w ręku długi, ozdobny kościelny świecznik, oraz stojącą kilka kroków za nią Manuelę Konopkę. Mama Darskiego miała bardzo zadowoloną minę.

– Zawsze chciałam go walnąć – rzekła z wyraźną satysfakcją. – Głupi gnojek. Pani Manuelo...?

– Tak, już zadzwoniłam – zaraportowała dziennikarka. – Pani syn będzie tu za jakieś trzy minuty. Miejmy nadzieję, że do tego czasu ten sukinsyn się nie ocknie.

– Jeśli się ocknie, to dostanie po łbie jeszcze raz – zapowiedziała Leokadia, po czym popatrzyła z troską na Różę. – Wszystko w porządku, kochanie?

– W jak największym – zapewniła Krull. – Skąd się tu wzięłyście i gdzie w ogóle jesteście?

– W zakrystii remizy... znaczy się kościoła – odpowiedziała Leokadia. – A skąd się wzięłyśmy? Spotkałam panią Manuellę przed wejściem...

– A ja po prostu cię śledziłam. Przez cały czas – wyjaśniła bez cienia wyrzutów sumienia Konopka. – Bo przecież wszyscy wciąż mówili, że nie można cię zostawić samej ani na chwilę. I jak się okazało, mieli rację!

## EPILOG

Róża pogłaskała po ramieniu Piotra, po czym wolnym krokiem przeszła do samochodu Mario. Kryński został na ławce pod pomnikiem założycielki. Po chwili ukrył twarz w dłoniach. Migające światełka stojącej obok na rynku wielkiej choinki oświetlały jego sylwetkę neonowymi kolorami, zupełnie nieadekwatnymi do jego nastroju.

– Myślę, że złamałam mu serce – westchnęła Krull, siadając na fotelu obok kierowcy. – Paskudne uczucie.

– Jesteś pewna...? – zapytała cicho Miłka, błogosławiąc w duchu, że nie padał śnieg, bo wtedy pewnie nie pozwoliłaby przyjaciółce zostawić Piotra, w obawie, że ten będzie tam siedział tak długo, aż biały puch go całkowicie pokryje, robiąc z niego smętnego, choć zmieniającego radośnie barwy, bałwana.

– Nie – Krull pokręciła głową – ale z drugiej strony, nie czuję do niego tego, co powinnam. Nie chcę dawać mu złudnej nadziei, że kiedykolwiek to poczuję. Ani też oszukiwać go, że wszystko jest w porządku. To byłoby zbyt okrutne i w końcu doprowadziło do katastrofy.

– Ale przecież cztery miesiące temu... – zaczęła Miłka, jednak Krull nie pozwoliła jej dokończyć.

– Motyle w brzuchu – wyjaśniła smutnym tonem. – Tyle że one żyją bardzo krótko. Ważne jest to, co się stanie, kiedy ostatni z nich przestanie latać. Przez te cztery miesiące zdążyłam sobie uświadomić, że w naszym przypadku oznaczałoby to koniec przygody. Więc lepiej zerwać teraz, niż kiedy musielibyśmy iść z tym do sądu. Zresztą... Sama już nie wiem...

– Ruszajmy! – zdecydował Mario stanowczo. – Robi się za sentymentalnie i melodramatycznie jak na mnie. Zerwałaś to zerwałaś, nie ma co się roztkliwiać. Zajmiesz się czymś innym, a on już jutro znajdzie sobie jakąś osiemnastkę na pociechę. No co? – zapytał, wylapując w lusterku pełen potępienia wzrok Wężowskiej. – Młode laski lecą na doktorków. Nawet tych od truposzy. Doktor to zawsze doktor.

– Ty to jednak nie masz taktu – westchnęła Miłka. – Za grosz.

– Ani moralności – poparła ją Róża. – Dla ciebie zawsze wszystko jest takie proste.

– Bo jest! – wykrzyknął Mario. – Tego kwiatu jest pół świata. Oboje znajdziecie sobie jeszcze kogoś do łapania tych motyli i to nieraz. Trzeba tylko często próbować.

– Tak często jak ty? – Róża popatrzyła na niego ironicznie. – Jaki miałeś przebrób w tym roku?

– Marny. – Mario westchnął żałośnie. – Siedemnaście lasek, które zaciągnąłem do łóżka. Dwóch facetów, którzy próbowali mnie zaciągnąć do łóżka. Plus jeden element pośredni bez łóżka.

– Element pośredni...? – Róża popatrzyła na niego pytająco.

– Na wakacjach w Tajlandii. – Mario machnęła ręką. – Szkoda gadać. Mam naczkę na przyszłość, żeby nie pić więcej niż pięć drinków i nie mieszać.

– Nie wnika – zapewniła Róża, po czym przez chwilę patrzyła na przesuwane się za oknami domy Morderczego. – Zawsze mnie to fascynowało, jak dużo się dzieje w takich pozornie spokojnych, a nawet sennych miasteczkach.

– Bo ludzie są wszędzie tacy sami – rzekła Miłka. – Ich mentalność, pasje, namiętności, sposób myślenia...

– Chętnie jeszcze trochę bym tu została – przyznała Krull.

– A ja się cieszę, że stąd wyjeżdżamy – oświadczył Pepe, odrywając wzrok od swojego smartfona. – Tym bardziej że jak już przebudziłaś się z martwych, to mam dla ciebie całą listę zaproszeń na kolejne imprezy i spotkania z czytelnikami. Mam wrażenie, że dobrze ci teraz zrobią.

– Być może... – rzekła w zamyśleniu Róża, rejestrując kątem oka, że coś przeskadza jej w kontemplacji morderczych pejzaży. – Mario, skarbie, co ty masz za wycieraczką?

– Słucham? – Kosek oderwał wzrok od drogi i popatrzył na wskazane przez Krull miejsce. – Faktycznie. Pewnie jakaś ulotka. Poczekaj, stanę i wyjmemy...

Po kilkunastu metrach zatrzymał się na przystanku dla autobusów, które przejeżdżały przez Morderczo całe dwa razy na dobę. Krull otworzyła drzwi i wyciągnęła zza wycieraczki kartkę.

– Burdel czy usługi remontowe? Bo to mam najczęściej – zaciekawił się Mario, po czym popatrzył ze zdumieniem na wytrzeszczającą oczy na kartkę Krull. – No, co tak zamarłaś? Co tam jest?

– Liści się jako miednica, upadł ci jej koniec nosa, z oczu płynie krwawa rosa – odpowiedziała Róża, nie odrywając wzroku na trzymanego w dłoniach kawałka papieru.

– Zwariowałaś?! – zdumiał się Mario. – Cóż to takiego?

– O ile pamiętam ze szkoły, to fragment „Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią” – wyjaśnił Pepe – ale mogę się mylić...

– Nie mylisz się – potwierdziła Miłka, która wpisała początek komunikatu przeczytanego przez Różę do wyszukiwarki w swoim telefonie, po czym popatrzyła na Kwiatka z podziwem. – Ale ty masz pamięć...

– To nie pamięć – przyznał niechętnie Pepe. – Tylko zawsze przy tym fragmencie chciało mi się wymiotować. Dlatego zapamiętałem. I co to niby jest?

– Nie mam pojęcia – przyznała oszołomiona Róża. – Poczekajcie, tam na dole jest coś jeszcze... Był samochód, winda, ceglówka. Nie myśl, że to koniec. Twój Dawny Wielbiciel.

– Co to oznacza?! – zdumiał się Mario.

– Moje wypadki sprzed i po festiwalu opolskim – rzekła zdumiona Róża. – Jakim cudem ktoś tu o nich wie?

– Może to dowcip tego gnoja – podsunął niepewnie Pepe.

– Aresztowali go dwa dni temu – przypomniała Róża. – A przez ten czas jeździliśmy do Torunia i jestem pewna, że tej kartki tu nie było!

– Powiem więcej – poparł ją Mario. – Dzisiaj z rana, przed śniadaniem, myłem szybę i też na sto procent jej nie było.

– Czyli...? Jaki wniosek?

– Że masz Dawnego Cichego Wielbiciela – rzekł Pepe. – I że tym razem raczej nie traktowałbym tego pół żartem, pół serio i jak najszybciej przekazał tę kartkę Darskiemu. Proszę, żadnych więcej głupawych śledztw na własną rękę!

– Oczywiście, masz rację – zgodziła się Krull.

I, rzecz jasna, nie zamierzała dotrzymać słowa.

KONIEC  
(ale tylko tego tomu)

# PODZIĘKOWANIA

Są tradycją, a ona przecież najważniejsza. Dziękuję więc:

– Pawłowi Płaczkowi, mojemu nieocenionemu agentowi, który robi wszystko, abym nie miał w życiu innych zmartwień, jak tylko wyrobienie się z kolejnymi książkami w terminie;

– Marcinowi Margielewskiemu, który w ostatnich miesiącach był dla mnie sporą podporą życiową;

– Ani Żochowskiej, której dobre serce pozwala mi ciągle wierzyć, że są między nami, śmiertelnikami, prawdziwe Anioły;

– Beacie, Kasi, Piotrowi i Aleksowi, dzięki którym odkryłem (ponownie), że jazda na rowerze nie tylko poprawia krążenie krwi, ale czasem też porządkuje bałagan w głowie;

– ekipie Skarpy Warszawskiej na czele z Rafałem Bielskim, którzy tym razem wykazali się wyjątkową pobłażliwością i cierpliwością, bo autor, niestety, nie okazał się osobą subordynowaną;

– Edycie Pietrzak-Waś, która w czasie naszej krótkiej wizyty w pięknym Budapeszcie robiła wraz ze mną pięćdziesiąt tysięcy kroków dziennie (zmierzone!), choć była pewna, że nawet połowa tej liczby ją zabije;

a przede wszystkim Wam, moim Czytelniczkom i Czytelnikom, za to, że ciągle ze mną jesteście, czytacie, przychodzicie na spotkania, przysyłacie miłe maile i SMS-y, dokarmiacie mnie (czasem) i że wiem, iż zawsze mogę na Was liczyć! Dziękuję!

Do następnego razu!

Alek





PRZECZYTAJ POPRZEDNIE CZĘŚCI  
PRZYGÓD RÓŻY KRULL!



POLECAMY RÓWNIEŻ:

